



Romain
Rolland
Colas
Breugnon





Romain Rolland

COLAS
BREUGNON

ROMAIN ROLLAND

COLAS BREUGNON

ŻYJE JESZCZE CZŁOWIEK POCZCIWY

Przełożył Franciszek Mirandola

SPIS TREŚCI

Wstęp

PRZEDMOWA Z POWOJENNYCH CZASÓW

PRZESTROGA CZYTELNIKOWI

I SKOWRONEK MATKI BOSKIEJ GROMNICZNEJ

2 lutego

II OBLĘŻENIE, CZYLI PASTERZ, WILK I JAGNIĘ

Połowa lutego

Koniec lutego

III PROBOSZCZ Z BRÈVES

1 kwietnia

IV WŁÓCZĘGA, CZYLI JEDEN DZIEŃ WIOSENNY

Kwiecień

V ŁASICZKA

Maj

VI PRZELOTNE PTAKI, CZYLI SERENADA W ASNOIS

Czerwiec

VII ZARAZA

W pierwszych dniach lipca

VIII ŚMIERĆ MOJEJ STAREJ

Koniec lipca

IX SPALONY DOM

Połowa sierpnia

X ROZRUCHY

Koniec sierpnia

XI KSIĄŻĘCA ŁĄKA

Koniec września

XII CUDZY DOM

Październik

XIII SAM NA SAM Z PLUTARCHEM

Koniec października

XIV KRÓL SIĘ BAWI

Św. Marcina (11 listopada)

Św. Mikołaja (6 grudnia)

Trzech Króli

ŚWIĘTY MARCIN PIJE WINO, WODĘ POZOSTAWIA MŁYNOM.

(Przysłowie francuskie z XVI w.)

Świątemu Marcinowi, patronowi Clamecy

WSTĘP

Dlaczego Kochamy Colasa Breugnona? Nie tak łatwo powiedzieć dlaczego właściwie Kochamy kogokolwiek. Zwłaszcza jeśli idzie miłość bezinteresowną a długotrwałą. Szczególnie, kiedy jest to postać fikcyjna, bo literacka, istniejąca jedynie w rządках liter i słów na kartce papieru. W ogóle zresztą literatura dwudziestego wieku nie bardzo Kochać się daje, tyle w niej wszelakiej posępnej matniej, złowrogiej atmosfery. Są jednak wyjątki. Kochamy Muminki Tove Jansson, małego księcia Saint-Exupéry’ego, dzielnych i śmiesznych hobbitów Tolkiena, słowem, postaci z bajek współczesnych, bo tu już tylko ukryła się bezinteresowność, ciepło i optymizm. I do tego właśnie nurtu baśniowego należy Colas Breugnon, czyli w archaicznej francuszczyźnie Mikołaj Brzoskwinia, stolarz i rzeźbia burgundzki z przełomu szesnastego i siedemnastego wieku, z małego miasteczka Clamecy.

Jego twórcą był sławny, a swego czasu nawet bardzo sławny francuski pisarz Romain Rolland (1866-1944), z wykształcenia historyk muzyki, co się z siłą odcisnęło na jego twórczości, pacyfista i człowiek lewicy, co zresztą już dzisiaj nie ma najmniejszego znaczenia – w owym czasie na lewicy znaleźli się niemal wszyscy pisarze, naiwnie wierząc w rewolucję społeczną pozbawioną niesprawiedliwości, okrucieństwa i przemocy. Rolland wierzył natomiast w siłę twórczą i społeczną kultury, a szczególnie muzyki. Był zwłaszcza wielbicielem Beethovena, któremu poświęcił kilka grubych i poważnych książek. Na motywach życia Beethovena oparł też swoją najśłynniejszą powieść, *Jana Krzysztofa*, powstałą na początku stulecia dziewięcioletnią powieść-rzekę, uznaną za pierwszą swoim gatunku. (Co do mnie, mam pewne wątpliwości, przecież tak naprawdę powieścią rzeką

była już wcześniejsza *Trylogia* Sienkiewicza). Drugą, niemal tak samo słynną powieścią była późniejsza *Dusza zaczarowana*. A w przerwie między tymi kobyłami, niejako mimochodem, napisał *Colasa Breugnon*, swój prawdziwy i trwały powód do sławy.

Tak już się nie raz w dziejach zdarzało. Petrarca przez wiele lat pisał w niemałym trudzie poemat łaciński pt. *Afryka*, a na marginesie tego drobne i nieważne sonety włoskie. O *Afryce* nikt już nie pamięta, a sonety są nieśmiertelne. Otóż to się właśnie Romain Rollandowi; zdarzyło. Jego opowiadanie w zestawieniu z ogromnymi powieściami-rzekami czy uczonymi monografiami jest rzeczywiście niewielka, ale za to uniknęła moralizatorstwa, patosu, wielosłownia i stanowi zwartą całość pulsującą wszystkimi barwami życia.

Jest to historia jednego roku życia Colasa, roku być może już ostatniego, bo rzecz dotyczy starości. Otóż nie jest to dla starego stolarza, a właściwie rzeźbiarza, okres szczęśliwy. Jego dzieła ulegają niszczeniu, umiera mu żona, co prawda niekochana, dom trawi pożar, zdrowie szwankuje, a ostatecznie łamie nogę i pozostaje na łasce i niełasce swojej, co prawda bardzo dobrej, nie przypominającej dzieci króla Leara, córki. Rzeczywiście okazuje się, że w jego życiu wszystko poszło na opak. A przecież nie poddając się przeciwnościom stary Breugnon zachowuje wspaniałą pogodę ducha. Okazuje się, że wszystko jest sprawą interpretacji, sposobem odniesienia się do sytuacji, ludzi i rzeczy. Sposobem Colasa jest dobroduszna kpina i lekceważenie wszelkich dóbr.

Trzeba przyznać, że autor nie zrobił z niego ostatecznego Hioba. Zawsze została mu rodzina, przyjaciele, umiejętność czytania nie tylko w sensie mechanicznym, ale umiejętność fantazjowania, ciepłe łóżko, gdzie się można schronić i zawsze pełny dzban ku pokrzepieniu. A pić i jeść, burgundczyk Breugnon lubi i umie:

„ Podano trzy młode dziki upieczone w całości, nadziane podróbkami i pasztetem z czystej wątróbki – dalej wonne szynki, wędzone w dymie jałowcowym, pasztety z dziczyzny i wieprzowiny pachnące czosnkiem i liśćmi laurowymi, potem szczupaki,

ślimaki w skorupkach, kielbasy, flaczki, wędzonkę przerastała, czarną potrawkę z zająca, główki baranie rozpływające się wprost na języku, całe kupy purpurowych, pieprznych raków, od których w gardle piecze, a do tego sałatę z cebulą; i octem. Oczywiście polewano jadło gorliwie winkiem: chapotte, mandre i vauvilloux, a są to, jak wiadomo, trunki szlachetne.”

Dzwonna Burgundia, jak o niej pisał Czechowicz, ojczyzna Colasa jak i samego autora, była w średniowieczu państwem niezależnym. Kształtowały się tutaj nieco inne obyczaje i tradycje. Szcz gólnie bogate były sztuki plastyczne – nie dziwota, że Breugnon jest rzeźbiarzem. Sławna była też tradycja kulinarna, dość wspomnieć burgunda i musztardę z Dijon. Ale czasy nie były tu chyba nigdy spokojne, także z początkiem siedemnastego wieku; wojny lokalne i religijne, podpalacze, zaraza morowa, wszystko to nie wygląda szczególnie zachęcająco. To szczególnie szczęśliwe usposobienie mieszkańców, tak jak ich przedstawia Breugnon, sprawia, że wszystko wygląda znośnie a nawet szczęśliwie.

Colas Breugnon został napisany w 1914 roku, w roku wybuchu pierwszej wojny światowej. Okres, który ją poprzedzał bywa nazywany „*belle epoque*” – pięknym czasem, czasem spokojnej pracy umysłowej, pełnej jeszcze nadziei, czasem zabaw, romansów, dostatku. Wszystko to odnosiło się tylko do Europy Zachodniej, w takich krajach jak Polska było inaczej. Właściwie od roku 1914 datuje się prawdziwy początek dwudziestego wieku. Colas powstał przedtem i nie nosi na sobie piętna krwi i nieszczęścia. Jest posłaniem z lepszych, łagodniejszych czasów, pokazuje jak mimo nieszczęść zachować nie tylko równowagę ducha, ale po prostu być szczęśliwym. I za to w osiemdziesiąt lat później kochamy Cola Breugnon.

Piotr Kuncewicz

PRZEDMOWA Z POWOJENNYCH CZASÓW

Książka ta była wydrukowana i zupełnie gotowa do wydania przed wojną jeszcze. Nie czynię w niej zmian żadnych. Krwawa epopeja, której bohaterami i ofiarami zostali wnukowie Colasa Breugnon, postawiła sobie za zadanie przeprowadzenie dowodu, że „żyje jeszcze człowiek poczciwy”.

Sądzę, że okryte sławą i posiniaczone ludy Europy, rozcierające sobie teraz potłuczone żebra, odnajdą jakiś zdrowy sens w refleksjach, które czyni sobie nasz „baranek swojski żyjący pomiędzy wilkiem a pasterzem”.

R. R.

PRZESTROGA CZYTELNIKOWI

Czytelnicy „*Jana Krzysztofa*” nie spodziewali się pewnie takiej nowej książki. Zdziwiła ona w równej mierze i mnie samego.

Pracowałem nad dramatem i powieścią na tematy współczesne – utworami w tejże samej co „Jan Krzysztof”, nieco tragicznej atmosferze wyrosłymi. Nagle musiałem rzucić w kąt wszystkie notatki i przygotowane sceny i jałem się tej niewinnej książki, o której nie myślałem jeszcze dnia poprzedniego.

Jest to reakcja przeciw dziesięcioletniemu przymusowi trwania w ryzsztunku „*Jana Krzysztofa*”, która to zbroja, zrazu wygodna i na moją zrobiona miarę, stała mi się z czasem przyciasna. Uczułem nieprzewyciężone pragnienie swobodnej wesołości galickiej, posuniętej aż do nieprzystojności. Jednocześnie powrót do ziemi ojczystej, nieoglądanej od lat młodocianych, pozwolił mi wznowić kontakt z moją Burgundią niwernejką, przywiódł mi przed oczy przeszłość uśpioną, zdawało się, na zawsze, oraz zbudził wszystkich Colasów Breugnon, których noszę w zanadru. Musiałem zabrać głos w ich imieniu. Te przekłete gaduły nie wygadały się dostatecznie za życia. Skorzystali z okoliczności, iż jeden z wnuków dostał zaszczytnego przywileju zostania pisarzem (zawsze tego zazdrościli), i uczynił ze mnie swego sekretarza. Daremnie się broniłem:

– Dziadziu, zważ, proszę, że miałeś dość czasu na gadanie, dajże mi się teraz wyjęzyczyć. Każdy winien mieć swoją kolej!

Odparli:

– Słuchaj, smarkaczu! Powiesz swoje, gdy ja skończę. Zresztą wiedz, że bajanie twe mojego niewarte. Siadaj i słuchaj nie tracąc jednego słowa... Chłopcze drogi, uczynź to dla twego dziadzia. Przekonasz się, gdy znajdziesz się na naszym miejscu... Wierzaj, najgorszy w śmierci jest przymus

milczenia.

Cóż było robić? Musiałem ustąpić i pisać pod dyktando.

Nareszcie skończyłem i odzyskałem swobodę (tak mi się przynajmniej wydaje). Podejmę tedy wątek myśli własnych, o ile któryś z mych starych gadułów nie nabierze ochoty wychylenia się z grobu, by mi dyktować listy skierowane do potomności.

Nie mam śmiałości przypuszczać, by mój Colas przyniósł tyleż radości czytelnikom co autorowi. Niechże przynajmniej przyjmą tę książkę, jaka jest, z całą tchnącą z niej szczerością, prostotą, bez pretensji do ulepszenia świata ni wyjaśniania go, wolną od polityki, metafizyki, książkę „w dobrym francuskim guście”, która śmieje się życiu w twarz, bowiem uważa je za dobre, a zdrowie posiada jak należy. Krótko i węzłowato, jak powiada dziewica Joanna (wezwać wszak należy jej imienia poczynając rzecz zgoła galicką), „przyjmijcież to miłościwie”...

Maj 1914 r.

Romain Rolland

I
SKOWRONEK MATKI BOSKIEJ
GROMNICZNEJ

2 LUTEGO

Chwała bądź wielka świętemu Marcinowi! Zupełny zastój w interesach. Nie ma zresztą za czym się uganiać, dosyć się napracowałem w życiu, odpocząć pora. Siedzę sobie tedy spokojnie przy stole, kubek wina po prawej, kałamarz po lewej ręce, przede mną zaś, rozwarłszy ramiona jakby do uścisku, spoczywa nowiutki, czyściutki zeszycik. Zdrowie twoje, synku, teraz pogadamy! Na dole baba moja hałasuje jak zwykle. Wicher skowyczy za oknami, znowu coś się chmurzy horyzont polityczny. Mniejsza z tym! O, co za radość, co za wielka radość znaleźć się tak sam na sam z sobą. (Do ciebie się zwracam, uważasz, gębo pijacka, okraszona pięknym karmazynem, gębo ciekawa, roześmiana, przystrojona trąbiastym, burgundzkim w każdym calu nosem, siedzącym na bakier między oczami, niby kapelusz z fantazją na ucho nadziany.)

Do licha, sam nie wiem, czemu lubuję się w sobie, czemu mnie ciągnie do wpatrywania się w twarz własną, liczenia z wesołym uśmiechem zmarszczek, dogrzebania w głębi serca, niby w piwnicznym lochu, za flaszczyzną starych wspomnień.

Nie sztuka marzyć! Ale napisać to, o czym się marzy! Zresztą, czy to marzenia? Oczy, szeroko otwarte widzą jasno. Snuje się, co prawda, sieć zmarszczek na skroniach, ale spojrzenie mam pogodne, przekorne. Niech inni gonią za majakami! Ja opowiadam po prostu, com widział, mówił, czynił. A może to głupstwa, bo dla kogóż, u licha, piszę?

Dla sławy? Ooo, nie! Nie jestem naiwny, znam swą wartość. Bogu dzięki! Dla wnuków? Phii! I cóż zostanie z papierzysków mych za jakieś lat dziesięć? Moja baba jest zazdrosna jak sam diabeł i rzuca do pieca, co jej tylko pisanego wpadnie w szpony. Dla kogóż tedy piszę?

Dla siebie! Dla własnej uciechy piszę. Dlatego, że gdybym nie pisał, szlag by mnie po prostu trafił! Ho, ho, trzeba wiedzieć, że to żyłka dziedziczna! Śp. dziad mój nie byłby za nic w świecie zasnął nie zanotowawszy bodaj –

leżąc w łóżku – liczby wypitych i... oddanych kubków wina. Musiał zapisać wszystko po porządku, i basta.

Otóż sprawa tak stoi. Muszę się wyładować, bo w moim Clamecy nie mogę gadać tyle, ile bym pragnął! Muszę się odszpuntować, inaczej jestem jak ów balwierz króla Midasa. Przy tym język mam nieco za długi, gdyby mnie tak przypadkiem usłyszano, miałbym się z pyszna! Trudno, już jestem taki! Zresztą gdyby człowiek czegoś nie ryzykował, zdechłby chyba z nudów.

Lubię, jak nasze wielkie cisawe woły, przeżuwać wieczór strawę połkniętą z rana. O, jakże miło oglądać, przewracać, mieszać to wszystko, co się myślało, obserwowało, zbierało, jakże przyjemnie rozdziobywać, kosztować, smakować, pozwalając, by się rozpływało na języku, i pomału... pomału połykać. Tych rozkoszy doznaje człowiek opowiadając sobie od początku wszystko, co się pośpiesznie chwyciło w przelocie, nie mając czasu na należytą, spokojną ocenę.

Jakże miło przechadzać się po swoim własnym wszechświecie powtarzając sobie po sto razy: to moje, to wszystko moje, jestem tu panem i władcą. Ni grad, ni mróz, ni susza nie mają nad tym żadnej mocy. Ni papież sam, ni król, ba, nawet moja sekutnica nie dadzą temu rady. Muszę was, drodzy państwo, oprowadzić po moim skarbcu.

*

Przede wszystkim zwróćcie uwagę na klejnot najdrogocenniejszy. Mam tutaj oto siebie, Colasa Breugnon! Chłop to – że przyłoż do rany, Burgund rzetelny, okrągławy nieco, ale mu się oczy świecą, już nie pierwszej młodości, bo choć są w kupie kości, zęby zdrowe, gęsta mina, toć przyprószona czupryna... ha, trudno... pięćdziesiątka z okładem!

No, nie będę przeczył, że wolałbym, by klejnot mój był blondynem. Tak samo zgodziłbym się ostatecznie zrzucić z ramion jakieś dwadzieścia czy trzydzieści lat. Zważcież, moi państwo, że pięćdziesiątka to wcale ładny wiek. Śmiejecie się, młodziki? Ha? sądzicie, że to nic tłuc się po tym

świecie, a choćby po całej Francji, i to w czasach jak nasze, przez lat pięćdziesiąt? Mój Boże! Ileż to deszczu spadło człowiekowi na plecy, ile nasmażył skóry na słońcu! Można powiedzieć, że człowieka przez ten czas gotowano niby mięso, przygrzewano, przysmażano, a potem dla odmiany moczono w wodzie. Jak wór zbladłem po wierzchu, ale ileż w tym worku zbytków, facecyj, doświadczeń, szaleństw, ileż słomy i siana, fig i winogron, niedojrzałych i słodkich owoców, ileż głogu i róż, ile rzeczy widzianych, czytanych, wyuczonych, posiadanych i przeżytych! Wszystko to pomieszanę jak groch z kapustą. Co za radość dobrać się do tego śmietnika i grzebać... grzebać...

Dość, mój Colasie! Jutro rozpoczniemy grzebaninę. Gdybym się wziął do niej dzisiaj, nie skończyłbym nawet pobieżnego inwentarza towarów, które mam na składzie.

A więc: posiadam dom, żonę, czterech synów, córkę wydaną za mąż (dzięki Bogu), zięcia (ha... trudno, bez tego się nie obejdzie), osiemnaścioro wnucząt, szarego osła, psa, sześć kur i prosię. Jakżem bogaty!

Poprawiwszy okulary przystępuję do bardziej szczegółowej analizy skarbów.

O tych ostatnich, prawdę powiedziawszy, wspominam jeno dla pamięci. Bo oto minęły wojny, żołnierze, wrogowie, a także przyjaciele. Oczywiście, prosię nasolone i zjedzone, osioł ochwacony, piwniczka do dna wypita, kury dawno oskubane.

Co do żony, to, do stu tysięcy starych diabłów, posiadam ją dotąd... Oo, słyszycie, jak wrzeszczy? Nie sposób zapomnieć o tym szczęściu; mam ją, tę uroczą ptaszynkę, mam ją, mam, jestem jej niezaprzeczalnym właścicielem! Ha, Breugnon, nie lada z ciebie ziółko! Wszyscy ci zazdroszczą. Panowie, proszę uprzejmie, nie jestem samolubem – porozumiejmy się! Kto ma ochotę wziąć sobie moją turkaweczkę? Posiada mnóstwo zalet: jest oszczędna, czynna, trzeźwa, uczciwa. Co prawda, nie utyła z tych cnót. Jako grzesznik zatwardziały wyznaję, że wolę jeden tłusty grzeszek od siedmiu

cnót chudych... (Ale dość tego, trzeba uszanować cnotę, skoro inaczej być już z woli nieba nie może!)

Hej, hej, jak się ta czarownica rozbija po całej chałupie! Pełno jej wszędzie, choć taka szczapa. Przewraca graty do góry nogami, burczy, beszta, klnie, drepcze ciągle ze strychu do piwnicy i z powrotem, tępiąc kurz i ciszę z zaciekłością niepojętą.

Już trzydzieści lat minęło od naszego ślubu. Diabli wiedzą, po co ją brałem! Kochałem się w innej, ale drwiła ze mnie; ta znowu uparła się wyjść za mnie, chociaż jej nie chciałem. Wówczas była bladolicą brunetką i wierciła mnie błyszczącymi ślepiami. Byłaby mnie chciała pożreć, przegryźć, jak woda stal przeżera. Kochała mnie do szaleństwa, na śmierć! Prześladowała mnie tak długo, aż wreszcie (o, jakże głupi są mężczyźni!), po trochu ze współczucia, a także skutkiem tego, że pochlebiła mej próżności, po trochu ze znużenia (ładny sposób odpoczynku!), na koniec w chęci pozbycia się natarczywości, zostałem (Jan de Vrie zanurza się do wody, aby nie przemoknąć na deszczu)... zostałem jej mężem! Od tego czasu posiadałem skarb cnoty wcielonej, a ona, poczciwa gołąbeczka, mści się, mści od lat trzydziestu. Jakież powód zemsty? Oto mści się za to, że mnie kochała. Doprowadza mnie do wściekłości, a raczej pragnie to uczynić, ale niedoczekanie! Ho, ho, zanadto miłuję spokój i nie głupim wpadać w melancholię z powodu jakichś tam głupich kilku słów. Deszcz dudni po szybach? Niechże sobie pada do woli... Gdy ona grzmi, Colas sobie z tego kpi! Gdy ona gniewa się, to mnie się śpiewać chce! I czemuż, u diaska, mam jej bronić wrzeszczeć? Skądże prawo? Nie życzę jej przecież nagłej a niespodziewanej śmierci! Baba w progi, cisza w nogi! Stara bajka! Każdy sobie nuci własną piosenkę. Niech tylko nie ośmiela się zamykać mi gęby (o, wie dobrze, co by ją to kosztowało), a chętnie zgodzę się, by rozdziawiała swoją od ucha do ucha. Każdy gra na swoją nutę!

Zresztą, mimo że instrumenty nasze nie bardzo są dostrojone do siebie, odegraliśmy wcale, wcale ładne kawałki: córkę i czterech synów. Wszystkie

sztuki zrobione na urząd, wykończone jak należy; nie szczędziłem materiału ani pracy. Najlepiej mi się udała dziewczyna i w tym plonie odnajduję własne nasienie... Bestyjka bo ta Martynka, szelma kochana! Miałem krzyż pański, zanim dożeglowałem z nią do małżeńskiego portu! No! Nareszcie stoi na kotwicy, nie nadwerężona po drodze! Ha... i tak przecie trudno dowierzać kobiecie... ale to już nie moja sprawa! Dostyc miałem czuwania, dreptania. Teraz kolej na drogiego zięciaszka mego, Florymonda. Dostał ciasto jak się patrzy, niechże baczy, by się nie przypaliło w piecu.

Dysputujemy z Martynką za każdym spotkaniem i rozumiemy się doskonale. Dzielna dziewczyna, wie, co robi, nawet robiąc głupstwa, i uczciwa – z warunkiem, by uczciwość miała uśmiech na twarzy. Największym występkiem jest dla niej nuda. Nie lęka się trosk. Troska to walka, a walka to przyjemność! Kocha życie i wie, co dobre, zupełnie jak ja. To moja krew! Tylko dałem jej w tym wypadku za wiele...

Gorzej wypadli chłopcy. Matka wtrąciła swoje trzy grosze i ciasto dostało zakalca. Dwaj z nich to bigoty zatracone, a w dodatku każdy siedzi w innej kruchcie. Jeden nie wyłazi spod księżej kapoty i obraca się wśród dewotek i innych obłudników, drugi jest hugonotem^[1]. Wysiedziałem kukułcze jaja! Trzeci jest żołnierzem, wojuje, włóczy się; i nie wiem doprawdy, gdzie się obraca. Czwarty wreszcie jest po prostu niczym: jakimś cichym, rozlazłym sklepikarzyną. Ziewam, ile razy o nim wspomnę! Rasa wyłazi ze wszystkich dopiero, gdy siedzimy pospołu przy stole nad pełną misą. Żadne z sześciorga nie śpi wówczas i wszyscy żywią jedno przekonania. Cudne to widowisko! Sześć par szczęk pracuje dzielnie, gęby pochłaniają kromy chleba, a wino spuszcza każdy do piwnicy brzucha bez pomocy bloka i sznura.

[1] Hugonoci – nazwa protestantów we Francji.

Ruchomości spisane, teraz kolej na chałupę. To moja druga córka.

Budowałem ją z wolna, starannie, gruntownie, wprost rozrzutnie szafując materiałem, a w dodatku budowałem nie raz, ale kilka razy. Stoi na brzegu Beuvronu, nieforemna, przysadkowata, tonąc w zieloności, otoczona gnojówkami, u krańców przedmieścia, po drugiej stronie niskiego, zapadłego na poły mostu, moczącego nogi w wodzie.

Wprost domu wznosi się dumna, strzelista wieża Św. Marcina o haftowanym rzeźbą cokole i rozkwieconym sztukaterią portalu, do którego, niby do raję, wiodą czarne, starorzymskie, strome schody. Moje penaty i lary znajdują się już za murami miasta. Toteż ile razy warta dostrzeże z wieży nieprzyjaciela, zamyka bramy, a nieprzyjaciel zachodzi prosto do mnie w gościnę. Lubię wprawdzie pogawędkę, ale obyłbym się chętnie bez takich wizyt. Zazwyczaj odchodzę zostawiając klucz w drzwiach. Za powrotem nie zastaję zwykle ani klucza, ani drzwi, tylko gołe ściany bez dachu. Zaczynam wówczas budować na nowo. Mówią mi ludzie:

– Ośle, pracujesz dla wroga! Porzuć to kretowisko i przeprowadź się do miasta, będziesz bezpieczny. Odpowiadam:

– Mój drogi, dobrze mi w kretowisku. Wiem, naturalnie, że co mur, to mur. Ale cóż bym widział ukryty za wysokim murem? Szlag by mnie trafił z nudów. Tymczasem nad brzegiem mego Beuvronu widzę mnóstwo rzeczy i mam gdzie się rozeprzeć swobodnie. W wolnych od pracy chwilach widzę wprost z ogródka refleksy na leniwie płynącej wodzie, koła rozchodzące się za każdym pluśnięciem ryby, nawet włochate porosty na dnie. Mogę tam zarzucać wędkę, moczyć nogi, wylewać nocnik... słowem – czynić, co dusza zapagnie. A zresztą, widzisz, bracie, siedzę tam od lat i już nie pora mi przenosić się na inne miejsce. Chyba nie spotka mnie nic gorszego niż dotąd. Powiadasz, że raz jeszcze dom zostanie zniszczony? Być może. Przecież nie mam pretensji, by przetrwał wieki. Ale niełatwo przyjdzie wydrzeć mnie z miejsca, gdzie się zakorzeniłem, niełatwo, do stu diabłów, powiadam! Odbudowywałem już dwa czy trzy, odbuduję jeszcze dziesięć razy. Co prawda nie zaliczam tego do przyjemności, ale przenosiny

sprawiłyby mi wielką przykrość. Czułbym się jak odarty ze skóry. Proponujesz mi dom inny, nowszy, piękniejszy, bielszy? Nie, nie, nie pasowałby do mnie, musiałbym uciekać... nie, nie... wolę swoją chałupę!

A więc streśćmy się. Opisałem żonę, dzieci, dom... czyż to już wszystko, co posiadam?

Nie, zachowałem na koniec najlepszą rzecz... mianowicie moje rzemiosło. Jestem członkiem cechu stolarzy pod wezwaniem Św. Anny. Noszę podczas pochodów i procesyj godło nasze – lirę i nad nią cyrkiel. Na lirze tej uczy grać Bóg Ojciec córkę swą, maleńką, nie większą od pantofla, N. P. Marię. Uzbrojony w hebel, dłuto i piłkę, króluję w warsztacie, władając żyłastym dębem czy połyskliwym orzechem. Co z nich wytworzę, to rzecz mojej fantazji i pieniędzy klienta. Ileż przedziwnych form drzemie ukrytych w każdym z owych kłoców! Wystarczy jedynie wnijsć do pałacu zaczarowanego, by zbudzić śpiącą królową. Ale piękna dama, którą chcę przywrócić do życia, to nie jakaś strojna lala. Ani chuda dama, bez piersi i pośladków, jaką prezentują nam czasem Włosi. Wolę kształty nasze, burgundzkie, połyskujące patyną brązu, pełne siły, dostatnie, obciążone owocami niby winnica. Cieszę się robiąc brzuchaty kufer czy sepet^[2] lub szafę rzeźbioną podług zdrowych, mocnych wzorów takiego mistrza jak nasz Hugues Sambin^[3]. Przystrajam ściany domów boazerią, roztaczam spiralne skręty schodów. Wyczarowuję ze ścian, niby jabłka ze szpaleru jabłoni, meble szerokie, wygodne, mocne, dostosowane do miejsca, dla którego je przeznaczyłem.

[2] Sepet – skrzynia.

[3] Sambin Hugues – architekt francuski XVI wieku, rodem z Burgundii.

Ale największa dla mnie uciecha, jeśli mogę zanotować na papierze to, co śmieje się w mej wyobraźni: ruch, gest, jakiś pochylony grzbiet, wzniesioną pierś, ukwieconą kolumnę, girlandę, karykaturę, albo jeśli uda mi się chwycić w locie i przygwoździć do rysownicy gębę przechodnia. Wszak to ja sam wyrzeźbiłem – dla własnej przyjemności i uciechy proboszcza – stalle kościoła Montréal (najlepsze to z moich dzieł), gdzie widać dwu mieszczuchów opowiadających sobie facecje i popijających z ogromnego dzbana oraz dwa rozgniewane lwy bijące się o kość.

Popić przed pracą, popić po pracy – piękne życie. Widzę wkoło siebie ludzi gniewnych i słyszę wyrzekania. Wypominają mi, że się nie w porę wybrałem ze śpiewaniem w tak smutny czas. Nie ma żadnego smutnego czasu, są tylko smutni ludzie. Nie zaliczam się do tej bandy, Bogu dzięki!

Urywają sobie wzajem głowy? Grabią? Oczywiście, tak było zawsze i zawsze będzie! Dam sobie uciąć rękę, jeśli się myślę, ale twierdzą, że za jakieś czterysta lat wnuki i prawnuki nasze, z takim samym upodobaniem co my dziś, będą sobie zdzierać skórę z grzbietu i obcinać nosy. Myślę nawet, że dojdą do większej doskonałości i wynajdą co najmniej czterdzieści nowych sposobów przenoszenia się wzajem na tamten świat. Ale wiem i twierdzą stanowczo, że nikt nie wynajdzie nowej lepszej metody picia, i nie wierzę, by ci następcy nasi umieli to czynić lepiej ode mnie.

Licho wie zresztą, do czego doprowadzą idioci za lat czterysta! Może dzięki cudotwórczemu zielu proboszcza z Meudon^[4], zwanemu pantagruelionem, będą mogli podróżować na księżyc, może udadzą się jeszcze dalej, do owej fabryki, skąd lecą pioruny i deszcz, może zamieszkają w niebie i będą sobie popijać z bogami...

[4] Mowa o Franciszku Rabelais (1494-1553), wielkim pisarzu francuskim doby Odrodzenia, autorze wielotomowej opowieści satyrycznej *Gargantua i Pantagruel*.

Dotrzymam im towarzystwa. Z mojej wszak będą krwi i z mojego siewu.

Ale tu, gdzie siedzę, tu dużo bezpieczniej. Przy tym któż mi zaręczy, że za lat czterysta wino będzie jeszcze tak dobre jak dzisiaj?

Moja sekutnica zarzuca mi, że nadmiernie lubuję się w pohulankach. Nie pogardzam niczym. Lubię wszystko, co dobre, więc dobre mięso, wino, pełne ciało i skórę mięciuteńką, puszystą, o której śni się tak słodko, dalej – boskie próżniactwo, kiedy to robi się tyle różnych rzeczy (leżąc do góry brzuchem, wiadomo, jest się panem świata, młodym, pięknym, zdobywczym, przewraca się świat do góry nogami, słyszy się, jak trawa rośnie, gada się z drzewami, zwierzętami i bogami).

I ciebie kocham, stary towarzyszu, wierny, pewny, skarbie mój, praco moja! O, jakże przyjemnie wziąć w rękę narzędzie i stanąć przy warsztacie. Piłujesz, wycinasz, przecinasz heblujesz, wydrążasz, wygładzasz, łączysz, kruszysz, robisz, co chcesz, z opornym materiałem, który wreszcie poddaje się, drży pod ręką, aż z tłustego i gładkiego orzechowego kłoca wyłaniają się, jakby czarem wywołane, ciała naszych nimf leśnych, mlecznoróżowe, to znów śniadozłote, oswobodzone wreszcie uderzeniem siekiery z niekształtnego pnia. Co za radość, kiedy spod grubych a posłusznych palców, kiedy spod ręki uważnej wychodzą te dzieła sztuki! Co za radość, gdy moc ducha bierze odwet nad siłami natury, zapisuje się w drzewie, żelazie, kamieniu, idąc za godziwym kaprysem fantazji. Czuję się monarchą królestwa złud. Pole moje daje mi ciało swe, winnica krew swoją. Na użytek mego rzemiosła siewka drzewna rozrasta się w kształtne członki drzew, które będę pieścił; smukleje, zaokrągla się, nabiera gładkości. Moje ręce to pracownicy posłuszni, którymi kieruje stary mózg mój. Mózgiem znowu władam ja sam, tak że musi spełnić każdy kaprys czy marzenie. Któż był kiedy lepiej obsłużony? Czy nie jestem osobą dostojną? Któż mi śmie zabronić wypić za własne zdrowie oraz – nie jestem niewdzięcznikiem – za zdrowie mych poddanych?

Błogosławiony dzień mego przyjścia na świat! Ileż na tej kuli ziemskiej wspaniałych rzeczy, do których śmieją się oczy i wyciągają ręce! Mój Boże,

jakżeż dobrą rzeczą jest życie! Choćbym się nie wiedzieć jak napchał, głodny jestem, zawsze mi idzie ślinka, muszę być chyba chory, bo nie ma takiej chwili przez cały boży dzień, bym nie pragnął zasiąść do stołu zastawionego darami ziemi i słońca...

*

Ale zdaje mi się, sąsiedzie, że przeholowałem trochę z tym słońcem, nie bardzo grzeje, a we wszechświecie moim panuje mróz. Ta szelma zima wcisnęła się do mego pokoju. Chwieje się pióro w skostniałych palcach.

Na miłość Boga – kryształowy lodu w szklance z winem! I nos mi pobladł. Ohydna ta barwa przypomina barwy cementarne. Nienawidzę bladeści.

Hola, otrząśnijmy się z tego bezruchu! Dzwony Św. Marcina biją i śpiewają. To dziś akuratnie Matki Boskiej Gromnicznej. Dziś się zima traci albo się bogaci... A, łobuzica! Bogaci się najwyraźniej!

Trudno, trzeba wyjść i spojrzeć wrogowi prosto w twarz. Może mu dam rady!

Siarzysty mroziak. Tysiące szpilek kłuje mnie po policzkach. Zza rogu ulicy wypada wiatr i porywa mnie za brodę. Uuu! Ale, Bogu dzięki, wracają mi rumieńce na twarz. Lubię pod nogami tętnienie zmarzłej ziemi. Czuję się młody. Ha... cóż za miny kwaśne i wstrętne mają ci wszyscy ludzie?

– No cóż wam to, sąsiadeczko? Czemu nos na kwintę? Oho! Wiatr podwiewa spódniczkę... oo, jak wysoko! Ma rację, jest młody, szkoda, że ja nie taki... Wie dobrze, szelma, gdzie dobre miejsce, to smakosz, zna się na tym! Nic nie szkodzi, sąsiadeczko, nic nie szkodzi, i wiatr musi mieć swoje przyjemności! A gdzież to tak śpieszycie, matusiu? Diabeł wam wygląda zza kołnierza. Na mszę? Laus Deo!^[5] Odniesie on zawsze zwycięstwo nad złością. Będzie się śmiał ten, który płacze, a ogrzeje się zziębnięty! Śmiejecie się? Tego właśnie chciałem! Tak, tak, i ja śpieszę się także, idę jak wy na mszę, ale nie tę, którą odprawia proboszcz w kościele. Idę w pole. Tam sam Bóg celebrowa.

[5] Laus Deo! (łac.) – chwała Bogu!

Wstępuję naprzód do córki, by zabrać moją małą Glodzię. Codziennie odbywamy wspólne przechadzki. To moja najlepsza przyjaciółka ta żabusia, ten skrzacik maleńki. Minęło jej dopiero pięć lat, ale ma rozum... ho, ho! Sprytna jak mały szczurek, a uprzykrzona jak musztarda na języku. Biegnie, gdy mnie tylko zobaczy. Wie dobrze, że mam zawsze pełne kieszenie różnych historyjek, lubi je podobnie jak ja. Biorę ją za rączkę.

– Chodź, dzieciно! Pójdziemy na spotkanie skowronka, może już przyleciał.

– Skowronka?

– Tak, dziś Gromnicznej. Czyż nie wiesz, że dziś właśnie wraca z nieba?

– A co on tam robił?

– Poleciał po ogień.

– Po ogień?

– Tak, po ogień, który sprawia, że słońce grzeje i gotuje potrawy na ziemi.

– Więc go nie było?

– Naturalnie! Odleciał jeszcze na Wszystkich Świętych. Co roku jesienią odlatuje do nieba, by rozgrzewać gwiazdy.

– A czemu wrócił?

– Trzy ptaszki poleciały powiedzieć mu, że już czas.

– Opowiadaj...

Drepcze po drodze. Nie boi się zimna. Zresztą ciepło ubrana w biały trykot i błękitną kapuzę. Wygląda jak sikorka. Tłuste policzki przybrały barwę karmazynu, z małego zadartego noska kapie obficie.

– Ano... raz, dwa, siąkaj! Mocno! Już dobrze. Idziemy.

– Opowiadaj... opowiadaj, dziadziu! Trzy ptaszki... Lubię, by mnie proszono.

– Trzy ptaszki wybrały się w drogę, trzy śmiałki co się zowie: mysikrólik, gil i skowronek. Mysikrólik, żywy i ruchliwy jak Tomcio Paluch, a dumny jak nie wiem co, pierwszy spostrzegł w powietrzu ogień podobny do

fruwającego, świecącego ziarnka pszenicy. Rzuca się tedy na owo ziarnko i krzyczy:

„Mam! Chwyciłem ogień! Ja pierwszy!”

„I ja, i ja!” – wołają inne, ale mysikrólik już pochwycił ogniste ziarenko i leci w dół, ku ziemi.

„Ratunku, ratunku! Pali mnie!” – krzyczy biedak i przesuwa ogień w tę i w tę stronę dzióbka. Ale nie może wytrzymać, bo piecze go w język, tedy wypływa ziarnko i chowa je pod skrzydełko.

„Ojej! Ratunku! Skrzydło mi się pali” – woła (widziałaś przecież plamy opalenizny pod skrzydełkami mysikrólika i skręcone od gorąca piórka).

Gil pośpiesza mu z pomocą. Chwyta ziarnko i kładzie je na podgardlu, na kamizelce puchowej.

Naraz: „Dość tej zabawy! – krzyczy gil. – Spaliło mi się ubranie... cóż teraz pocznę?”

Ale wtem pocziwy skowronek przyleciał i chwycił prędko w dzióbek ziarnko ognia, które, upuszczone przez gila, wracało już do nieba. Potem bez namysłu, z szybkością strzały spada prosto na ziemię i zakopuje ziarnko starannie w stężalym od mrozu zagonie, a zagon od gorąca odmarza, pulchnieje...

Skończyłem swoją historyjkę. Teraz zaczyna Głodzia skrzeczeć jak sroczka. Za miastem, chcąc dostać się na wzgórze, wziąłem ją na plecy. Niebo szare, śnieg chrzęści pod nogami, krzaki i wychudłe, jakby szkieletowało drzewa pootulane białymi materacami. Dym wznosi się z kominów prosto w górę i ma szafirowy kolor. Nie słyhać nic prócz rechotania mojej małej żabki. Jesteśmy na szczycie. U stóp mamy miasto przepasane, niby dwiema wstęgami, leniwym nurtem Yonne’y i krętym Beuvronem. Wszystko ma czapki ze śniegu. Mimo że miasto przemarzłe jest do szpiku kości, skulone i drżące, rozgrzewa mi serce, ile razy obejmuję je spojrzeniem.

Miasto łagodnymi liniami otaczają piękne wzgórza, porośnięte lasem,

podobne do brzegu słomianego gniazda. Za wzgórzami w kilku szeregach garbią się góry, falują wokół i błękitnieją w oddali niby morze. Ale nie ma w nich nic z owego chytrego żywiołu, który zagrażał Ulissesowi i jego okrętom. Nie ma burz ni przepaści. Wszystko trwa w pokoju. Gdzieniedzie tylko jakby lekki oddech poruszał łonem pagórka. Drogi ścielą się prosto z jednego garbu fali na drugi, płyną z wolna, bez pośpiechu, zostawiając pas biały, niby ślad łodzi na morzu. W dali na najwyższym grzbiecie fal góruje, niby maszt okrętu, katedra Św. Magdaleny w Vézelay. A bliżej na skrócie Yonne'y wyszczerzają swe kły spośród gęstej sierści lasów skaliste zbocza Basseville'u. Pośrodku zatoczą wzgórz, w niedbałej pozie, zwieszane nad wodą, przybrane w ogrody, kępy drzew, różne błyskotki i łachmanki, spoczywa miasto uwieńczone koronkową, cudną wieżą.

Podziwiam ślimaczą skorupę, która służy mi za mieszkanie. Dzwony biją uroczyście. Krystaliczny dźwięk niesie się jasną falą po czystym i mroźnym powietrzu. Wsłuchuję się – niepomny na nic – w tę muzykę, a wtem promień słońca przebiwszy oponę chmur rozbłyska na ziemi oblewając nas światłem.

Moja mała Głodzia zaczyna klaskać w rączęta i woła:

– Dziadziu, dziadziu! Słyszę, słyszę, to skowronek!

Roześmiałem się radośnie, zdejmuję moją drogą zabusię z pleców, całuję serdecznie i zapewniam:

– I ja go słyszę, i ja. To skowronek, co głosi wiosnę...

II

OBŁĘŻENIE, CZYLI PASTERZ, WILK I JAGNIĘ

Starczy naszych owieczek kilka, by zgładzić wilka.

POŁOWA LUTEGO

Smutno! Piwniczka moja niebawem pokaże dno, Zaczne żołnierzyki, przysłane nam ku obronie przez Jaśnie Oświeconego Księcia naszego, Imć pana de Nevers, wybiły szpunt ostatniej beczki. Dalejże pić wraz z nimi nie tracąc ani sekundy! Ruina? I owszem, niech będzie! Ale musi się to odbyć wesoło. Zresztą nie pierwszy to raz i z pomocą boską... nie ostatni!

Dobrzy z nich chłopcy! Zasmucili się bardziej niż ja, posłyszawszy, że płyn wysycha. Mówili mi to sąsiedzi, którzy zresztą wszystko biorą tragicznie. Ja tego nie mogę, nic już sobie z niczego nie robię. Zbyt często bywałem w teatrze i dlatego byle głupstwa traktować serio nie umiem.

Ileż przesunęło mi się od urodzenia przed oczyma tych masek! Byli Szwajcarzy, Niemcy, Gaskończycy, Lotaryńczycy, cała menażeria wojenna z tornistrem na plecach, z bronią w ręku. Znam tych pożeraczy prochu o brzuchach bez dna, gotowych połknąć każdego poczciwca cywila razem z butami. Któż zgadnąć zdoła, za co i o co się biją? Wczoraj pono za króla, dziś za Ligę^[6]. Czasem są papistami, czasem hugonotami. Wszystkie stronnictwa diabła warte, w każdym zaś razie szkoda porządnego postronka, by tych hyclów wywieszać po kolei. Drań w drania!

[6] Liga – chodzi tu o tzw. Ligę Katolicką, stronnictwo.

Mieszają przy tym Pana Boga w swoje sprawy! Kroćset starych chodaków! Zostawcie Stworzyciela w spokoju, smarkacze! To osobistość w poważnym wieku. Jeśli was skóra swędzi, skrobć się wzajem do woli. Pan Bóg poskrobie się sam, jeśli taka będzie jego wola...

A najgorsze to to, że i mnie chcą zmusić do tego niecnego procederu. Panie Boże, szanuję cię i – bez przechwałek – sędzę, iż spotykamy się po kilkakroć na dzień, jeśli prawdą jest, co mówi przysłowie galickie: Kto

dobre wino pije, za pan brat z Bogiem żyje! Ale, u diaska, przecież nie przyjdzie mi nigdy do głowy twierdzić, jak powiadają ci obwiesie, że cię znam na wylot, że jesteś moim krewniakiem i że uczyniłeś mnie wykonawcą swej woli. Musisz przyznać, Panie Boże, że ci pokoju nijak nie zakłócam, i proszę tylko, byś mi taką samą miarką odpłacił. Mamy obaj po uszy roboty z trzymaniem w ryzach naszych domów, ty się borykasz z wielkim wszechświatem twoim, ja z moim małym. Dałeś mi, Panie, wolność. I ja ci twojej nie odbieram. A ci nicponie każą mi się mieszać w twoje sprawy. Chcą, bym przemawiał w twym imieniu i decydował, w jaki sposób należy pożywać twój chleb. Każdego zaś, co by pożywał go inaczej, mam uznać za wroga twojego i mojego. Ani myślę! Nie mam wrogów.

Wszyscy ludzie są moimi przyjaciółmi. Biją się, ponieważ sprawia im to przyjemność, a że ja się tym polityczne biorące udział w wojnie religijnej we Francji w XVI w. nie zajmuję, przeto chowam do kieszeni stawkę i wstaję od stołu. Te łobuzy nie pozwalają mi odejść, powiadają: „Nie chcesz być jego wrogiem, to masz nas dwu przeciw sobie!” Tak więc muszę oberwać po łbie od tego lub od tego? Co? Ano, to dobrze, będę grał także... i owszem! Mam być kowadłem? Niedoczekanie wasze, będę młotem, a wy kowadłem.

A kto mi, u stu diabłów, powie, po co świat wydał wszystkich tych cymbałów, tych gentleajdaków, polityków, tych wielmożów, którzy z naszej Francji wytoczyli krew? Opiewają nieustannie jej sławę, a opróżniają jej kieszeń. Pożerają nasze własne denary twierdząc, że niszczą wrogie mocarstwa. Napastują Niemcy, wciskają się do Włoch, wtykają nos do haremu Turka, chcieliby zagarnąć pół świata, a nie potrafiliby nawet obsadzić go kapustą.

Basta, drogi przyjacielu. Nie psuj sobie zbytecznie krwi! Dobrze jest, jak jest... aż przyjdzie czas, że świat uczynimy lepszym (weźmiemy się do tego przy pierwszej zaraz okazji). Nie ma tak głupiego bydłęcia, które by się jakoś nie przydało!

Słyszałem raz, że pewnego dnia Pan Bóg (o, Stworzycielu, ciągle dziś

gadam o tobie!) przechadzając się ze św. Piotrem po Betlejem (to przedmieście Clamecy) zobaczył siedzącą na progu domu kobietę, która była wielce znudzona i smutna. Dobry Stwórca, współczuciem tknięty, sięgnął do kieszeni, wyjął całą garść (około stu) wszy, rzucił jej na kolana i powiedział: „Oto zabawka dla ciebie, droga córko moja!” Kobięcina ocknęła się z odrętwienia i zaczęła polowanie. Ile razy udało jej się schwycić i zamordować zwierzątko, wybuchała wesołym śmiechem.

Widać, że wojna to taki sam dowód współczucia boskiego. Chcąc dostarczyć nam rozrywki niebiosesa zesłały nam na kark dwunożne wszy, byśmy się mogli czochrać i oganiać; śmiejmyż się wesoło. Robactwo jest, jak mówią, znakiem świętości (robaki to nasi ostatni władcy). Radujmyż się tedy w Panu, bracia moi, bo nikt pod tym względem nie jest od nas lepiej zaprowiantowany.

A teraz powiem wam (na ucho): cierpliwości! Jesteśmy na dobrej drodze. Mrozy i śniegi nie trwają długo, kanalie wojenne i dworskie pójdą sobie precz! Zostanie pocziwa ziemia i my zostaniemy... a to grunt! Będzie rodziła dalej, po staremu. Tymczasem pijmy, pijmy, póki starczy ostatniej beczki; trzeba zrobić miejsce na przyszłe winobranie.

*

Moja córka, Martynka, rzekła mi pewnego dnia:

– Jesteś blagier, papo drogi! Słuchając cię każdy by myślał, że nic nie robisz, tylko leżysz pod beczką. Gadasz o tym ciągle, dzwonisz na wszystkie strony, jakby ci wszystkim były pohulanki i pijatyki, jakbyś chciał przepić ostatnią koszulę. A przecież nie możesz jednego dnia wytrzymać bez pracy. Udajesz lekkoducha, rozrzutnika, wartogłowa nie wiedzącego, co wpada do kieszeni i co z niej ucieka, a rozchorowałbyś się, gdyby dzień cały, godzina po godzinie, nie był najskrupulatniej uregulowany, gdyby wszystko nie szło jak w zegarku. Masz zapisany każdy grosz wydany od zeszłorocznej Wielkiej Nocy i nie znajdzie się spryciarz, który by cię wziął na kawał. Jesteś szalona pałka! Patrzcie na to jagniątko! Jak mówi przysłowie: Starczy

naszych owieczek kilka, by zgładzić wilka!

Roześmiałem się wesoło i nie odpowiedziałem nic weredycze. Ona przecież ma rację, mogłaby jednak nie mówić głośno takich rzeczy. Ale prawda, kobieta i sroka zataja tylko to, czego nie potrafi wyskrzeczec. Zna mnie... o, zna! Cóż dziwnego, wszakże to mój produkt! Tedy przyznaj się, Colasie, możesz czynić głupstwa do woli, głupcem nigdy nie zostaniesz. Masz szaleństwo w rękawie, a pokazujesz je, gdy ci przyjdzie ochota. Chowasz je przecie, gdy trzeba mieć obie ręce i trzeźwą głowę do pracy. Podobnie jak wszyscy Francuzi, masz w zanadru nieomylny instynkt porządku i tak dobrze jesteś osadzony na kotwicy rozsądku, że możesz sobie pozwolić udawać wariata. Nie ma ryzyka, chyba dla durniów, którzy patrzą na ciebie z otwartą gębą i próbują cię naśladować.

Mowy patetyczne, wiersze na poczekaniu, pomysły karkołomne, oto co ci do smaku! To ludzi rozplomienia i palą się na obu końcach. Ale my... my kładziemy na stos tylko suche konary, grube zaś drzewo mamy porządnie poskładane na zimę pod dachem. Fantazja daje ucieszne widowiska rozumowi, który siedzi sobie w wygodnym fotelu i kiwa uprzejmie głową. Wszystko mnie bawi. Teatr mój to świat cały. Z fotela śledzę przebieg komedii, oklaskując uciesznych śmiałków; biorę udział w igrzyskach rycerskich i królewskich fetach i krzyczę bis tym, którzy karki kręcą na scenie. Czasem dla zwiększenia przyjemności udaję, że biorę to wszystko na serio, i stają się na chwilę aktorem. Ale nie tracę nigdy świadomości, iż to tylko farsa. W takim samym nastroju słucham opowieści o boginkach... i nie tylko o boginkach. To samo dzieje się, gdy idzie o owego wielkiego pana, który żyje w niebie. Gdy patrzymy, jak kroczy w procesji, wśród pomruku oremusów^[7], przybieramy w biel ołtarze i stroimy ściany domów. Ale prawdę mówiąc... cicho bądź, gaduło, to pachnie konfiskatą!... Panie, nie rzekłem nic złego! Zdejmuję kapelusz... cicho, sza!

[7] Oremus (łac.) – módlmy się, początkowe słowa niektórych modlitw. Stąd tutaj oremusy – modlitwy.

KONIEC LUTEGO

Osiół, wyskubawszy wszystką trawę na łące, oświadczył, że nie ma tu co robić, i poszedł sobie na łąkę sąsiada. Garnizon księcia de Nevers odmaszerował dziś rano. Radość była patrzeć na tych draniów: każdy spaśny, ciężki, tusty i czerwony. Byłem dumny z mojej kuchni. Ucałowaliśmy się z dubeltówki na pożegnanie. Życzyli nam gorącym sercem, by nam się darzyło zboże, by winnice nasze nie doznały szkody od mrozu.

– Weź się ostro do pracy, wujaszku! – radził mi specjalnie gość mój, sierżant, który najdłużej stał kwaterą (zasłużyłem na to zaszczytne miano, chociaż nie przyznaję się do pokrewieństwa z tą kanalią). – Weź się do pracy i fatygi nie żałuj, zwłaszcza w winnicy. Na św. Marcina przyjdziemy z powrotem i popijemy wesoło!

Pocziwi to ludzie, gotowi zawsze przyjść z pomocą człowiekowi, gdy wiedzie zacięty bój z dzbanem.

Jakoś mi ulżyło, gdy sobie poszli. Sąsiedzi otwierają pomału swoje skrytki. Ci, którzy wczoraj jeszcze wyglądali jak po wielkim poście, jęcząc z głodu i wyrzekając na nędzę, odnajdują dziś tu i ówdzie pod słomą w spichrzu lub też pod ziemią w piwnicy, a wreszcie pod warstwą cegieł w ścianie różne różności dla pokrzepienia ciała. Nawet największym safandułom udało się, przy pomocy doskonale wyuczonych żalów na głód i pragnienie, utrzymać w całości baryłki najlepszego wina.

Ja sam (doprawdy nie wiem, jak się to mogło stać), gdy tylko rozstałem się z moim sierżantem (odprowadziłem go aż za miasto), nagle palnąłem się pięścią w czoło i przypomniałem sobie, że została w stajni, postawiona tam umyślnie w ciepłe, spora baryłka doskonałego, wytrawnego chablis. Jak sobie każdy może wystawić, byłem w pierwszej chwili ogromnie zasmucony. Ale skoro zło już się stało, trzeba się pogodzić z koniecznością i przyznać, że ostatecznie stało się dobrze. Jestem zgodliwy. Sierżancie,

siostrzeńcze drogi, ach, nie wiesz, coś stracił! Co za nektar, jak to pachnie! Ale nie poniesiesz straty, chłopcze... zaręczam ci słowem, bo tę beczułkę wypiję wyłącznie za twoje zdrowie!

Sąsiedzi odwiedzają się wzajem. Jeden pokazuje drugiemu, co znalazł w piwnicy, wszyscy mrugają oczyma niby augurowie starożytni i składają sobie gratulacje. Oczywiście, jeden opowiada drugiemu, jakie poniósł straty, jakich doznał gwałtów (w tej materii rozmowy toczą się często na ucho), szukają pocieszenia we wspólnym losie. Wszyscy często pytają ze współczuciem Wincentego Pluviaut o stan zdrowia jego małżonki. Jest to dzielna kobiecina, a posiada też tę właściwość, że po każdym pobycie wojsk musi przydłużać pasek, gdyż staje się dziwnie krótki. Składamy życzenia szczęśliwemu małżonkowi i ojcu, podziwiamy jego ochotność w służbie ojczyściej sprawie, a ja żartem, bez złej myśli, klepię go po brzuchu pełnym, nieposzkodowanym, podobnie jak gospodarstwo tego spryciarza, które wśród ogólnej katastrofy jakoś nic nie ucierpiało. Wszyscy śmieją się wesoło a dyskretnie, nie czyniąc przykrych aluzji. Ale Pluviaut czuje się urażony moim żarciem i udziela mi rady, bym lepiej pilnował własnej żony. Odpowiadam, że szczęśliwy posiadacz tego skarbu może spokojnie chrapać całą noc, nie obawiając się złodzieja. Naturalnie wszyscy mi przyznają słusność.

*

Ale zbliżają się dni sytości. Chociaż obecnie nie bardzo obfite, to jednak: zastaw się, a postaw się! Idzie o reputację obywateli i całego miasta! Cóż by powiedziano o Clamecy, słynnym ze smakoszostwa, gdyby Mięsopest zastał je bez frykasów? W każdym domu skwierczą rondle, a cudny zapach przyrumienionego tłuszczu napełnia wszystkie ulice. Skwiercz, skacz, naleśniczku, dla małej Głodzi na uciechę!

Nagle... ra-ta-ta... ra-ta-ta! Słysząc bębny, flety, trąbki, śmiechy, wykrzykniki. To goście z Judei przybywają do Rzymu^[8].

[8] Betlejem, przedmieście Clamecy, nazywamy Judea, a miasto – Rzymem, nawiązując do starożytnych schodów wiodących od kościoła Św. Marcina do Beuvronu. (Przyp. aut.)

Na czele pochodu kroczy muzyka, a za nią halabardnicy, torując sobie nosami drogę wśród tłumu. Czegóż tu nie ma: nos jak trąba słońca, coś w rodzaju lancy, dalej nos-róg myśliwski, nos-dmuchawka, nos najeżony cierniami, nos inkrustowany kasztanami, z małymi jakby ptaszętami na końcu. Nochale rozpychają gapiów i klepią kobiety po pośladkach, aż piszczą. Ale wszystko znika przed królem nosów, który niby taran, niby kusza potężna toczy się z rozpędem na wyniosłej lawecie.

Pośrodku tłumu na wysokim wozie widnieje Wielki Post, król rybkojadów. Otaczają go postacie wybladłe, zielone, wychudłe, wypatroszone, oblaźłe, dygocące, w kapturach lub czapach o kształcie rybich łbów. A co ryb dokoła! Ten trzyma w jednej garści po karpiku i okoniu; tamten wymachuje różnem z nadzianymi nań kiełbikami, trzeci wystawia olbrzymiego szczupaka z płotką w pysku i rozprutym brzuchem, pełnym rozmaitej drobnicy wodnej. Łatwo o niestrawność od tego widowiska! Inni pakują sobie palce do otwartej na oścież gęby, by przepchnąć przez oporną gardziel jaja kurze, krztusząc się przy tym i dławiąc.

Po prawej i lewej stronie rydwanu stoją maskary, jedne w kształcie puszczyków, inne w sukienkach mniszek, zarzucając w tłum długie wędki obładowane przynętami w postaci lukrowanych orzechów i łakotek; co zręczniejsze łobuzy próbują chwycić je w locie, podskakując jak młode koźlęta. Na końcu płąsa diabeł w fartuchu kucharza, z patelnią w jednej a chochlą w drugiej ręce. Wtyka on co chwila sześciu bosym i spętanym męczennikom kęsy jakiejś osobliwej stawy do gąb wykrzywających się spoza drabinek wozu.

Ale oto triumfatorowie dnia. Jawi się Królowa Kielbas, siedzi na wysokim tronie z szynek, otoczona wieżami ozorów. Na głowie ma salceson, na szyi

długi różaniec serdelków, którymi bawi się z gracją. Z prawej i lewej strony maszerują kiszki krwawe i pasztetowe, specjalność Clamecy, a prowadzi je na pole chwały pułkownik Smakowęch. Przyozdobione frykasami z ciasta i arabeskami z sadła, wyglądają wspaniale, potężnie, połyskliwe, świetnie.

I ja, przyznaję, lubię tych dostojników, których brzuch wygląda jak garnek i którzy przynoszą jak magowie: ten smakowitą świninę, ten doskonałe wino, ten musztardę z Dijon.

Wtedy właśnie przy dźwiękach rondla, cymbałów, przetaków, patelni oraz wrzasków nieludzkich nadjeżdża wierzchem na ośle Król Rogali, nasz Wincenty Pluviaut we własnej osobie. Został wybrany jednogłośnie. Siedzi na swym kłapouchu twarzą do ogona, w wysokim turbanie na głowie, w ręce trzyma kubek i przysłuchuje się wrzaskliwej owacji swej świty, która prozą, wierszem i pieśnią opiewa jego historię i sławi go wymownie. Jako wytrawny mędrzec, nie okazuje pychy. Zachowując równowagę umysłu popija raz po raz. A tylko gdy pochód mija jakiś dom wsławiony podobną przygodą, wznosi puchar i woła: „He, he, kolego! Za twoje zdrowie!”

Pochód zamyka Wiosna. Jest to śliczna, świeża dziewczyna, rumiana i roześmiana. Jasne włosy, gładko zaczesane, zdobią pęki żółtych pierwiosnków. Taki sam wianuszek spływa jej z szyi ku zielonemu staniczkowi, w którym, niby jajka w gniazdku, kryją się krągłe piersiątko. W ręku trzyma koszyczek pełen kwiecia. Śpiewa wznosząc w górę brwi, wytrzeszczając swe modre, wielkie ślepki i robiąc „o” z usteczek. Nieco piskliwym głosikiem zapowiada wszystkim, że jaskółki wnet nadlecą.

Za nią duży wóz zaprzężony w cztery siwe woły, pełen młodych, pulchnych, kształtnych, wesołych, nawet za wesołych, dziewcząt. Jest tam też kilkanaście podlotków w przejściowym wieku, które tkwią po kątach, przyćmione zupełnie, niby młode, wątłe drzewiny wtulone pomiędzy wyrosłe należycie siostry. Tej i owej brakuje jakiegoś kawałka, trafi się brzydula, ale wszystkie młode i ohotne, przeto wilk nie będzie narzekał na te owieczki. Trzymają klatki z ptakami przelotnymi, a sięgając często gęsto

do koszyka Królowej Wiosny, rzucają chłopcom, tłoczącym się wokoło wozu, ciastka, pakieciki i zawiniątka, w których szczęśliwcy znajdują szlafmyce, pończochy, czekoladki, wróżby, wiersze miłosne, a czasem – rogi.

– Wóz przybył do stóp wieży i zatrzymał się u schodów. Dziewczęta zeskakują i zaczynają tańczyć z chłopcami na placu katedralnym. Ale Królowa Kielbas, Wielki Post i Król Rogali odbywają dalej swój marsz triumfalny. Zatrzymują się co chwila, by objawić tłumowi jakąś wzniosłą prawdę albo poszukać jej na dnie szklanki.

Pijmy wino! Pijmy wino!

Nie odjedziem z kwaśną miną...

Żaden Burgund się nie zbłąźni,

By nie wypić po przyjaźni.

*

Gdy się pije nad miarę, język kołczeje i werwa roztapia się na nic. Zostawiam tedy zacnego Wincentego wraz z jego eskortą na najbliższej stacji pijackiej, w cieniu beczki, i idę sobie. Dzień jest zbyt piękny, by go spędzić w ścisku. Trzeba odetchnąć świeżym powietrzem pól.

Dawny przyjaciel mój, proboszcz Chamaille, przyjechał ze swej wioski na przyjęcie do kanonika katedry Św. Marcina i zaprasza mnie, bym go odprowadził kawałek drogi. Zabieram moją Glodzię i pakujemy się do małej, trzęsącej biedki zaprzęgniętej w osła. W drogę! Ośliczka jest tak mała, że można by ją pomieścić w biedce pomiędzy mną a Glodzią. Przed nami ściele się biała, równa droga.

Słońce drzemie. Samo się grzeje u własnego kominka, dla nas nie pozostaje dużo ciepła. Ośliczka także zapada co krok w drzemkę czy zadumę. Proboszcz przywołuje ją do porządku głosem oburzonym, podobnym do brzęczenia dużego trzmiela:

– Madelon! A to co?

Ośliczka wzdyga się, strzyże uszami w odpowiedzi, potem wlecze się

zygzakiem od rowu do rowu. Ale po chwili staje i duma nie zważając na wymyślanie.

– Niechże cię! – woła proboszcz okładając jej zad laską. – Gdybyś nie miała krzyża na grzbiecie, dalibóg, połamałbym ci kości!

Zatrzymujemy się na odpoczynek w pierwszej napotkanej oberży na skrócie drogi, która stąd stacza się lekkim spadkiem ku bielejącej w dali wiosce Armes, przegładającej się w krystalicznych nurtach rzeki. Pośrodku pobliskiego pola stoi wielki orzech i wznosi ku niebu sęcate, nagie, czarne ramiona. Łysy jest jeszcze zupełnie. Wokoło drzewa tańczą dziewczęta. Chodźmy do nich. Dzisiaj właśnie zaniósły, wedle obyczaju, kumoszce-sroce ciastko świąteczne.

– Głodziu, patrz no! Tam na drzewie siedzi srocza, srocza-plotkarka, srocza-złodziejka! Widzisz? Ma białą kamizelkę i wychyla, się, by nas zobaczyć. Straszna z niej ciekawska. Jej gniazdo nie ma drzwi ni okien, ledwo trzyma się gałęzi i wiatr hula po nim, jak chce. To umyślnie, gdyż srocza boi się, że coś ujdzie jej okrągłym, ciekawym ślepiom i nie będzie mogła wypaplać. Bardzo często przemarznie do kości lub przemoknie do nitki... ale nic sobie z tego nie robi. Główna rzecz to zaspokoić ciekawość. Strasznie zła. Wydaje się, jakby mówiła: „Cóż mi tam po darach waszych? Zabierzcie je sobie z powrotem. Czy myślicie, że gdybym miała ochotę na te wasze głupie ciastka, nie umiałabym sobie poradzić? Ukradłabym, i basta! Nie sprawia mi przyjemności jeść rzeczy, które mi kto pod nos podsunie. Smakuje mi tylko kradzione!”

– Więc po cóż, dziadziu, dawać tej głupiej złodziejce ciasteczko przystrojone w śliczne wstążeczki? Po cóż jej życzyć wszystkiego dobrego?

– Bo widzisz, moja dziecinko, w życiu rozsądniej jest żyć ze złymi w przyjaźni niż w nieprzyjaźni!

– Ładnych ty ją uczysz rzeczy! – oburzył się proboszcz.

– Nie mówię, że to pięknie, powiadam tylko, że tak każdy czyni, a ty sam pierwszy, drogi księżu, nie przewracaj tak oczyma. Powiedz, czy nie

zatkałbyś ciastkiem gęby dewotce, która przychodzi cię dręczyć, klekotać, która wie wszystko, wszystko słyszy, wtyka nos wszędzie?

– Boże, byle tylko chciała poprzestać na ciastku! – wykrzyknął proboszcz.

– Ale sroka i tak więcej warta od kobiety. Język jej czasem przydaje się na coś!

– A na co, dziadziu? – spytała, Glodzia.

– Gdy się wilk pokaże, srocza krzyczy na całe gardło.

Ledwo padły te słowa, ptaszysko zaczęło się drzeć w niebogłosy. Biła skrzydłami, piszczała, miotała klątwy, podlatywała i widoczne było, że złości się na kogoś będącego w dolinie wioski Armes. Żerujący na skraju lasu towarzysze sroki: kawka i kruk, odpowiadali tym samym wrzaskiem, niecierpliwym i poirytowanym. A ludzie śmieli się i wołali:

– Wilk, wilk?! Nikt w to nie wierzy.

Mimo to ludzie się rozglądają. (Zawsze lepiej sprawdzić.) I co się okazuje? Do kroćset starych diabłów! Kupa uzbrojonych ludzi zjawiała się na wzgórzu. Posuwają się biegiem. Poznajemy ich. To te łajdaki, żołnierze z Vézelay. Wiedząc, że miasto nasze nie ma załogi, postanowili widocznie zaprowiantować się u nas. Mogę zaręczyć, że nie marnowaliśmy czasu na podziwianie ich. Rozległ się krzyk:

– W nogi! W nogi!

Uczyńło się kotłowisko, ludzie zaczęli się pchać, popychać. Wszyscy uciekali co sił drogą, na przełaj przez pola, jedni dotykając brzuchem ziemi, inni dotykając jej odwrotną stronę swego ciała.

Wskakujemy do biedki. Jakby zrozumiała, o co idzie, Madelon rusza galopem i pędzi niby strzała, a poczciwy proboszcz okłada jej boki laską zupełnie zapominając o respekcie dla istoty mającej wyobrażenie krzyża na grzbiecie.

Jedziemy otoczeni tłumem uciekających, wydających przeraźliwe okrzyki, i dopadamy Clamecy, okryci kurzem i słomą, jedni z pierwszych, a za nami cisną się spóźnieni. W pełnym galopie przebiegamy przedmieście na bryczce

podskakującej co chwila. Madelon unosi się w powietrzu, proboszcz nie przestaje bić, a wszyscy wołają na całe gardło:

– Nieprzyjaciel nadchodzi!

Ludzie patrząc na nas śmiali się z początku, ale wnet zmiarkowali, o co idzie. Zaroiło się niby w mrowisku, gdy wetknąć w nie kij. Rejwach powstał, każdy zjawiał się, znikał, wracał, wychodził. Mężczyźni uzbrajali się, kobiety pakowały na gwałt rzeczy do koszów i wózków, a cała ludność przedmieścia opuszczając domy ciągnęła w stronę miasta, pragnąc co prędzej dostać się za mury. Szli, jak kto stał, w kostiumach, w maskach – ten z przyprawionymi pazurami, ten w rogatej czapce, inny z wypchanym brzuchem, jeszcze inny przebrany za Belzebuba czy Gargantnę; wszyscy biegli do bastionów, zbrojni w proce i harpuny.

Gdy awangarda wojska z Vézelay znalazła się pod murami, mosty zwodzone były już podniesione, a po drugiej stronie rowu znalazło się ledwo kilku biedaków, którzy nie mając nic do stracenia, nie starali się ukrywać, oraz nasz przezacny Król Rogali, Pluviaut, opuszczony przez eskortę, pełny wina aż po dziurki w nosie, napęczniały jak beczka i chrapiący na swym ośle, którego ogon ścisnął oburącz.

I oto zaraz okazało się, jak to dobrze mieć za nieprzyjaciół ziomków swych, Francuzów. Inni to tępe łby. Niemiec, Szwajcar czy Anglik pojmie dopiero na Wilię to, co słyszy na Wszystkich Świętych, i wzięłby za oczywiste kpiny ową awanturę z biednym Pluviaut; wtedy zaś nie dałbym złamanego szeląga za jego skórę. Lecz Francuzi rozumieją się bez słowa. Czyś z Lotaryngii, czy z Tours, Szampanii czy Bretanii, czyś gęś z Beauce, czy zając z Vézelay – wszystko jedno! Możemy się między sobą bić, rabować, to inna sprawa, gdy jednak trafi się dobry żart, wszyscy się zaraz na tym poznają.

Ujrzawszy tego naszego Sylena, cała armia nieprzyjacielska wybuchła szczerem, głośnym, wesołym śmiechem. Śmiali się jak wszyscy Francuzi, a więc: oczyma, ustami, nosem, gardłem, twarzą, sercem, brzuchem, a nawet

nogami drgającymi w takt śmiechu.

Na świętego Rigoberta! Widząc, jak się śmieją, ryknęliśmy w odpowiedzi i śmiech huczał wśród murów.

Potem wymieniliśmy poprzez bastiony połajanki utrzymane w tonie żartobliwym, wzorowane na klasycznych enuncjacjach Ajaksa i Hektora. Tylko nasze były pulchniejsze i bardziej tłuste. Rad bym je zanotować, ale nie ma czasu. W każdym razie nie zaniedbam włączyć ich do zbioru najlepszych facecji, powiedzeń, przysłów i dowcipów burgundzkich (szkoda naprawdę, by poszły w niepamięć!), zasłyszanych czasu pobytu mego na tym padole łez, który to zbiór kompletuję od dwunastu lat. Brzuch się trzęsie na samo ich wspomnienie i robią się kleksy na rękopisie.

*

Skończywszy wymianę obelg należało się wziąć do roboty (dobrze wygadać się przed pracą). Ale ani my, ani oni nie mieliśmy ochoty posuwać sprawy za daleko. Oni czuli, że się interes nie udał, gdyż zamknęliśmy na czas bramy, a leżąc na mury nikt nie miał ochoty: można spaść i połamać sobie kości. Należało jednak coś zrobić, cokolwiek bądź, bo jakże tak pójść (bez zakończenia? Tedy zaczęto marnować proch, rzucać petardy... ale chyba wróble ucierpiały od tej pukaniny. Siedząc oparci o mury parapetów, czekaliśmy spokojnie, aż śliweczki przelecą, i wówczas posyłałiśmy im garstkę naszych orzeszków, ale nie bardzo mierząc (nie trzeba się nadto odsłaniać); ten i ów wyjrzał dopiero wtedy (tknięty ciekawością), gdy doleciały wrzaski ujętych za rowem naszych jeńców. Był tam z jakiś tuzin mężczyzn i kobiet, stali w szeregu zwrócenii twarzą do muru, a żołnierze chłostali ich. Darli się wniebogłosy, chociaż ból nie był znów tak wielki.

Aby się zemścić, ponabijaliśmy na lance szynki, salcesony i kiełbasy i, wzniosłszy je w górę, defilowaliśmy, bezpiecznie osłonięci, wzdłuż murów. Na widok owych smakołyków nieprzyjaciele wydali okrzyk wściekłości i pożądania.

Postanowiliśmy dogodzić sobie tego pierwszego dnia oblężenia (dobra

farsa i pieczeń musi być podlana), ustawiliśmy pod murami, gdy nadszedł wieczór, wielkie stoły, a na nich spoczęły góry wiktuałów i baterie flaszek. Bankietowaliśmy hałaśliwie, wznosząc toasty na cześć wiosny. Oblegający mało się nie powściekali ze złości. Tak upłynął pierwszy dzień bez wielkich strat. Zginął, co prawda, jeden z naszych, tłusty Gueneau. Uparł się spacerować po wierzchu murów ze szklanką w rękę, by wroga do jeszcze większej pasji pobudzić. Był podпиты, a ledwo się ukazał, gruchnęła salwa – i szklanka oraz jego mózg poszły w kawałki. Ze swej strony rozciągnęliśmy też jednego czy dwu. Ale nie popsuło to nam humoru, bo wiadomo, nie ma uczyty, by się coś nie stłukło.

Proboszcz Chamaille czekał nocy, by wyjechać z miasta i wrócić do siebie. Daremnie tłumaczyliśmy mu:

– Przyjacielu, narażasz życie. Zaczekaj lepiej, aż się skończy ta awantura. Pan Bóg zajmie się twymi parafianami.

– Nie mogę opuszczać owieczek moich. Jestem prawicą Boga, a jeśli mnie zabraknie, Pan Bóg zostanie mańkutem. Wóz albo przewóz. Jakoś sobie dam radę.

– Wiem, wiem – rzekłem. – Pokazałeś, co potrafisz, gdy hugonoci obiegli twój kościół. Wówczas zakatrupiłeś własnoręcznie kamieniem ich dowódcę, papistożercę.

– Ogromnie się zdziwił! – odrzekł proboszcz. – Nie mógł, hycel, pojąć zrazu, co się stało. Ja również nie wierzyłem sobie samemu. Jestem człek spokojny i nie pragnę rozlewu krwi. To ohydna rzecz. Ale gdy się człowiek znajdzie pośród szaleńców, sam dostaje bzika. W wilczej norze każdy przemienia się w wilka.

Odpowiadam:

– Racja. Wystarczy być w tłumie, by stracić rozum. Stu mędrców razem jest durnia jednego obrazem, baranów kilka daje jednego wilka. Ale powiedz mi, mój drogi, jak sobie radzisz, by pogodzić z sobą dwa rodzaje zasad etycznych, mianowicie etykę człowieka pojedynczego, który żyje sam na

sam ze swoim sumieniem i domaga się pokoju dla siebie oraz dla bliźnich, a z drugiej strony, etykę stada ludzkiego, państwa, które z wojny i zbrodni robi cnotę. Któraż moralność pochodzi od Boga?

– Ładne pytanie! Oczywiście jedna i druga! Wszakże wszystko pochodzi od Boga!

– Tedy Pan Bóg sam nie wie, czego chce. Chociaż, zdaje mi się, że wie, tylko sobie nie może dać rady. Pół biedy jeszcze, gdy ma do czynienia z pojedynczym człowiekiem. Nietrudno takiego samotnego nieboraka zmusić do posłuszeństwa. Ale niech się tylko ludzie zbiorą w kupę... ho, ho, niełatwa sprawa z tą bandą! *Nec Hercules contra plures!*^[9] W kupie się trzymając człowiek słucha raczej podszeptu rodzicielki ziemi, która mu mięsożerne instynkty podsuwa. Znasz przecież nasze opowieści ludowe, w których ciągle o tym mowa, że w pewnych okresach czasu ludzie stają się wilkami, a potem włożą we własną skórę. Te legendy to coś realniejszego, coś bardziej związanego z życiem niż twój brewiarz, kochany przyjacielu! W państwie każdy człowiek przybiera manieri wilka. Niech tam sobie państwa, królowie i ich ministrowie stroją się w kostiumy pastuszków, niech sobie gadają, że są powinowatymi czy krewnymi Wielkiego Pasterza, twojego Dobrego Pasterza – to wszystko wilki krwiożercze, byki, nienasyceńcy, gardła i brzuchy bez dna. I po cóż to czynią? By podsycać wieczysty głód świata.

[9] *Nec Hercules centra plures* – przysłowie łacińskie znaczące: Gdzie ludzi moc, tam i Herkules nie poradzi.

– Pleciesz, mój drogi! – zawołał Chamaille. – Pan Bóg stworzył wilka jak wszystko inne. A uczynił to dla naszego dobra. Czyż nie wiesz, że właśnie sam Pan Jezus powołał do życia wilka – tak mówi legenda – a to, by bronił przed kozami i baranami kapusty rosnącej w ogródku Dziewicy, matki swojej. I dobrze uczynił. Złożmy mu hołd. Narzekamy ciągle na silnych.

Zważ jednak, mój drogi, że gdyby ci tak zwani słabi zostali władcami świata, byłoby nierównie gorzej! Z tego wynika wniosek: wszystko jest potrzebne, zarówno wilk, jak owieczka. Owcom potrzeba wilka, by pilnował i uczył przezorności; wilkowi potrzebne owce, bo przecież musi żyć. Skończyłem, drogi Colasie, a teraz idę pilnować mojej kapusty.

Podwinął sutannę, ścisnął w garści laskę i ruszył wśród ciemnej, bezksiężycowej nocy, powierzywszy naprzód ze wzruszeniem mej opiece małą ośliczkę Madelon.

Następny dzień miał przebieg mniej wesoły. Mnóstwo jadła poszło pierwszego wieczora. Ucztowaliśmy bez oglądania się na przyszłość, przez lekkomyślność, pyszałkowatość, wreszcie przez głupotę. A zapasy nasze były więcej niż skromne. Trzeba było ściągnąć brzuch paskiem i tak też się stało. Bufonowaliśmy dalej. Gdy brakło kiełbas, zaczęto fabrykować namiastki. Napełniono kiszki rozmaitym śmieciem i spuszczone je na harpunach pod nos nieprzyjacielowi. Te draby wzięły się na sposób. Kula trafiła ową kiełbasę, tak że spadła wśród wojsk oblegających. Można sobie przedstawić, kto się śmiał wówczas.

Mało tego, napastnicy zobaczywszy, że łapiemy ryby w rzece spuszczać z muru wędki wprost w wodę, pozarzucali w tych miejscach sieci o małych oczkach i cała zdobycz wpadała odtąd w ich ręce. Daremnie kanonik zaklinał owych pogańskich synów, by nam nie wzbraniali dochowywać postu. Tedy z braku rybek przymuszeni byliśmy nadziewać się sadłem.

Mogliśmy, naturalnie, prosić o pomoc księcia de Nevers, ale prawdę powiedziawszy, nie bardzo nam się uśmiechała myśl goszczenia jego wojsk. Taniej kosztowało mieć pod murami nieprzyjaciela niż przyjaciół w mieście. Toteż obchodzono się bez obrońców, jak się tylko dało najdłużej. Nieprzyjaciel zresztą zachowywał się dyskretnie, tak że nie byliśmy zmuszeni uciekać się do tej ostateczności. Obie strony wołały raczej porozumieć się bez pośrednictwa, zaczęto tedy z wolna, bez pośpiechu pertraktować.

W obu obozach płynęło życie spokojnie i było ściśle uregulowane. Kładziono się spać wcześniej, wstawano późno, a przez resztę dnia grano w kości, w korki i ziewano raczej z nudów niż z głodu. Zresztą i wśród dnia drzemano, tak że koniec końcem mimo postu tyliśmy wszyscy...

Staraliśmy się zachowywać jak najspokojniej, ale trudno było sobie dać radę z dziećmi. Ta banda rozwrzeszczana, rozbiegana, roześmiana doprowadzała nas nieraz do rozpacz. Dzieciska wyłaziły na mury narażając się na pociski, pokazywały języki oblegającym, bombardowały ich kamieniami. Chłopcy posiadali całą artylerię proc, katapult, rozszczepionych patyków i innych miotaczy kamieni. Zabieraliśmy im te przyrządy, gdzie kto dopadł, ale czyż to co pomagało? Smarkacze ryczeli z uciechy. Oblegający przysięgali, że ich wybiją do nogi, a każdy malec, który wystawi nos za mury, zostanie zastrzelony.

Przyobiecaliśmy czuwać nad tą hałastrą, ale daremnie ciągnęliśmy ich za uszy i obtłukiwali pośladki: znikali jak duchy i pojawiali się tam, gdzie nie trzeba. Do tego doszło, że pewnego dnia (drzę jeszcze dotąd) słyszę krzyk: to Glodzia, ta cicha woda, to niewiniątko (kto by to powiedział, ach, niewdzięcznica!), wdrapawszy się wraz z chłopcami na mury, spadła jak tłumoczek prosto w rów forteczny. Byłbym ją obił w tej chwili. Miotłem się po murach, a cała załoga wychyliła się patrząc, co się dzieje. Gdyby nieprzyjaciel skorzystał ze sposobności, nikt by żywy nie uszedł. Ale oblegający również spoglądali w rów, na którego dnie siedziało sobie spokojnie dziecko. Spadła jak kociak w trawę i nawet się nie przestraszyła. Siedziała i wzniosłszy głowinę uśmiechała się do dwu szeregów twarzy spoglądających na nią. Potem zaczęła zrywać kwiatki.

Wszyscy śmiali się z przygody, a zacny kapitan napastników de Raguy dał nawet małej pudełeczko z miętówkami, które miał przy sobie, zapowiedziawszy naprzód, by jej nikt palcem nie śmiał tknąć.

Ale czyż kto poradzi z babami? Podczas gdyśmy byli zajęci Glodzią, Martynka, chcąc jej także śpieszyć z pomocą, ześliznęła się również z

murów, a podniesiona aż do samej szyi spódnica ukazała oblegającym wszystkie doczesne skarby jej ciała od wschodu do zachodu, w ogóle z czterech stron świata, oraz wszystkie gwiazdy i konstelacje w całym blasku. Odniosła niesłychany sukces. Niezmieszana wcale, podeszła do Glodzi, pocałowała ją, a potem dała dziecku w skórę.

Pewien żołnierz, podniecony tym, co widział, nie zwracając uwagi na wołanie kapitana, rzucił się biegiem i skoczył do rowu. Czekala nań nieustraszona. Rzuciliśmy jej z góry miotłę. Chwyła ją i ruszyła mężnie na nieprzyjaciela. Szła ostro do ataku, machając bronią i wymierzając ciosy, a zalotnik rejterował ciągle, aż wreszcie opuścił pole walki sromotnie pobity.

Wyciągnęliśmy na linie tryumfatorkę wraz z dzieckiem wśród obustronnych śmiechów. Sam ciągnąłem, dumny jak paw, ów sznur, na końcu którego wisiała moja Martynka ukazując nieprzyjacielowi księżyc w pełni.

Przez cały jeszcze tydzień trwały narady (dobra każda okazja do pogawędki), potem zaś wobec głuchych wieści o zbliżaniu się księcia de Nevers nastąpiła ugoda, i to na bardzo korzystnych dla nas warunkach. Przyrzekliśmy przeciwnikom dziesięcinę z przyszłego winobrania. Nie bardzo to obciąża obiecać coś, czego się nie ma, a co ma się mieć dopiero w przyszłości. Może wcale nie nastąpić konieczność dotrzymania umowy, tymczasem dużo wody upłynie w rzece, a więcej jeszcze przeleje się wina do żołądków.

Obie strony były zadowolone ze siebie wzajem, a my osobno jeszcze z nas samych. Ale niestety, ledwośmy obeschli z deszczu, dostaliśmy się na nowo pod rynnę. W nocy, która nastąpiła po dniu, kiedy zawarliśmy traktat pokojowy, ukazał się na niebie znak.

Około godziny dziesiątej kometa wzniosła się od strony Sembart i sunąc pośród gwiazd ku St. Pierre-du-Mont wydłużała się na kształt olbrzymiego węża. Podobna była do miecza o klindze jak płonąca pochodnia. Za płomieniem wlokła się długa wstęga dymu. Rękojeść owego miecza

trzymała potężna dłoń o palcach zakończonych czymś w rodzaju głów ludzkich. Kometa miała kolor krwistofioletowy, przy końcu rudawy, niby jątrząca się rana.

Oczy wszystkich utkwione były w niebo, wszystkie usta rozwarły się od ucha do ucha, słyhać było, jak zęby szczękają. Obie strony spierały się o to, do kogo odnosi się prorocstwo i co oznacza. My byliśmy pewni, że jest to znak zagłady przeciwnika, ale drżeliśmy mimo to na całym ciele. To znaczy drżeli wszyscy prócz mnie. Ja się nie bałem wcale, albowiem spałem właśnie. A spałem dlatego, że czas ten wyznaczony był w moim kalendarzu jako pora do zażycia lekarstwa i spoczynku. Nie odważyłbym się nigdy sprzeciwić temu, co nakazuje mój kalendarz, i wykonuję jego zlecenia święcie, uważając go za ewangelię. Ale opowiedziano mi wszystko szczegółowo, przeto zapisuję dla dokładności te fakty.

*

Po podpisaniu traktatu pokojowego nastąpiła wspólna uczta, a że właśnie nadszedł Mięsopest, przeto można było podjąć godnie. Na święto wyzwolenia miasta nadciągnęły z sąsiednich wiosek posiłki w postaci obfitych wiktuałów i licznej bandy obżartuchów. Był to w całym tego słowa znaczeniu piękny dzień! Wzdłuż murów ustawiono stoły. Podano trzy młode dziki upieczone w całości, nadziane podróbkami i pasztetem z czystej wątróbki – dalej wonne szynki, wędzone w dymie jałowcowym, pasztety z dziczyzny i wieprzowiny pachnące czosnkiem i liśćmi laurowymi, potem szczupaki, ślimaki w skorupkach, kiełbasy, flaczki, wędzonkę przerastała, czarną potrawkę z zająca, główki baranie rozpływające się wprost na języku, całe kupy purpurowych, pieprznych raków, od których w gardle piecze, a do tego sałatę z cebulą; i octem. Oczywiście polewano jadło gorliwie winkiem: chapotte, mandre i vauvilloux, a są to, jak wiadomo, trunki szlachetne. Deser stanowiło cudne, tłuste, krystaliczne, chłodzące kwaśne mleczko i sucharki, które włożone do wina, niby gąbka, wypijały całą szklankę do dna.

Nikt się z miejsca nie ruszył, póki starczyło jada. Chwała bądź Bogu,

który w niewielkim brzuchu, w tak małej przestrzeni, utaił tak wielką zdolność wchłaniania jadła i napitku. Nade wszystko piękny był pojedynek pomiędzy pustelnikiem, zwanym Krótkouchem, z St. Martin de Vézelay, który przybył wraz z vezeleńczykami (ten wielki mąż dokonał pierwszy spostrzeżenia, że osioł nie może ryczeć nie podniósłszy w górę ogona) – a naszym czcigodnym don Hennequinem (ani słowa więcej o osle!), który twierdził, że musiał być w poprzednich swych wcieleniach szczupakiem lub karpem, gdyż tak się opił wodą, że teraz pić może tylko wino.

Ostatecznie, gdyśmy wstali od jedzenia, okazało się, że mamy dla vezeleńczyków, a oni wzajem dla nas dużo więcej szacunku i miłości, niż to się wydawało przy zupie. I tak przy jedzeniu człowiek dowiaduje się o wartości drugiego człowieka. Kto kocha to, co dobre, tego ja Kocham, gdyż jest on dobrym Burgundem.

Właśnie trawiliśmy w najlepszej zgodzie pochłonięte dary niebios, gdy zjawiała się odsiecz w postaci oddziału księcia de Nevers. Śmiechu było co niemiara i obie strony poprosiły ich zgodnie i uprzejmie, by zawrócili, skąd przyszli. Nie śmieli napierać i odeszli z nosami na kwintę, ulegli jak owieczki. A my rzuciliśmy się sobie w objęcia, wołając:

– Cóż za głupstwo bić się między sobą, gdy to wychodzi na korzyść naszych obrońców! Zaprawdę, gdybyśmy nie mieli wrogów, oni stworzyliby ich niewątpliwie, w tym celu, by nas móc brać w obronę. Dziękujemy bardzo! Niechże Bóg wybawi nas od naszych zbawców! Z nieprzyjaciółmi damy sobie radę sami! Biedne owieczki! Gdybyż miały jeno bronić się od wilka, jakoś by to poszło. Niestety, muszą strzec się własnego pasterza!

III

PROBOSZCZ Z BRÈVES

I KWIETNIA

Gdy tylko drogi opustoszały po nieproszonych gościach, postanowiłem udać się nie zwlekając do mego drogiego proboszcza Chamaille. Nie bardzo się o niego niepokoiłem. Wiedziałem, że poczciwiec ten potrafi się obronić. Ale zawsze jakoś człowiek czuje się spokojniejszy, gdy na własne oczy ujrzy przyjaciela. Zresztą chciałem sobie rozprostować nogi.

Ruszyłem tedy, nic nikomu nie mówiąc, i pogwizdując wędrowałem wzdłuż brzegu rzeki wijącej się u stoku lesistego pagórka. Na młodych bladziutkich listeczkach błyszczały drobne kropelki deszczu, onej błogosławionej rosy wiosennej, która pada z nieba, zatrzymuje się na chwilę, a potem poczyną sączyć się znowu. Zakochana wiewiórka krzyczała w gęstwie, po łąkach kiwały się niezdarne gęsi, kosy darły się na całe gardło, a mysikrólik trzepał swe nieustanne: titipit!

W drodze przyszedł mi pomysł odwiedzenia drugiego przyjaciela, mieszkającego w Dornecy, notariusza Paillard. Podobnie jak Gracje, tworzyliśmy nierozłączną trójcę. Znalazłem go, jak zwykle, przy biurku. Korzystając z każdej wolnej od zajęcia chwili zapisywał pilnie stan pogody, swoje sny oraz spostrzeżenia polityczne. Na stole obok kodeksów widniały otwarte Proroctwa Nostradamusa, zwane także Centuriami^[10]. Bywa tak, że gdy człek dusi się ciągle w czterech ścianach mieszkania, natenczas umysł mści się i wybiega na szerokie doliny marzeń i w wąwozy wspomnienia – i, nie mogąc sam pokierować ową kulistą machiną, czyta w księdze przyszłości losy świata.

[10] Nostradamus (1503-1566) – lekarz i astrolog francuski, autor przepowiedni rymowanych pt. *Centurie*.

Wszystko stoi napisane naprzód – tak mówią. Chętnie w to wierzę, ale sam

nie mogłem nigdy wyczytać w Centuriach nic naprzód, aż dopiero wówczas, gdy się stało.

Pocziwy Paillard ujrawszy mnie rozpogodził oblicze i zaraz cały dom od góry do dołu zatętnił naszym wesołym śmiechem. Z przyjemnością wpatrywałem się w tego małego, krągłego człowieka o pomarszczonej twarzy, dużych szczękach, ubarwionym świetnie nosie, oczkach ukrytych w fałdach skóry, ale żywych i chytrych. Paillard miał minę kąśliwą, narzekał ciągle na czasy i ludzi, ale w gruncie rzeczy przepadał za żarcikami i facecjami jeszcze bardziej ode mnie. Miał zwyczaj rzucać ucieszne kalambury z miną grobową i cieszył się z nich, a gdy zasiadł u stołu przy flaszcze wielbiąc świętych Komusa i Momusa i zaintonował ulubioną piosenkę, miło było nań spojrzeć.

Długo ścisnął me ręce w swych wielkich, wyziębłych od wiosennego chłodu dłoniach. Cóż to były za ręce! Zwinne, zręczne, potrafiły wszystko: wodzić piórem, gestykulować, grać na rozlicznych instrumentach, piłować, szyć, oprawiać książki, rzeźbić, kleić. Zrobił sam wszystko, co miał w domu. Nie było to wprawdzie piękne, ale – piękne czy brzydkie – pochodziło od niego, było jego wizerunkiem.

By nie stracić wprawy, uważał się na to czy tamto, ja zaś na przekór chwaliłem wszystko. On był pan Tymgorzej, a ja pan Tymlepiej. Takeśmy się zawsze zabawiali. Nade wszystko skarżył się na swych klientów i tutaj miał zupełną rację. Nie bardzo się śpieszyli z uregulowaniem rachunków, tak że miał należności sprzed trzydziestu pięciu lat. Ale nie czynił kroków sądowych, by je odzyskać. W ogóle płacono mu tylko przypadkiem, gdy komuś przyszło na myśl, i to zawsze w naturze. Otrzymywał czasem koszyk jaj lub parę kurcząt. Taki był już zwyczaj i obrażano się, gdy się czasem upomniał. Wyrzekał, ale zostawiał sprawę naturalnemu biegowi rzeczy, a myślę, że będąc na miejscu owych klientów postępowałyby tak samo.

Na szczęście, to, co posiadał, wystarczało mu w zupełności. Miał ładny mająteczek przynoszący dochody, a potrzeb niewiele. Stary kawaler, nie

biegał za spódniczkami, co się zaś tyczy jadała, to, Bogu dzięki, wszystko dają nasze pola, winnice, sady, lasy i rzeki w ilości aż nadto dostatecznej. Najwięcej wydawał na książki. Pokazywał je tylko z daleka (szelma, nigdy nie pożyczył nikomu). Miał też drugą manię. Sprowadził sobie z Holandii jakąś nowo wynalezioną lunetę i obserwował księżyc. Sporządził na szczycie dachu pomiędzy kominami dziwną ruchomą platformę i stamtąd starał się wyczytać w gwiazdach zasady, na których opiera się los rodzaju ludzkiego.

W gruncie rzeczy nie miał pojęcia o astronomii czy astrologii, ale lubił to zajęcie. Rozumiem go doskonale. Miło spoglądać z okna na spacerujące po niebie, niby panienki po ulicy, ciała niebieskie. Można z nimi flirtować, intrygować je, nawiązywać stosunki, a choćby to wszystko było głupstwem, bawi jednak człowieka.

Rozprawialiśmy, naturalnie, długo o cudzie, o ognistym mieczu, który się w zeszły czwartek pojawił na niebie, a każdy tłumaczył ten znak po swojemu i upierał się przy swym zdaniu. W końcu jednak, zorientowaliśmy się, że żaden z nas nie widział komety, gdyż właśnie tego wieczora zdrzemnął się astronom przy swym teleskopie. Z chwilą gdy się człek dowie, że nie sam jest głupcem, doznaje ulgi i przyznaje rację drugiemu głupcowi. Przeto dyskusja zakończyła się wesoło.

Wyszliśmy razem, postanowiwszy nic o tym nie mówić proboszczowi. Wędrując przez pole, patrzyliśmy na świeże pędy zieleni, czerwone witki krzewów, ptaki krzątające się koło budowy gniazd i zawieszzonego na jasnym niebie jastrzębia.

Wspominaliśmy też ze śmiechem dobry figiel, któryśmy niedawno splełali proboszczowi Chamaille. Długie miesiące wysilaliśmy się, by szpaka w klatce wyuczyć hugonockich hymnów. Gdy już umiał, co trzeba, puściliśmy go w ogrodzie proboszcza na wolność. Czuł się tam bardzo dobrze i śpiewał po całych dniach, a w dodatku stał się nauczycielem innych szpaków w całej miejscowości. Chamaille, słysząc ten chorał, nie mógł odmawiać brewiarza,

żegnał się, klął, miotał egzorcyzmy, wściekał się, aż nareszcie zakradł się cichaczem i zza okiennicy palnął w łeb złemu duchowi, po czym spożył go w kruchym cieście, ze słoninką. Taki to był spryciarz z naszego proboszcza.

*

Rozmawiając bez przerwy, przybyliśmy na miejsce. Całe Brèves było jakby wymarłe. Drzwi domów stały otworem, słońce wpadało snopami do środka. Nigdzie ludzkiej twarzy, tylko w jednym miejscu nad rowem widać było pośladki jakiegoś smarkacza oddającego się z zapalem znanym funkcjom fizjologicznym.

Ale w miarę jakeśmy się wraz z Paillardem posuwali do środka wioski, ku placowi kościelnemu, idąc drogą zasłaną gnojem i słomą, wpadał nam w uszy coraz to wyraźniejszy szum, jakby brzęczenie rozgniewanych pszczoł.

Na placu pełno było ludzi, a wszyscy krzyczeli, wymachiwali rękami, piszczeli, gwizdali, słowem – zachowywali się jak szaleńcy.

Pośrodku tłumu, stojąc w furtce ogrodu plebani, proboszcz Chamaille, purpurowy ze złości, potrząsał obiema rękami, pokazując pięści swym drogim parafianom. Chcieliśmy się dowiedzieć, o co idzie, ale nie mogliśmy pochwycić nic prócz gwaru zmieszanych głosów, spośród którego wyrywały się słowa: „Poczwarki! Chrabąszcze! Myszy polne!... *Cum spiritu tuo!*”^[11]

[11] *Cum spiritu tuo!* (łac.) – z duchem twoim.

Chamaille krzyczał:

– Nie, nie, nie pójdę!

A tłum odpowiadał:

– U diabła! Jesteś ksiądz proboszczem czy nie? Gadaj raz: tak czy nie?

Jeśli jesteś, to musisz nam służyć.

– Bogu służę, nie wam, obwiesie!

Wrzasku było co niemiara. Wreszcie proboszcz zatrzasnął furtkę przed nosem swych pupilów i przeszedł do plebani. Tam przez zakratowane okno przedsiönka wystawił jeszcze ręce. Prawa – z przyzwyczajenia – z namaszczeniem kreśliła znaki błogosławieństwa, lewa zaś miotła na całą wieś i cały świat pioruny zagłady. Potem mignął jeszcze w oknie domu jego brzuch i kwadratowa twarz. Nie mogąc mówić skutkiem wrzasku, pokazał swym owieczkom figę, potem kiwał rozcapierzonymi palcami przyłożonymi do nosa na znak lekceważenia. Na koniec zatrzasnął okiennice wewnętrzne i znikł sprzed oczu zebranych.

Ludzie widocznie dość mieli krzyków, bo niebawem plac się opróżnił, a my poza plecami gapiów, łązających tu i tam, prześliznęliśmy się i zapukaliśmy do drzwi plebani.

Długo musieliśmy kołatać. Uparciuch nie myślał otwierać.

– Księżu proboszczu!

Umyślnie zmienialiśmy głos, by mieć większą uciechę.

– Księżu Chamaille, czy jegomość jest w domu?

– Nie ma mnie, do kroćset diabłów! – odkrzyknął wreszcie. A gdyśmy nastawali, zawołał:

– Idźcie sobie do kroćset! Już was tu nie ma, łobuzy! Inaczej przeświecę was jak należy!

O mały włos, a byłby nam wylał dzban wody prosto na głowy.

– Chamaille! – zawołałem. – Lej przynajmniej wino!

Na te słowa burza przycichła jakby cudem. Przez uchylone okno wyjrzała czerwona, uradowana już twarz zacnego Chamaille’a.

– Do kroćset! To ty, Breugnon! To ty, Paillard! A tom was ładnie przyjął! Przekłęci figlarze, czemużeście nie powiedzieli, że to wy?

Pędem zbiegł ku drzwiom.

– Chodźcież! Chodźcież! Niech was Bóg błogosławi! Dajcież pyska! Nie

uwierzycie, jak mi miło widzieć ludzkie twarze i móc zapomnieć o tych małych mordach. Widzieliście tę hecę? Ładne przedstawienie, prawda? Niech się powściekają, nie ruszę się z miejsca! Chodźcież na górę! Musimy popić. Pewnieście zmęczeni. Chcieli, bym wyszedł z Przenajświętszym Sakramentem, a tu deszcz wisi w powietrzu, zmoklibyśmy do nitki, ja i Pan Jezus. Czyż mamy im służyć obaj, co? Czyż jestem lokajem? Jak te kanalie traktują osobę duchowną? Jestem pasterzem ich dusz, a nie stróżem pól.

– Cóż ty gadasz? – pytaliśmy na przemian. – Czy cię diabeł opętał?

– Chodźmy na górę, tam pomówimy obszerniej! – nalegał proboszcz. – Ale przede wszystkim musimy się napić. Już mi sił nie staje, duszę się! Jakże wam smakuje to wino? Prawda, bywa gorsze? To coś niesłychanego! Ci idioci chcieliby mnie zmusić, bym codziennie, od samych Trzech Króli do Wszystkich Świętych, włóczył się po polach i urządzał modły błagalne albo egzorcyzmy... ha! I to z powodu tych głupich chrabąszczy!

– Chrabąszczy? – zawołaliśmy zdumieni. – Niezawodnie musiał ci jeden wleźć do mózgu! Tyś zwariował, Chamaille.

– Nie zwariowałem! – ryknął oburzony. – Ha, to coś niesłychanego! Ja, który jestem ofiarą ich szaleństw, mam być wariatem?

– Tedy wytłumacz nam, jak przystało człowiekowi rozsądnemu.

– Nazwaliście mnie wariatem! – zawołał ocierając zroszone potem czoło. – Więc jakże miałem zachować spokój, gdy oni znieważają przez cały dzień mnie i Pana Jezusa, Pana Jezusa i mnie, nalegają, byśmy się przychyłili do ich wariackich żądań. Słuchajcież! (Szlag mnie trafi, szlag mnie trafi!) Ci poganie, niedowiarki, którzy nie myją swych dusz ani nóg i nie mają wyobrażenia o życiu wiekuistym, żądają od swego proboszcza, by sprowadzał deszcz i pogodę stosownie do ich woli. Muszę wydawać polecenia słońcu i księżycowi: „Troszkę ciepła, troszkę wody, dosyć już, ojoj, za dużo! Teraz promyk słońca, ale łagodny, słodki, poprzez mgłę, teraz trochę wiatorku; nie chcemy słyszeć o mrozie! Jeszcze trochę polej, Panie Jezusie... Tu, tu, na moją winniczkę! Dosyć, dosyć tego sikania! A teraz

znowu ciepła...” To niesłychane! Czyż Pan Bóg jest – daruj mi, Chryste porównanie – czy Pan Bóg jest czymś w rodzaju osła rozwożącego wodę po polu? Czyż nie ma nic innego do roboty, jak znosić to wieczne batożenie za pomocą modłów i zebrań? A w dodatku (i to jest najlepsze) nie wszyscy godzą się na jedno! Ten chce deszczu, a tamten słońca! Każdy rzuca się na innego świętego. Jest tam w niebie trzydziestu siedmiu specjalistów od spraw atmosferycznych. Na czele kroczy wielki sikacz święty Medard. Przeciwdziała mu święty Rajmund rozpraszacz chmur. Śpieszą mu z pomocą święty Błażej tłumiwiatr, święty Krzysztof mrozopęd, Walerian burzołyk, Aurelian grzmotobójca i święty Klarencjusz autor pogody. W samym niebie nie ma zgody. Kłócą się dostojne osoby i wymyślają sobie, a święte: Zuzanna, Helena i Scholastyka, wydzierają sobie wzajemnie włosy. Sam Pan Bóg nie wie, do którego świętego się zwracać, a cóż dopiero ja, mizerny proboszcz. Zresztą to nie moja sprawa. Mam tylko przedkładać prośby, wykonanie zawisło od samego patrona. Dlatego też nic bym nie miał przeciw temu (choć bałwochwalstwo tych kretynów napawa mnie wstrętem... Panie Jezu, szkoda, żeś za nich cierpiał mękę krzyża!), tylko po co oni mieszają moją osobę do owych sporów niebieskich? Chcą używać mnie i krzyża jako talizmanu przeciw rozmaitemu robactwu, które niszczy ich pola. Jednego dnia mam egzorcyzmować szczury wyjadające ziarno ze spichrza. Procesja, wyklinania, modły do świętego Nikodema. Dobrze, ale że to był grudzień, mróz i śnieg po pas, więc nabawiłem się kataru oskrzeli. Potem to samo z poczwarkami. Modły do świętej Gertrudy i procesja. Był to marzec: roztopy, chlapa; oczywiście przeziębilem się i kaszlę do teraz. A dziś ta sama historia z chrabąszczami! Chcieli znowu procesji. Musiałbym łączyć po wszystkich winnicach śpiewając werset: „*Ibi ceciderunt...*”^[12] gwałciciele sprawiedliwości... *atque expulsi sunt*^[13] i nie mogli *stare*^[14].” Pewnie zostałem oporzędzony jak się patrzy!... *Ibi cecidit*^[15] proboszcz Baptysta Chamaille o przydomku *Dulcis*^[16] (wszakże słońce praży,

przelatują czarne, gęste chmury, burza wisi w powietrzu... wróciłbym z udarem mózgu). Nie, nie, dziękuję, nie śpieszy mi się na drugi świat, każdy żart ma swój koniec. Czyż ja mam odpoczwarzać ich pola lub odchrabaszczać ich winnice? Niech się sami wezmą do roboty, a Pan Jezus im pomoże. Bardzo łatwo założyć ręce i rozkazać proboszczowi: „Proboszczu, zrób to czy tamto!” Nie ma głupich. Będę robił to, co się spodoba Panu Jezusowi i mnie: popiję. A wy pijcie ze mną. Niechaj zdobywają plebanię szturmem! Nie dbam o to i przysięgam na wszystkie świętości, że nie wstanę z tego fotela, choćby podpalili dom! Pijmy!

[12] *Ibi ceciderunt* (łac.) – tam padli.

[13] *atque expulsi sunt* (łac.) – oraz wygnani zostali.

[14] *Stare* (łac.) – ostać.

[15] *Ibi cecidit* (łac.) – tam padł.

[16] *Dulcis* (łac.) – słodki.

Napił się, wyczerpany przygodą i elokwencją. My również podnieśliśmy szklanki i patrzyliśmy na złoty płyn pod światło, jakby chcąc odcyfrować tajemnicę własnego losu. Wydawał się tak różowy. Milczeliśmy przez kilka minut. Słyszać było tylko mlaskanie Paillarda i bulgot wina w gardle proboszcza pijącego wielkimi łykami. Wychylił całą szklankę od razu. Paillard ciągnął z wolna. Proboszcz, wławszy porcję w otchłań brzucha, pomrukiwał z cicha i wznosił oczy w niebo. Paillard przyglądał się swej szklance z góry, z dołu, z boku, pod słońce, w cieniu, cmokał, wachał, pił nosem, okiem i podniebieniem.

Ja rozkoszowałem się jednocześnie napitkiem i pijącymi i zadowolenie me zdwajało się. Widzieć i pić to ucztą luksusowa, ucztą królewska. Ale nie

zaniedbywałem szklanki. Wszyscyśmy szli zgodnym tempem, nie było pośród nas opieszalców. I wiecie, państwo, któż by pomyślał? Gdyśmy stanęli u mety i zrobili rachunek, okazało się, że właśnie powolny Paillard wziął nas o kilka długości.

Gdy rosa piwnicy zwilżyła z lekka nasze gardła i skrzepiła siły animalne, dusze nasze popadły w błogostan, a twarze przybrały wyraz szczęścia.

Oparci o uszak otwartego okna, spoglądaliśmy rozrzewnieni na pola owiane podmuchem wiosny, na czuby topoli ozłoczone słońcem i rozbłyskujące jasnym listowiem i na roztocz doliny Yonne'y – pomykała zwawo przez pola jak rozbawiony psiak; dochodził stamtąd łoskot kijanek kobiet piorących bieliznę, a Chamaillé, rozpogodzony zupełnie, mówił:

– O, jakże słodko żyć w tym kraju! Składam dzięki Bogu, iż pozwolił nam trzem tu się urodzić. Czyż jest na świecie coś rozkoszniejszego, weselszego, ponętniejszego, bardziej wzruszającego, apetyczniejszego, pulchniejszego, smakowitszego? Patrząc, czuje się łyzy w oczach! Rad byś to zjeść, połknąć!

Przytakiwaliśmy jego słowom kiwając głowami. Nagle zaczął znów głosem twardszym:

– Ale po jakiegoż diabła ten sam Pan Bóg wpadł na nieszczęsny pomysł zapaskudzenia tego raju chłopami? Niewątpliwie miał rację, niewątpliwie wiedział, co czyni. Ale ja bym wolał myśleć, że się omylił, że palnął głupstwo, bo wówczas można by mych parafian przepędzić stąd na cztery wiatry, gdzieś do kraju Inkasów czy Turcji, w ogóle na koniec świata, byle tu po nich ślad nie został.

Odparliśmy:

– Chamaillé! Ludzie wszędzie są do siebie podobni na całym świecie. Nie warto zamieniać jednych na drugich.

– Tak, tak... widzę – odrzekł proboszcz – że nie na to ich Bóg stworzył, by przy mojej pomocy osiągnęli zbawienie, ale na to, abym przy ich pomocy odbył pokutę za grzechy na tej ziemi. Przyznajcie, drodzy przyjaciele, że nie ma podlejszego zawodu niż urząd proboszcza na wsi, który w pocie czoła

stara się, by w te łby baranie wpakować coś niecoś z prawd świętych. Daremnie ich poję słodkością ewangeliczną, daremnie ssą katechizm. Mleko, ledwo się znalazło w ustach, wychodzi zaraz nosem, te mordy ordynarne domagają się podlejszej strawy. Mielą czas jakiś w gębie zdrowaśki, potem litanie, a wreszcie, radzi, że mogą pobeczeć, śpiewają nieszpory i nowennę. I tyle! Ani jedno święte słowo nie wzło im do czerepu. Są w dalszym ciągu pogańskim pomiotem, i tyle. Ani w sercu, ani w brzuchu nie pozostało nic z całego nabożeństwa. Od wielu już wieków z lasów, pól i rzek wypędzamy duchy i boginki; daremnie tchem własnych piersi gasimy te szatańskie ogniska guseł, aby wśród ciemności świata tym jaśniej zabłysła i sama jedna się ukazała światłość prawdziwego Boga. Nie udało się dotąd wygubić tych plugawych przesądów, duchów pogańskich. W każdej suchej wierzbie, w każdym czarnym kamieniu ciągle siedzi nasienie szatana. Ileżemy się namozolili, natłukli, nagramolili, napalili, nakarczowali! Trzeba by przekopać chyba każdą piędź ziemi galickiej, przewalić każdy kamień, stratować całą kochaną ojczyznę naszą, aby wypędzić diabła, który się jej usadowił w trzewiach. I kto wie? Ta przekłeta natura wymyka nam się ciągle z rąk. Obcinasz jej łapy, wyrastają skrzydła. Na miejsce jednego zakatrupionego bożka jawi się dziesięciu innych. Każdy bóg jest jednocześnie demonem dla tej hołoty. Wierzą w wilkołaki, w białe konie bez głowy, w czarnego koguta, w węże-ludzi, w krasnoludki i koszałki, czarodziejskiego gestora... Powiedzcież mi, co ma, u licha, do roboty pośród tych wszystkich potworów, które się wymknęły z arki Noego, nadziejski, słodki Mistrz, syn Marii i pobożnego cieśli?

Paillard odparł:

– Przyjacielu! Widzisz źdźbło w oku brata, a belki we własnym nie baczysz! Nie ulega wątpliwości, że parafianie twoi są głupcami. Ale, proboszczu drogi, nie masz prawa ich krytykować, gdyż czynisz zupełnie to samo. Twoi święci warci tyle co ich chochliki i boginki. Nie dosyć ci było Boga w Trójcy jednego w trzech osobach, nie dosyć Matki Bożej,

napakowałeś do swego panteonu całą masę mniejszych bożków w spodniach i spódnicach, zastępując nimi bożki powyrzucane z dawnych pogańskich kapliczek. I w dodatku, przysięgam na Boga, te nowe bożki nie sięgają do pasa dawnym. Nie wiadomo, skąd się wzięły. Powyłaziły z ziemi, niby ślimaki, w dodatku wyglądają brzydko, czasem wprost okropnie. Brudne są, pokraczne, pokryte ranami i robactwem. Jeden trzyma pod pachą baranka zranionego, drugi ma owrzodziałą nogę, trzeci ma siekierkę wbitą ostrzem w czaszkę, czwarty trzyma w rękach własną głowę, inny znów powiewa własną skórą ściągniętą z grzbietu, niby brudną koszulą, którą chce dać do wyprania. By niedużo gadać, cóż powiesz, proboszczu, o twym własnym świętym królującym w twym własnym kościele, o Szymonie Słupniku, który przez lat czterdzieści stał, niby czapla, na jednej nodze ma szczycie kolumny?

Chamaille zerwał się na równe nogi i wrzasnął:

– Dość tego! Mniejsza o innych świętych, nie mogę brać odpowiedzialności za cały kalendarz, ale, poganinie, nie tykaj mi Szymona! To mój święty i jestem mu oddany bez granic. Przyjacielu, bądź uprzejmy!

– Więc dajmy mu pokój, niechaj sobie sterczy dalej na jednej nodze. Jestem twym gościem, to prawda, ale co powiesz na przykład o księdzu Corbigny, który twierdzi, że posiada flaszkę mleka świętej Teresy, albo o księdzu Sermizelles, który cierpiąc razu pewnego na zatwardzenie wziął lewatywę ze sproszkowanych relikwii i wody święconej!

– Co powiem? – zawołał proboszcz. – Oto, że ty sam, który pokpiwasz sobie, uczyniłbyś niewątpliwie to samo, gdyby ci choroba do żywego dogryzła. Co do księdza Corbigny, muszę zresztą zauważyć, że jest to zakonnik, a te bestie konkurują z nami, świeckimi księżmi, tak zaciekle, tak bardzo radzi by nam odebrać wszelką klientelę, iż nie wahają się nieraz wprost handlować mlekiem archaniołów, śmietanką aniołów lub masłem serafinów. Nie mów przy mnie o tych ludziach. Wiesz przecież, że proboszcz a mnich to jak pies i kot.

– Więc, przyjacielu drogi, nie wierzysz w relikwie?

– Nie wierzę w ich relikwie, a wierzę w swoje. Mam kość biodrową świętej Dionizji, która czyści urynę i naskórek ludzi pokrytych liszajem, mam kawałek obojczyka świętego Eutypiusza, który wypędza demony z brzucha owiec... Co? śmiejesz się, niedowiarku? Więc nie wierzysz w nie? Zaślepiiony człowieku! Posiadam dowody, dokumenty (ślepy by uwierzył! zaraz je przyniosę!), pergaminy opatrzone pieczęciami! Wszystko to są rzeczy autentyczne... czekaj, pokażę ci zaraz!

– Nie wstawaj, nie wstawaj, przyjacielu! Nie potrzebuję twych dokumentów. Ty sam w nie nie wierzysz... Chamaille, poznaję to po twym nosie! Jakakolwiek by to była kość, zawsze jest kością, a człowiek, który ją ubóstwia, jest bałwochwalcą. Wszystko ma swoje miejsce, a zmarli powinni leżeć spokojnie na cmentarzu. Ja wierzę w życie, wierzę, że jest jasny dzień, że piję, że logicznie rozumiem, że dwa razy dwa jest cztery, że ziemia to ciało niebieskie wirujące w przestrzeni, wierzę w naszego Guy Coquille'a^[17] i mogę recytować godzinami jego opowieści o obyczajach krajów naszych, dalej, wierzę w książki zawierające dorobek ducha ludzkiego w zakresie wiedzy i doświadczenia, a nade wszystko wierzę w swą własną świadomość. Naturalnie, wierzę również w to, co mówi i do wierzenia podaje Pismo święte i Kościół, albowiem wierzy w to każdy porządny i rozumny człowiek. Czyś zadowolony, drogi proboszczu?

[17] Guy Coquille (1523-1603) – prawnik, publicysta i poeta; przeciwnik Ligi.

– Nie, nie jestem zadowolony! – wrzasnął gromko proboszcz, teraz dopiero na serio rozgniewany. – Jesteś kalwinem, heretykiem, hugonotem, recytującym na pamięć Biblię, wyłamującym się spod władzy Kościoła! Zaliczasz się do onego rodu żmij, które twierdzą, że obejdą się bez proboszczów.

Teraz Paillard wpadł w gniew nie na żarty. Zaprotestował gorąco i wyprosił sobie, by go nazywano protestantem. Oświadczył, że jest dobrym Francuzem i katolikiem w każdym calu, ale posiada zarazem wszystkie klepki w porządku i nie czuje się kaleką ani na ciele, ani na umyśle. Widzi dobrze w samo południe, nie potrzebuje okularów, a ma przy tym odwagę nazwać durnia durniem. Co więcej, pozwoli sobie nazwać Chamaille'a głupcem potrójnym w jednej osobie, a mimo to oddaje cześć Bogu, którego odblaskiem jest jego własny rozum.

Zapadła cisza. Chamaille nic nie odpowiedział. Pili obaj pomrukując, oparci o stół, odwróteni do siebie plecami. Nie mogłem wytrzymać i wybuchnąłem głośnym śmiechem. Wówczas dopiero zauważyli, że przez cały czas nie wyrzekłem ani jednego słowa. Obserwowałem ich, słuchałem, chwytalem argumenty, naśladowałem ich miny, gesty, powtarzałem po cichu ich słowa poruszając ustami jak królik gryzący kapustę. Tak, dopiero teraz sam spostrzegłem, że milczał dotąd.

Obaj rzucili się ku mnie pytając, komu przyznają rację. Odparłem:

– Przyznają wam obu rację i jeszcze kilku innym, którzy by twierdzili coś wprost przeciwnego. Nie ma o czym gadać. Moi drodzy, chcąc się przekonać, co się posiada, trzeba spisać na papierze wszystkie pozycje i dodać do siebie. Niech każdy zgłosi swe poglądy, a razem dadzą może prawdę. Prawda pokazuje wam figę, ile razy chcecie ją pochwycić, drwi sobie z was. Świat, moje dzieci, można wytłumaczyć na różne sposoby, bo każdy sposób oświeśla go tylko z jednej strony. Wierzę we wszystkie wasze bożki pogańskie i chrześcijańskie oraz w dodatku w boga rozumu ludzkiego.

Na te słowa zapomniawszy o sporze rzucili się razem na mnie twierdząc, że jestem cynikiem i ateuszem.

– Ateuszem, ja? Co się wam śni? – odparłem. – Zapraszam do siebie wszystkich waszych bogów, waszego jedynego Boga oraz wszystkie tak zwane prawa natury! Zapraszam ochnie! Niech przyjdą, przyjmę wszystkich gościnnie, mam dosyć miejsca! Pan Bóg podoba mi się

ogromnie, a jego święci tak samo. Kocham ich, oddaję należne honory, uśmiecham się do nich, zapraszam na pogawędkę. Prawdę powiedziawszy, jeden nie wystarcza mi, jestem łakomy, jedynobóstwo wydaje mi się czymś w rodzaju postu. Mam swoich świętych i święte, boginki, duchy powietrza, ziemi, drzew i wody, wierzę w rozum, wierzę również w szaleńców widzących prawdę, a nadto w czarowników i czarownice. Z przyjemnością rozmyślam, jak to ziemia kręci się w przestrzeni, otoczona mgłami, i rad bym ją wziąć w rękę, obejrzeć, przypatrzeć się pięknemu mechanizmowi zegara świata. A obok tego z zachwytem słucham owych świerszczy niebiańskich, owych krągłookich gwiazd, i szukam po księżycu owego człowieka z naręczem chrustu, który tam jest podobno. Wzruszacie ramionami? Wzywacie mnie do porządku? O tak, porządek to wielka rzecz, ale drogo kosztuje. Porządek to nie znaczy czynić to, co się chce, ale to, co czynić potrzeba. To znaczy wydlubać sobie jedno oko, by lepiej widzieć drugim, to wyrąbać las, by przezeń przeprowadzić gościniec. Jakież to wygodne, ale jakie brzydkie jednocześnie. Jestem Galijczyk starej daty, przeto wyznaję zasadę: mnóstwo władz, mnóstwo praw jako gwiazd na niebie, każdy brat, każdy swat, a każdy dla siebie! Wierz sobie lub nie, a daj mi wierzyć, w co chcę! Czcijmy rozum, przyjaciele, nie tykając bogów. Kocham wszystkich i proszę was, jeśli macie więcej jeszcze, przynieście mi ich w podarku. Nie dam sobie zaorać żadnego, chyba żebym sam stracił doń serce skutkiem nadużycia mej łatwowierności.

Paillard i proboszcz patrzyli na mnie z politowaniem i spytali, w jaki sposób odnajdę drogę przez ten chaos.

Drogę? Nic łatwiejszego. Każda ścieżka jest dobra, znam wszystkie, przechadzam się wedle upodobania. Nie szukam zresztą gościńców, starczy mi droga polna przez las, z Chamoux do Vézelay. Z zamkniętymi oczyma pójde ścieżyną kłusownika, a chociaż może ostatni stanę u celu, to przyniosę w torbie myśliwskiej sporo zwierzyny. Wszystko jest na swoim miejscu, poustawiane, skatalogowane: Pan Bóg w kościele, święci w kapliczkach,

boginki w lasach, rozum we łbie. Wszystko się godzi wyśmienicie. Nie ma tam króla, despoty, ale republikańska forma rządu, zupełnie jak w Szwajcarii, wszystko to są sprzymierzone kantony. Są słabsze, są mocniejsze, ha, trudno. Czasem trzeba użyć słabego przeciw silnemu. Pan Bóg zaprawdę mocniejszy jest od boginek. Ale właśnie dlatego nie powinien ich uciskać. Myślę zresztą, że i Pan Bóg nie jest najmocniejszy ze wszystkich, bo mocny zawsze znajdzie takiego, który go zdusi. Tak... tak! Nikt mnie nie odwiedzie od tego, co myślę, mianowicie, iż ten największy Pan Bóg nie ukazał się nam jeszcze. Jest gdzieś bardzo daleko, bardzo wysoko czy też nisko. To tak jak z naszym najmiłościwszym Królem Jegomością. Widzimy jego ludzi, intendentów, poruczników (nawet za dużo), ale on sam siedzi gdzieś w Luwrze. Ten nasz Pan Bóg, do którego się modlimy, to coś jak pan Concini...^[18] Nie przerywaj mi, Chamaille! Czekaj! Powiem coś, co cię ułagodzi: otóż to coś, to niby nasz dobry książę Nevers! (Niech go Bóg błogosławi!) Kocham go i czczę. Ale wszakże on siedzi cicho, gdy zaczyna gadać ów pan z Luwru! I dobrze robi. Tak sprawa się przedstawia!

^[18] Concini (zm. 1617) – dworzanin, doradca królowej Francji, Marii Medycejskiej, minister Ludwika XIII.

– Tak się przedstawia, ale tak nie jest! – odparł Paillard. – Niestety: wesoło myszy tańczą, gdy kota w domu nie czują! Odkąd nie żyje nasz Henryk i zaczęła rządzić dłoń, której przystoi kądziel^[19], kądziółkują tam na dworze i bawią się bez przerwy, a tymczasem zgraje drabów dobrały się do spichrzów i skarbca i trwonią złoto przeznaczone na rzecz państwa, dewastują arsenał będący pod strażą pana Sully’ego^[20]. Kiedyż przyjdzie mściciel i wypruje im z brzuchów to pożarte złoto?

[19] Mowa tu o Henryku IV, królu francuskim (1553-1610), oraz jego żonie Marii Medycejskiej.

[20] Sully Maksymilian (1560-1641) – mąż stanu, minister finansów, doradca Henryka IV.

Teraz rozmowa potoczyła się zgodnie i dotykała tematów, których lepiej nie notować tutaj. Ta piosenka nastroiła nas wszystkich na jeden ton. Zaintonowaliśmy też kilka wariantów o księżętach w spódnicy, o obłudnikach w sutannie i fioletowych pantoflach, opasyłach prałatach, śmierdzących, plugawych mnichach itp. Muszę zaznaczyć, że Chamaille improwizował precyzyjnie na ten ostatni zwłaszcza temat. Tercet rozbrzmiewał wedle wszelkich zasad taktu i harmonii muzycznej, a do wyżyn prawdziwej sztuki wzniósł się, gdy po oddaniu, czego należy, bigotom i nabożnisiom zaintonowaliśmy pieśń o fanatykach wszelkiego rodzaju, hugonotach, purytanach, bibliojadach, trutniach, którzy chcą miłość Boga wkuwać ludziom młotem do głowy lub kijem w serce, tak jakby Bóg był poganiaczem osłów i nie znał innych sposobów prócz bata.

Kto chce gorzeć w piekle, niech się oddaje diabłu! Czyż trzeba jeszcze za życia dręczyć go i palić na stosie? Będzie miał u szatana dosyć gorąca! Dajcież nam święty spokój. Niech sobie każdy żyje we Francji, jak mu się żywnie podoba! Nie ma chyba tak złych ludzi jak chrześcijanie, chociaż Chrystus poświęcił się za wszystkich. A najgorsze to już dwie rzeczy: pycha i okrucieństwo! Podobne do siebie jak dwie krople wody.

Znużeni rozmową, zaintonowaliśmy na trzy głosy pieśń ku czci Bachusa, jedyne z bogów, który nie wywoływał nigdy sporów między mną, Paillardem i proboszczem. Chamaille oświadczył nawet głośno, że woli tego bożka od wszystkich innych, których przekłęci mnisi w rodzaju Lutra i Kalwina chwalą z kazalnicy. Jest to bóg godny uznania i szacunku, bóg z dobrej rodziny, prawdziwy bóg francuski...

– Co mówię, drodzy moi! – zawołał. – Nie tylko jest to bóg francuski, ale wprost chrześcijański. Czyż bowiem pan nasz, Jezus Chrystus, nie bywa przedstawiony na niektórych obrazach w winnicy, gdzie tłoczy wino własnymi stopami? Pijmy tedy, drodzy przyjaciele, ku czci naszego Zbawiciela, Bachusa chrześcijańskiego, pogodnego Jezusa! Czyż nie z jego łaski winorośl rodzi nam grona dające słodki sok ożywczy, który krzepi siły fizyczne i podnosi ducha? Jego to bowiem krew czerwona płynie pod stokami winnymi krzepiąc naszą mowę i ducha, łagodząc obyczaje słodkiej Francji, darząc ją szczodrym a uprzejmym dowcipem, zdrowym rozsądkiem i siłą.

*

Rozmowa doszła do wesołego momentu. Trącaliśmy się szklankami, pijąc na zdrowie Francji, wesołości, rozsądku i umiaru. Nagle na dole rumor się uczynił straszny, potem zatętniły ciężkie kroki na schodach, następnie pomruki: Jezus! Józef! Najświętsza Panienko!... na koniec ciężkie westchnienia, a wszystko to zwiastowało inwazję pani „Heloizy od proboszcza”, jak mianowano gospodynię Chamaille’a. Zwano ją też w skróceniu „proboszczycha”.

Długo dyszała, ocierała sobie czoło fartuchem, wreszcie wykrzyknęła:

– Księżę proboszczu! Ratunku!

– Cóż się stało? Gadaj!

– Idą! idą!!

– Gdzie idą? Na pole w procesji? Niech sobie idą robić porządek z chrabąszczami. Powiedziałem ci już, nie chcę słyszeć o tym bydle!

– Ale odgrają się!

– Kpię sobie z tego! Cóż mi mogą zrobić! Czy doniosą biskupowi? Dobrze, nawet mi to na rękę!

– Ach, księżę proboszczu! – westchnęła. – Gdybyż to tylko o biskupa chodziło!

– Więc cóż takiego? Mów!

– Idą w procesji po polach, czynią kabalistyczne ruchy, egzorcyzmy, jak to się mówi, i śpiewają: „Wyłaźcie, szczury, wyłaźcie, myszy, wyłaźcie, chrabąszcze, idźcie do winnicy proboszcza, do piwnicy jego i do spichrza jego!”

Słyszając to Chamaille zerwał się na równe nogi.

– A to draby! Chrabąszcze i myszy do mojej winnicy! Wyłaźcie, szczury, wyłaźcie myszy, wyłaźcie chrabąszcze, idźcie do mojej piwnicy! Chcą mnie zamordować! Nie wiedzą, co czynią! Święty Szymonie Słupniku, weź w obronę wiernego proboszcza twego!

Próbowaliśmy go uspokoić, śmialiśmy się.

– Śmieście się! Śmieście! Na moim miejscu nie śmialibyście się, niedowiarki! Oczywiście, bardzo to łatwo śmiać się. Wam nie zagrażają myszy, i chrabąszcze tych łajdaków! Ach, co za nieszczęście... Pomyśleć tylko: szczury w piwnicy... myszy i chrabąszcze w winnicy... Nie, nie, nie... to straszne!

– Od czegoż jesteś proboszczem? – powiedziałem. – Czegoż się boisz? Urządź egzorcyzm przeciwny, odegzorcyzmuj je od swego domu i ogrodu. Wszak umiesz to sto razy lepiej niż oni!

– He! he! – bąknął. – To niełatwa sprawa. Diabeł nie śpi! Byłem tak dobry, tak im ufałem! Cóż pewnego na świecie? Sam Bóg tylko. Cóż mam czynić? Wpadłem w pułapkę, mają mnie w garści! Heloizo, biegnij i powiedz, by zaczekali! Przyjdę zaraz, przyjdę, nie mogę inaczej uczynić! Ale czekajcie: przyjdzie kryska na Matyska, a wówczas pokażę ja wam... Tymczasem jednak... (*Fiat voluntas tua...*^[21]) I oto muszę być ofiarą trzydziestu siedmiu specjalistów od spraw atmosferycznych. Ha, trudno, trzeba wypić ten puchar goryczy. Wypiję go tedy. Nie pierwszy i nie ostatni!

[21] *Fiat voluntas tua...* (łac.) – bądź wola twoja.

Wstał z fotela, a myśmy spytali:

– Dokądże to idziesz?

– Na wyprawę krzyżową przeciw chrabąszczom!

IV
WŁÓCZĘGA, CZYLI JEDEN DZIEŃ
WIOSENNY

KWIECIEŃ

Kwiecień radosny, syn wiosny, chudziutki, drobniutki, ma oczy jak stokrotki. Widzę go, jak rozkwita w gałęzi brzoskwini u mego okna, okrytej różowymi pączkami, całowanej przez słońce. Co za cudny ranek! Co za uciecha, że widzi się ten ranek, że zobaczy się cały, cały dzień, aż do wieczora. Wstaję i przeciągam stare moje ramiona odczuwając w nich miłe znużenie wyteżoną pracą.

Przez dwa ostatnie tygodnie ja i uczniowie moi pracowaliśmy jak należy, chcąc nagrodzić czas stracony przymusowo. Aż trzaski fruwały wokoło, a drzewo jęczało pod heblami. Nasz głód pracy jest niestety większy niż apetyt klienta. Nikt prawie nie kupuje, tym mniej nie spieszą ludziska płacić za to, co zamówili. Sakiewki wypróżnione do dna, bezkrwiste są też szkatułki, ale krwi owej dosyć w naszych polach. Gleba urodzajna, więc: *ara, ora et labora*^[22], będziesz panem do wieczora! Otóż panami są wszyscy moi krajanie z Clamecy albo nimi, dalibóg, zostaną. Wszakże od samego świtu huczy młyn, skrzypi miech kuźni, dźwięczą po kowadle roztańczone młoty, dzwonią piły tartaku, rżą konie u poju, stukają młotki szewców, dudnią koła wozów po gościńcu, klepią saboty przechodniów, klaskają baty, rechocą głosy rozmawiających, słowem, tętni praca w całym mieście, jakby mówiła:

[22] *ara, ora et labora* (łac.) – orz, módl się i pracuj.

„*Pater noster*^[23]... robimy *panem nostrum quotidianum*^[24]... o który cię prosimy... bo lepiej być zabezpieczonym na wszelki wypadek.”

[23] *Pater noster* (łac.) – Ojciec nasz.

[24] *panem nostrum quotidianum* (łac.) – chleba naszego powszedniego.

Nad głową moją rozpostarte niebo wiosenne, rozbłyśnięte i ogrzane słońcem, a wiatr przegania po nim białe, lekkie chmurki. Wydaje się, że to znów młodość powraca na lotnych skrzydłach z oddali czasu, jak jaskółka, by zbudować świeże gniazdko pod starą strzechą mego serca, które na nią czeka. Jakże ją powita radośnie, gdy przybędzie! O, zaprawdę, goręcej niż dawniej...

W tej chwili usłyszałem zgrzyt chorągiewki na dachu oraz skrzekliwy wrzask mej czarownicy rzucającej komuś jakieś przekleństwa. Może mnie besztła, ale nie słuchałem. Tylko młodość pierzchła przestraszona. Pal licha wszelkie chorągiewki! Słyszę tę wiedźmę, idzie, idzie prosto do mnie, znowu będzie mi trąbiła do ucha swoją śpiewkę:

– Znowu próżniaczysz? Znowuś założył ręce i znowu z gębą otwartą jak wrota stodoły gapisz się na chmury i wróble? Na cóż czekasz? Czy może, by pieczony gołąb wpadł ci prosto do gardła? A ja muszę pracować jak wół, męczyć się, niszczyć zdrowie, pocić się krwawym potem dla tego bydlaka! Oto los słabej niewiasty na tym świecie! Ale nie! Pan Bóg nie nakazał, by kobieta jeno pracowała, a mężczyzna używał życia i włóczył się z kąta w kąt. Nie byłoby wówczas sprawiedliwości w niebie! Nie same rozkosze są dla was, darmożjady, musicie i wy cierpieć! Ale na szczęście, ja jestem i przynajmniej ja spełnię jego świętą wolę. Co, śmiejesz się? Dalej, bierz się do roboty, jeśli chcesz jeść dzisiaj obiad! Patrzcież, moi państwo, on mnie nie słucha! Idziesz wreszcie czy nie?

Odpowiadam ze słodkim uśmiechem:

– Ależ tak, tak, moja najmilsza, masz rację. Byłoby to rzeczą nie do darowania spędzać tak cudny dzień przy pracy w dusznej izbie!

Wchodzę do warsztatu i mówię uczniom:

– Chłopcy! Potrzebuję klocka drzewa elastycznego i bez sęków. Pójdę do tego pocziwca Rioux zobaczyć, czy nie ma na składzie kawałka młodej dębiny. Dalejże, Cagnat, Robinet, zbierajcie się, pójdziemy razem!

Wychodzimy wszyscy trzej, a wiedźma ryczy jak opętana. Odpowiadam:

– Pośpiewaj sobie do syta, najdroższa moja! Ostatnia rada była zgoła zbyt uczynna. Stara rozwrzeszczała się strasznie. Ja słysząc tę muzykę pogwizdywałem kuplety. Pocziwy Cagnat uspokajał ropuchę:

– Pani majstrowa, nie ma się o co gniewać. Wszakże to nie żadna podróż. Za mały kwadransik będziemy z powrotem!

– A diabli tam wiedzą! – odburknęła. – Czy z tym rozbójnikiem można dojść do ładu?

*

Właśnie biła dziewiąta. Poszliśmy do Bélyant. Droga to niedługa, ale na moście Beuvronu zatrzymaliśmy się na chwilę (wypada spytać znajomych o stan zdrowia), by przywitać się z czcigodnym Fétu, Gadinem i Trinquetem, zwanym pięknym Jasiem, którzy zaczęli dzień od tego, że siedząc nad drogą gapili się na płynącą wodę. Rozmawialiśmy o pogodzie i deszczu, potem, jak należy, poszliśmy dalej. Człowiek ma przecież sumienie, idzie drogą najkrótszą, nie gada z nikim (nie spotkaliśmy psa kulawego). Po trochu tylko (któż nie jest wrażliwy na piękno przyrody?) obserwowaliśmy niebo, świeże wiosenne pędy traw i krzaków, rozkwitającą w rowie pod murem jabłoni, potem jaskółkę w locie, wreszcie, przystanąwszy na moment, dysputowaliśmy o tym, skąd wiatr wieje.

W połowie drogi przypomniałem sobie, że nie pocałowałem dziś mojej maleńkiej Głodzi. Przeto, powiedziałem chłopcom:

– Muszę wstąpić do mojej córki. Idźcie naprzód. Spotkamy się w składzie drzewa.

Gdym przyszedł, Martynka właśnie szorowała podłogę w sklepie. Wody było po kostki. Martynka szorowała jak szalona, nie przestając jednocześnie mleć językiem. Gadała z wszystkimi: z mężem, z chłopcami, z

praktykantami, z Głodzią oraz kilkoma kumoszkami z sąsiedztwa. Śmiała się, pracowała i pyskowała, gadała, plotła bez przestanku.

Skończywszy (szorować, nie gadać) wstała i, zamachnąwszy się szeroko, lunęła wodą z wiadra na sam środek ulicy. Zatrzymałem się na moment przed wejściem, by ją podziwiać (serce mi rośnie na jej widok – co za ciało!), i co najmniej połowa wody oblała mi kolana i nogi. Zaczęła się jeszcze bardziej śmiać, ale ja śmiałem się głośniej.

Śliczna kobieta! Czarne włosy wiją się po czole, śmiało zarysowane brwi rysują się nad błyszczącymi oczyma, a jej purpurowe wargi wezbrane zdrowiem, życiem... Szyja odkryta, nagie ramiona, spódnica wysoko i swawolnie podkasana. Powiada do mnie:

– Dzień dobry! Dostałeś ładną porcję na powitanie.

Odpowiadam:

– Nic sobie nie robię z wody, o ile mi jej pić nie każą.

Wchodzę i widzę Głodzię w króciutkiej koszulce, przykucniętą pod ladą sklepową.

– Jak się masz, małe piekarczątko!

– Założę się, że zgadnę, co ojca wyгнаło z domu o tak wczesnej porze.

– Wygrasz, dziecko, ssałaś wszakże to, co mnie wyгнаło!

– Matka!

– Naturalnie!

– Że też wszyscy mężczyźni muszą być tchórzami! To niesłychane!

W tej chwili wszedł Florymond i postłuszał komplement. Zaraz przybrał minę obrażonego. Mówię mu:

– To się odnosi do mnie. Nie gniewaj się, chłopcze!

– Do obu... do obu! – dorzuciła Martynka. – Niech no ojciec nie będzie taki zachłanny.

Ale mąż nie rozpogodził oblicza. Uważa się za mieszczanina i nie dopuszcza, by się zeń naśmiewano. Toteż ile razy widzi nas, to jest mnie i Martynkę razem, nie dowierza, podejrzewa, śledzi nas niepewnym

spojrzeniem, czatuje na słowa wychodzące z naszych ust roześmianych. Przypisuje niewinnym najgorsze złośliwości.

Powiadam tedy pojednawczo:

– Żartujesz, Martynko. Wiem, że Florymond jest panem w swoim domu i nie pozwoliłby się wygryźć jak ja. Ale też jego Florymonda jest słodka, posłuszna, dyskretna, podległa i rozumie każde skinienie. Zaczyna kobiecina odziedziczyła zresztą owe zalety po mnie, który, jak wiadomo, jestem i byłem zawsze cichym, skromnym, trwożliwym i uległym człowieczyną.

– Dość tego! Nie kpiluj z ludzi! – zawołała Martynka szorując tafle posadzki z zapałem bezprzykładnym.

Pracowała nie przerywając ani na chwilę. Mimo to prowadziliśmy wesołą pogawędkę, naszpikowaną mocnymi, dosadnymi wyrażeniami burgundzkimi. Martynka wypełniła po brzegi sklep swą bujną, kipiącą życiem osobą i elokwencją, a biedny Florymond sterczał w głębi, obrażony, zimny, zapięty aż pod samą brodę. Nie czuje się nigdy dobrze w naszym towarzystwie, mocne słowa płoszą go, a zdrowe, jędrne dowcipy urażają rzekomo jego godność osobistą. Nie pojmuje, że człowiek może się śmiać bez zamiaru obrazy, z samej tylko wesołości. Jest cherlawy, bledziutki, chudziutki, ponury i ciągle na wszystko narzeka. Nic mu nigdy nie dogadza, zapewne dlatego, że poza sobą nic nie widzi. Wokół szyjki chudej jak u kurczęcia owiniętą miał chusteczkę i oczy jego ciągle biegały niespokojnie w prawo i lewo, wreszcie, nie mogąc wytrzymać, powiedział:

– Okropny przeciąg tutaj, jak w zajeździe! Naturalnie, wszystkie okna pootwierane! Martynka nie przerywając sobie odparła:

– Ja się duszę z gorąca!

Florymond próbował przewyciężyć się, ale po kilku minutach (prawdę mówiąc, wiatr latał niezgorzej po izbach) dał za wygraną i wściekły wybiegł ze sklepu.

Swawolnica nie wstając z klęczek podniosła głowę i powiedziała kpiąco i dobrotliwie zarazem:

– Wlezie z powrotem za piec.

Zadałem jej pytanie, czy ciągle żyje zgodnie ze swym piekarzem. Naturalnie nie przyznała się do rozczarowania. Choćby ją miano rozerwać na sztuki, nie byłaby pisnęła słowa za żadną cenę. Taka to już uparta sztuka!

– I dlaczegóż bym nie miała żyć zgodnie? – odrzekła. – Bardzo go nawet lubię!

– No, no... smaczny jest, przyznaję, ale takie małe ciasteczko połknie człowiek za jednym razem, a cóż potem? Masz, Martynko, buzię sporych rozmiarów, ha?

– Trzeba poprzestać na tej stawie, jaką się ma!

– Masz rację. Ale gdybym był ciasteczkiem, nie miałbym jednak spokoju, o, nie!

– Czemuż to? Nie ma obawy, jestem sumienna w interesie. Tylko niechże i on dotrzymuje umowy. Gdyby mnie bodaj raz jeden okpił... ho, ho! Tego samego dnia miałyby trzy pary rogów na głowie. Równe prawa dla wszystkich! Niechże się stara!

– Ale co się zowie!

– A on się czasem uskarża, że ma zbyt ładną żonę!

– Widzisz! Wyszło szydło z worka! To coś takiego jak w owej przypowieści o kani.

– A jakiej znowu?

– Oto razu pewnego kumoszki wysłały kanię do Pana Boga z prośbą, by bachory zaraz po przyjsciu na świat mogły chodzić prosto na dwóch nogach. Pan Bóg (jako że jest zawsze uprzejmy dla kobiet) odparł:

„Dobrze! Zgadzam się! Ale w zamian żądam, by moje drogie parafianki dopełniły jednego warunku. Oto, by odtąd panienka, dziewczynka czy dama sypiała pod pierzynką sama!” Głupie ptaszysko zaniósło odpowiedź na ziemię i powtórzyło dosłownie. Nie wiem, co się stało tejże nocy, ale wiem, że kania została sromotnie poturbowana.

Martynka przysiadła na piętach, przestała szorować i wybuchnęła

rozgłośnym śmiechem. Potem dała mi szturchańca i krzyknęła:

– Stary pleciugo! Wygadujesz, ojciec, głupstwa... Dość tego! Tylko czas mi zabierasz! Słuchaj, idź już sobie, a zabierz też tę małą srokę bez ogona, bo płacze mi się pod nogami. Weź sobie Głodzię. Oo... musiała już być w piekarni i grzebała w cieście, ma cały nos usmarowany... Dalejże, wynoście mi się oboje, nie zawadzajcie tu, bo inaczej wezmę się do miotły!

Wygnała nas z domu. Wyszliśmy bardzo zadowoleni i udaliśmy się do składu drzewa kumotra Rioux. Ale zatrzymaliśmy się na chwilę nad brzegiem Yonne'y przyglądając się łapaniu ryb. Udzielaliśmy rybakom rad i cieszyło nas zawsze, gdy pływak wędki zanurzał się w wodę lub gdy wybłyskiwała nad falami srebrzysta płotka. Głodzia, widząc na haczyku robaka wijącego się ze śmiechu, powiedziała z minką zniechęconą:

– Dziadziu! Jego to boli, jego połknie rybka!

– Naturalnie, dziecinko! Nie jest to wielka przyjemność zostać połkniętym. Ale po cóż o tym myśleć? Myśl raczej o tym, kto będzie jadł tę śliczną rybkę; z pewnością powie: „Jaka dobra!”

– Ale gdyby ciebie kto zjadł, dziadziu?

– Ha, trudno, powiedziałbym: niech ci wyjdzie na zdrowie! Szelmo jedna, udało ci się! Widzisz, moja Głodziu, że dziadzio jest zawsze zadowolony. Czy ja go połknę, czy on mnie, to właściwie wszystko jedno, trzeba tylko rozważyć w głowie! Prawdziwy Burgund jest zawsze z wszystkiego kontent.

Właśnie w tym punkcie rozmowy (niespełna o jedenastej) znaleźliśmy się u naszego Rioux. Nawet nie spostrzegliśmy się, że już jesteśmy u celu. Cagnat i Robinet czekali na mnie spokojnie, leżąc na brzuchach nad wodą, a sprytny Robinet, który nie zapomniał wędki, próbował szczęścia.

Wszedłem do składu. Wystarczy mi znaleźć się pośród drzew rozłożonych na ziemi, obnażonych z liści i gałęzi, by natychmiast odurzał mnie rozkoszny zapach trocin, i dalibóg, czas mija, woda płynie, a ja ani się spostrzegę. Potrafię je gładzić i dotykać bez końca. Wolę drzewo niż kobietę. To już moja mania! Wybieram sobie to, które mi najlepiej

odpowiada. Ale gdybym był Turczyńcem i miał na targowisku najukochańszą kobietę otoczoną kilkudziesięcioma innymi nagimi dziewczętami, to mimo mej miłości do tej jednej nie zaniedbałbym udelektować oczu powabami całej trzódki. Nie jestem w ciemną bity. Na cóż mi Bóg dał oczy łakome na piękno? Czyż na to, bym je zamykał? Moje oczy otwarte są jak brama stodoły. Wszystko wchodzi do środka, nie wypuszczam niczego. Jestem znawca! Widzę pod skórą samiczki wszystkie jej skryte pożądliwości, złośliwości, wszystkie chytne myśli. Tak samo pod szorstką lub gładką korą moich drzew dostrzegam to, co stanowi ich treść: kształt ukryty, który potrafi z nich wydobyć moja ręka.

Patrzę sobie, a tymczasem Cagnet niecierpliwi się! Jest to żarłok, który połyka wszystko na surowo; my tylko, starzy, umiemy się delektować. Z nudów zaczyna krzyczeć na całe gardło do rybaków płynących łodzią od przeciwnego brzegu Yonne'y, a potem rozmawia z ludźmi przechodzącymi powolnym krokiem przez most.

Już to u nas obyczaje są bez względu na miejscowość jedne, chociaż ptaszki w każdej mają odmienne pióra.

Przez cały dzień siedzi się na moście z nogami zwieszonymi, z pośladkami jakby przybitymi do desek. Czasem tylko wstaje się, by podejść do najbliższego krzaczka. Rozmowa pomiędzy dziećmi Beuvronu a dziećmi Betlejemu składa się z szeregu wymyślań. Ci panowie z Judei nazywają nas chamami, krzywonosami burgundzkimi, wędliniarzami, my zaś na komplementy te odpowiadamy przezywając ich brodatymi małpami i ciastołykami. Mówię: my, gdyż słysząc litanie i ja nie mogę się powstrzymać, by nie dorzucić swego *ora pro nobis*^[25]! Każdemu należy odpowiedzieć, tego sama uprzejmość wymaga!

[25] *ora pro nobis* (łac.) – módl się za nami.

Zaledwo wymieniliśmy kilka słów w tym rodzaju, gdy nagle słyszę... dzwonią na Anioł Pański. Ho, ho, już południe! Zrywam się tedy na równe nogi! Gdzież się ten czas podział? Jakże prędko płynie piasek w klepsydrze^[26] świata! Proszę tedy naprzód rybaków, by pomogli Robinetowi i Cagnatowi złożyć drzewo na wózek, a potem by je zawieźli razem z nami do Beuvronu.

[26] Klepsydra – dawny przyrząd do mierzenia czasu; składa się z dwu połączonych ze sobą szklanych naczyń. Z naczynia górnego przesącza się do dolnego woda lub przesypuje piasek.

– Ho, ho, Breugnon zawsze wielki pan! – zauważyli jednogłośnie. Wydało się im to trochę za obcesowe, ale posłuchali, gdyż lubią mnie w gruncie rzeczy.

Wracamy do domu galopem. Ludzie stają w progach domów i sklepów, podziwiając nasz zapał i pracowitość.

Ale na moście Beuvronu spotykamy trzy wytrwałe ptaszki – Fétu, Gadina i Trinqueta, spoglądających ciągle w wodę. Nogi zatrzymują się same, a języki zaczynają pytlować *presto*^[27]. Oni spoglądają na nas pogardliwie, gdyż pracujemy, my spoglądamy na nich z pogardą, albowiem nie robią nic.

[27] *Presto* (wł.) – szybko.

Czekaliśmy, aż wyczerpany zostanie cały repertuar. Siadłem sobie na uboczu, by – kiedy się to skończy – przyznać nagrodę zwycięzcy. Nagle tuż koło mnie rozległ się wrzask:

– Łajdaku! Jesteś nareszcie? Gadaj zaraz, co robiłeś od dziewiątej rano do południa? Czy tak długo trzeba iść z Beuvronu do Béyant? Leniwcze paskudny! Nie wróciłbyś i teraz, gdybym cię nie wzięła za łeb! Dalejże,

marsz do domu! Obiad przypalił się na nic!

Odpowiedziałem:

– Jej przyznaję nagrodę. Drodzy przyjaciele, daremnie się wysilacie! Któryż z was potrafi dorównać tej drogiej szczebiotce mojej?

Pochwała wzbila ją widocznie w dumę, gdyż uraczyła nas jeszcze jednym utworem. Wykrzyknęliśmy chórem:

– Brawo!

– Ale teraz – powiedziałem – czas nam wracać. Idź przodem, droga żoneczko!

*

Żona moja szła trzymając za rączkę Głodzie, a za nimi dwaj moi uczniowie. Chciałem zrobić to samo, potulnie, ale bez pośpiechu, kiedy nagle od górnej dzielnicy miasta dobiegł mnie radosny dźwięk zmieszanych głosów, pogłos muzyki i tony dzwonów z wieży Św. Marcina. Podniosłem głowę, zastrzygłem uszami jak kawaleryjski koń przed atakiem, a nos mój wydłużył się wężąc za czymś nowym a ponętym.

Właśnie odbywa się ślub pana d'Amazy z panną Lukrecją de Champeaux, córką poborcy podatków.

Wszyscy śpieszą zobaczyć orszak ślubny. Biegają co sił w nogach, porzucając pracę, biją się, by co prędzej dostać się na plac zamkowy. Oczywiście nie czekałem pozwolenia i pomknąłem co żywo. Nie co dnia widzi człowiek takie wspaniałości. Trinquet, Gadin i Fètu nie raczyli nawet podnieść głów. Oświadczyli, że to nie ich rzecz, ludzi przedmiejskich, chodzić z wizytą do mieszczan spod wieży. Zaprawdę, podoba mi się ta duma i ten takt... to wzniosłe! Ale poświęcać przyjemność dla wzniosłości? Nie, to nad moje siły! O męczennicy godności własnej, nie dorastam wyżyn waszych!

Mimo że jednym skokiem przesadziłem wszystkie trzydzieści sześć stopni schodów wieży Św. Marcina, przybyłem, niestety, za późno i nie widziałem, jak orszak weselny wchodził do katedry. Musiałem, tedy zaczekać, by go

zobaczyć w drodze powrotnej. Ale wszyscy proboszczowie są podobni do siebie. Gdy zaczął śpiewać, nie ma temu końca. Z nudów postanowiłem wejść do kościoła i udało mi się tego dokazać w pocie czoła. Ugniatałem krągłe brzuszki i wydatne siedzonka. Ale utknąłem zaraz pod chórem w tej pierzynie ciał ludzkich, jakby w łóżku ciepłym i miękkim. Było trochę za gorąco, a temperatura taka sprzyja myślom swawolnym. A wszakże to miejsce święte, trzeba być poważnym, wszystko ma swój czas! Gdy tego wymagają okoliczności, mogę stać jak trusia, spuściwszy oczy, niby skromny osiołek. Bywa czasem, że uszy się podnoszą i oślina ryknie sobie. Tak się stało dzisiaj. Stałem sobie cichutko, nabożnie i otwarty usta, by lepiej widzieć, śledziłem przebieg radosnego ofiarowania się czystej Lukrecji Imć Panu d'Amazy. Huczały tuż nade mną cztery trąbki myśliwskie św. Huberta trąbiąc ku czci znakomitego łowcy podniosłą fanfarę. Nie było tylko, niestety, zwierzyny. Dusłem się od śmiechu i, oczywiście, nie mogłem się powstrzymać, by nie pogwizdywać (z cicha) melodii łowieckiej.

Gdy nadszedł moment kulminacyjny, narzeczona na pytanie ciekawskiego księdza odpowiedziała: „Tak!”, a wydęte policzki trębaczy zagrały „dojeżdżanego”, nagle, nie wiedząc sam, jak się to stało, krzyknąłem głośno:

– Halali!... [28]

[28] Halali! – okrzyk wydawany przez myśliwych lub melodia grana na rogu na znak upolowania jelenia.

Można sobie wyobrazić, jakie to uczyniło wrażenie. Natychmiast zbliżył się odźwierny, nastroszył brwi i szukał oczami winowajcy. Skuliłem się i skromnie precyzyjnie się pomiędzy pośladkami bliźnich wyszedłem z kościoła.

Znalazłem się na placu wśród licznej kompanii znajomych. Wszyscy przybyli, jak i ja, chcąc się napatrzeć do syta, nasłuchać, napić opowiadań tak, by można powtarzać to, czego się nie widziało. Naturalnie, używałem

sobie i czas mijał szybko. Naraz otwarły się drzwi katedry i cały orszak myśliwski wynurzył się przy dźwiękach organów.

Na czele z miną tryumfatora kroczył imć Pan d'Amazy prowadząc pod rękę schwytaną zwierzynę, która spoglądała dokoła oczami łani, strojąc powabne minki. „Ej! – powiedziałem sobie – cieszę się, że nie mam obowiązku pilnować tej sarenki! Śliczna bestyjka, ale ten, kto ją wypatroszy, dozna czegoś jeszcze prócz rozkoszy. Wiadomo: kto ma zwierza, ten ma rogi.” Nie mogłem dojrzeć nic więcej z polowania, straciłem z oczu dojeżdżacza i dojeżdżaną, nie mógłbym też opisać, jakie stroje mieli dostojni państwo, gdyż nagle umysły wszystkich zajęła niezmiernie doniosła sprawa, w jakim porządku ma się odbywać pochód i kto ma przed kim postępować w orszaku. Już podczas wchodzenia (opowiadano mi to, gdyż spóźniłem się, niestety) sędzia i prokurator kasztelani; dalej ławnik, zastępca mera oraz dwaj akolici^[29] *minorum gentium*^[30] popadli w konflikt w ścisku. Prym wziął przedstawiciel mera, jako najsilniejszy. Szło teraz o to, który z dygnitarzy pierwszy wytknie nos z drzwi katedry. Porobiliśmy zakłady. Ale nie pokazywał się nikt. Niby odcięta głowa węża, para nowożeńców postępowała dalej, a reszta ciała tkwiła w kościele.

[29] Akolita – kleryk posługujący przy ołtarzu, pomocnik

[30] *minorum gentium* (łac.) – niższego rodzaju, ludzie mniejszego znaczenia.

Zbliżyliśmy się i, spojrzeli do środka. Widowisko było zaiste niezwykle. Zgnieceni, wściekli, spoceni dygnitarze tłoczyli się pod chórem, a jeden przeszkadzał wyjść drugiemu. Z uwagi na świętość miejsca nikt nie śmiał krzyknąć. Tedy tylko ruszali ustami, wężami, wytrzeszczali straszliwie oczy, prostowali i pochylali grzbiety, marszczyli czoła, dyszeli, dmuchali,

nadymali policzki, a wszystko bez jednego słowa. Trzymając się ciągle na uboczu, braliśmy w sprawie czynny udział. Robiliśmy zakłady. Starsi, poważni, stawiali na sędziego, jako reprezentanta księcia (wszak winniśmy mu, co należy), młodzi trzymali stronę ławnika, jako wcielenia swobód obywatelskich. Ja się oświadczyłem za tym, który drugiego wystrychnie na dudka.

Każda partia dodawała odwagi swemu wyścigowcowi:

– Huź! Huź! Bierz go, panie Grosser! Złap go za pysk, Petaud! Raz w zęby, a dobrze, pyszałka! Nuże, stary ośle, wio!

Ale współzawodnicy nie brali się za bary z obawy nadwerężenia odświętnych strojów. I spór trwałby zapewne jeszcze długo (nieprędko by im zaschło w gębie), gdyby nie interwencja proboszcza. Bał się, nieboraczek, że obiad weselny pójdzie na nic, przeto nadbiegł pośpiesznie i zaczął godzić.

– Drogie owieczki moje – mówił – Pan Bóg się niecierpliwi, a obiad czeka. Tego czynić nie wolno. Czyż mamy wprawiać Stwórcę w zły humor w jego własnym przybytku? Wypierzmy swe brudy w domu, a teraz zgoda!

Jeśli nawet tak nie mówił (bo nie słyszałem ni słowa), to sens musiał być taki, gdyż niebawem ujrzałem dwie potężne ręce chwytające ich za kark i zbliżające pyzate gęby, by się pocałowały bratersko. Potem wyszli, ale razem, w jednej linii, niby dwie kolumny, pośrodku których widniał okazały brzuch proboszcza. Było tedy trzech dygnitarzy, miast dwu, na pierwszym miejscu, a sens moralny z tego taki, że lud nic nie traci na tym, gdy się panowie za łby wodzą.

*

Przeszli wszyscy do zamku i zasiedli do uczyty, na którą zarobili rzetelnie, my zaś, bydełko miejskie, łąziliśmy po placu, krążąc wkoło niewidzialnej misy i chwytając nosem zapach potraw. By się tym lepiej delektować, trzech łakomców, mianowicie: Tripet, Bauldequin i niżej podpisany, pytaliśmy o potrawy, jakie podawano gościom. Ile razy wymieniono potrawę, śmialiśmy

się rozkosznie i trącaliśmy się łokciami. Chwaliliśmy jedno, ganili drugie. Szkoda, że nie zasięgnięto naszej rady, nie spytano o zdanie ludzi doświadczonych. Ale ostatecznie nie było w menu ani grzechu śmiertelnego, ani błędu ortograficznego. Słowem, obiad przedstawiał się bardzo przyzwoicie.

Z okazji potrawki zajęcej wybuchła zacięta dyskusja, każdy z nas podawał swój przepis, a przysłuchujący się dorzucili kilka słów. Ale cóż... tematy tego rodzaju są niebezpieczne (trzeba być złym człowiekiem, by o tym mówić z zimną krwią), toteż gdy wmieszały się jeszcze do rozmowy dwie damy: Perrine i Jacqueline, nastąpił wybuch. Wymienione wyżej damy, specjalistki w swym zawodzie, są rywalkami, a obywatele powierzają im zazwyczaj wszystkie wielkie obiady dawane w mieście. Każda posiada swe stronnictwo i każda, opierając się na swych zwolennikach, pragnie usunąć drugą w kąt. Śliczne to turnieje.

Trzeba wiedzieć, że w mieście naszym obiady są pojedynkami bogatszych obywateli. Ale mimo zamięłowania do podniosłych dysput wyznaję, że nuży mnie, gdy słyszę hymny o czynach bliźnich moich, a sam działać nie mogę. Nie mogę też długo żywić się sosem myśli i wizjami dań nieosiągalnych. Dlatego też bardzo się ucieszyłem usłyszawszy słowa naszego zacnego Tripeta, który te same czuł dolegliwości:

– Gdy się tak długo gada o sprawach kuchennych, człowiek staje się czerwony jak brzoskwinia (to była aluzja do mego nazwiska i purpurowych lic, gdyż breugnon znaczy po naszemu: brzoskwinia). Tak samo czerwienieje kochanek, gdy mówi długo o miłości. Mam tego dość, konam, przyjacielu drogi, płonę, ginę, a z wnętrzości moich unoszą się dymy pożarne. Musimy je skropić, ugasić i nakarmić bestię, która je pożera.

– Jakoś to będzie. Licz na mnie. Pewien mędrzec starożytny powiedział: „Najlepszym lekarstwem na głód jest podjeść do syta.”

Poszliśmy razem na róg ulicy Wielkiej, do oberży „Pod Herbem Francji i Delfinatu”. Żaden z nas nie myślał wracać do domu, dawno już bowiem

minęła druga po południu. Tripet, podobnie jak i ja, miał szansę zastać w domu zimną zupę i kipiącą z wściekłości żonę. Był to dzień targowy, toteż na sali z trudem znaleźliśmy miejsce. Ale o ile przyjemnie czuć się swobodnym przy jedzeniu, o tyle przyjemniej jeszcze jest w ścisku, pośród dobrych kompanów. W ten sposób człowiek zawsze jest zadowolony.

Na czas jakiś przestaliśmy rozmawiać, a raczej zaczęliśmy dyskurs ust i szczęk, oddając się z rozkoszą pochłanianiu wieprzowiny z kapustą. Była różowa, wonna i rozpływała się na języku. Do tego wypiliśmy ciemnego piwa, by rozproszyć mgłę, która zasłaniała nam oczy. Mieli rację nasi przodkowie twierdząc, że jeść bez picia to znaczy paczyć sobie pogląd na świat! Otóż odzyskawszy bystrość spojrzenia i przepłukawszy gardło zacząłem znowu patrzeć na świat i ludzi w sposób właściwy i stwierdziłem ponownie, że jedno i drugie wydaje się po jedzeniu znacznie piękniejsze.

U sąsiedniego stolika siedział pewien proboszcz z okolicy, a naprzeciw stara gospodyni wiejska. Ustawicznie kłaniała się mu, mówiła do niego, wpatrywała się weń słodko, wtuliwszy głowę w ramiona, słowem, pragnęła oczarować ich, a może wyspowiadać się przy sposobności.

Proboszcz słuchał grzecznie i łaskawie, ale widocznie nie słyszał ani słowa. Na każdy ukłon odpowiadał ukłonem, ale pilnował talerza. Zdawało się, że mówi: „Odejdź w pokoju, córko moja, *ego te absolvo*^[31]. Darowane ci są wszystkie grzechy twoje. Albowiem Bóg jest dobry, a ja zjadłem dobry obiad. Bo, powtarzam, Bóg jest miłosierny, a ta kiszka krwawa wprost wyśmienita!”

[31] *ego te absolvo* (łac.) – ja cię rozgrzeszam.

Opodal siedział nasz notariusz, Piotr Delavau, zajęty rozmową z kolegą. Mówił o walucie złotej, cnocie, srebrze, polityce, kontraktach i Rzeczypospolitej... naturalnie rzymskiej (był on republikaninem w

wierszach łacińskich, ale w życiu codziennym kierował się rozsądkiem i wiernie służył Królowi Jegomości).

W głębi bystre moje oko wyśledziło czcigodnego Perrina zwanego Ogoniastym, w siwej bufiastej bluzie, Perrina zwanego też Pyszałkiem z Corvol. Ledwo nań spojrzałem, spostrzegł mnie. Przysiągłbym, że mnie widział od samego początku, ale siedział cicho, gdyż winien mi należność za dwie szafy orzechowe już od przeszło trzech lat.

Wykrzyknął wesoło, wstał, zbliżył się do naszego stołu i zaproponował nam szklanek wina:

– Witam cię i pozdrawiam imieniem konwentu pijaków! Tymi słowami rytualnymi rozpoczęliśmy popijawę.

– Człowiek chodzi na dwu nogach! – powiedział i łyknęliśmy drugą kolejkę.

Perrin zaproponował mi, bym coś przekąsił. Sądził, że odmówię, gdyż już się posiłem. Ale się omylił. Chwyciłem ten pomysł i w lot powiedziałem:

– I owszem!

Co odbiję na poczet należności, to mój zysk! Zacząłem tedy znowu jeść, ale teraz już spokojniej, bardziej metodycznie, albowiem nie zagrażała mi już śmierć głodowa. Z wolna porozchodzili się ludzie ordynarni, ludzie, którym ciągle spieszno, ludzie jadający jak zwierzęta, by głód nasycić. Pozostali sami uczciwi, w pewnym wieku, utalentowani, znający wartość rzeczy pięknych, dobrych i smacznych, dla których dobre danie tyle znaczy co dobry uczynek.

Drzwi stały otworem, słońce miało wolny dostęp. Pod stołem krążyło troje czarnych kurcząt wyciągając sztywne szyje, by dziobać okruszyny, stary pies drzemał wyciągnawszy łapy. Słysząc było wrzask kłócących się na ulicy kobiet, wołanie szklarza, zachęty przekupniów:

„Ryby piękne, ryby!”, oraz ryk osła podobny do ryku lwa. Na zakurczonym placu dwa białe woły zaprzęzione do pługą leżały bez ruchu, z nogami podwiniętymi pod piękne, połyskliwe boki, ślina toczyła się im z pysków, a

szczęki przeżuwały paszę z błogą rozkoszą. Gołębie gruchały na dachu pławiąc się w słońcu. Rad bym uczynił to samo, a sędzę, że chętkę tę mieli wszyscy, gdyż było nam tak dobrze, że gdyby ktoś przeciągnął nam ręką po grzbiecie, zaczęlibyśmy mrużyć jak koty.

Rozmowa stała się ogólna, mówiono od stolika do stolika. Nastrój braterstwa, przyjaźni i jedności zapanował niepodzielnie, łącząc wszystkich, a więc proboszcza, Ogoniastego, notariusza, jego kolegę i właścicielkę hotelu, posiadającą ogromnie słodkie nazwisko: Baiselat^[32] (wiele obiecywało to nazwisko, ale właścicielka jego gotowa była do ofiar znaczniejszych jeszcze).

[32] Boiselat (fr.) – całusek.

By wygodniej rozmawiać, chodziłem od stolika do stolika przysiadając się wszędzie na chwilę. Rozprawiano o polityce. Cóż bowiem lepszego, jak wyzalić się po posiłku na podłe czasy? Wszyscy narzekali na nędzę, drożyznę, zastój w interesach, ruinę Francji, rasy całej, na upadek ogólny, na władców i intrygantów. Ale każdy był ostrożny, nie wymieniano nazwisk. Wielcy tego świata mają wielkie i długie uszy i każdej chwili koniec takiego ucha może się ukazać w drzwiach. Ponieważ jednak w Burgundii im bliższe dno beczki, tym o prawdę łatwiej, zaczęto się wreszcie dobierać i do potentatów, choć co dalszych.

Wszyscy zgodnie potępili Włochów i pana Concini które to robactwo królowa zawlokła z Florencji w fałdach swej spódnicy. Jeśli zdarzy się wam, że znajdziecie przy kawałku swojej pieczeni dwa psy, jednego z obcego podwórka, drugi zaś będzie wasz, przepędzacie własnego, obcego zaś na dobre zatłuczecie. Wiedziony zarówno poczuciem sprawiedliwości, jak i wrodzoną przekorą, stwierdziłem, że należałoby karać obu jednak; słuchając zaś tego, co gadają ludzie, można by sądzić, że jedyne

nieszczęście, jakie nas gnębi, to plaga włoska, a przecież nie brak nam ani klęsk innych, ani domowych łobuzów.

Wszyscy orzekli zgodnie po moim wywodzie, że jeden łobuz włoski wart trzech naszych, a trzech uczciwych Włochów (o ile się tyłu znajdzie w ogóle) niewartych trzeciej części jednego porządnego Francuza. Zauważyłem, że ludzie wszędzie są ludźmi, świnie zaś świniami i że należy kochać każdego porządnego człowieka, nawet choćby był Włochem.

Rzucili się na mnie wszyscy i oświadczyli, że moja opinia ich wcale nie dziwi, albowiem znany jestem jako stary osioł, czerwona gęba, wiercipięta, wagabunda i włóczęga po wszystkich gościńcach.

Mieli rację. Podróżowałem dużo. Stary książę, ojciec obecnego, wysłał mnie do Mantui i Albissoli^[33] w celu studiowania przemysłu artystycznego i wyrobu emalii oraz fajansu. Przyczyniłem się do położenia podstaw fabrykacji tych rzeczy we Francji i nie żałowałem trudu ni butów. Całą drogę z Saint-Martin aż do St. Andre-le-Mantouan odbyłem pieszo, z laską w ręku. O, jakże to przyjemnie iść sobie tak przed siebie, gdy droga przed tobą coraz dłuższa i coraz lepiej czujesz stopami ziemię.

[33] Mantua, Albissola – miasta w płn. Włoszech.

Ale dajmy temu pokój; i dziś chętnie zacząłbym od nowa... Wyśmiali mnie!

Ha! Wszakże jestem Galem, synem ludzi, którzy zrabowali cały świat. „Cóżes to zrabował? – pytali ze śmiechem. – Cóżes to przyniósł?” Tyle co przodkowie. Pełne oczy. Puste kieszenie, to i prawda, ale głowę napchaną do pęknięcia. Mój Boże! Jakże to słodko patrzeć, słuchać, kosztować, wspominać. Wiem, że nie sposób widzieć i wiedzieć wszystko, ale i to dobre, co można! Jestem niby gąbka, co ssie ocean. A raczej jestem jak brzuchate, dojrzałe do pęknięcia winne grono, przesycone sokiem ziemi.

Jakaż to ilość moszczu trysłaaby ze mnie, gdyby mnie ktoś włożył do prasy! Nie ma głupich, synkowie moi, sam ja to wino wypiję! Wy nim gardzicie, widzę. Ha, tym lepiej dla mnie. Chciałem im dać skarby, okruszyny szczęścia, jakie nazbierałem, wspomnienia z kraju słońca, ale nie przyjęli. Nie, to nie! Krajanie moi nie są ciekawi, chyba tylko, gdy idzie o to, co się dzieje u sąsiada, a zwłaszcza u sąsiadki.

Reszta jest za odległa, by móc w nią uwierzyć. „Świat cały jednaki – powiadają – czy tu, czy w Rzymie osłowi osioł na imię!” – „Niechże i tak będzie – pomyślałem – zachowam dla siebie to, com widział. Nie trzeba ludzi uszczęśliwiać wbrew ich woli.” Dostosowałem się do nich nie zatracając nic z siebie. W ten sposób, miast stracić, zyskałem.

Siedzę sobie tedy, rysuję po kryjomu proboszcza, który mówiąc trzepie rękami w powietrzu, niby kogut, i nos notariusza Delavau, i śpiewam razem z nimi piosenkę:

Jest to szczęście, wierzcie mi, Być mieszczuchem z Clamecy!

Śpiewam to zupełnie szczerze. To dobra mieścina, nie może być inaczej, bo wszakże ja tutaj przyszedłem na świat! Roślina ludzka pleni się tu swobodnie, dostatnio, pulchnie, nie nabiera ostrych soków ni złości, cała wada nasza to chyba tylko ostre języki.

Jeżeli obgadamy trochę bliźniego (który płaci pięknym za nadobne), krzywda mu się nie dzieje, a nawet kochamy go więcej. Delavau przypomniał nam (byliśmy wszyscy, nawet proboszcz, dumni z tego), jak to Nivernejczycy zachowali spokojną, ironiczną postawę wówczas, kiedy cały kraj szalał po prostu. Nasz mer Ragon odmówił przyłączenia się do Guisardów^[34], ligowców, heretyków, katolików Rzymu czy Genewy, ogarniętych wścieklizną i łaknących swej krwi wzajemnie, a St. Barthélemy^[35] przybył do nas, by tutaj umyć swe ręce zbroczone w krwi. Skupieni koło naszego księcia, byliśmy niby wysepka zdrowego sensu, o którą daremnie tłukły się fale.

[34] Guisardowie – zwolennicy stronnictwa książąt de Guise, przywódców Ligi.

[35] Mowa tu o nocy św. Bartłomieja (24 sierpnia 1572 r.), w czasie której pod wpływem stronnictwa książąt de Guise dokonano w Paryżu krwawej rzezi protestantów.

Czyż można wspominać bez wzruszenia nieboszczyka księcia Ludwika lub naszego króla Henryka? O, jakżeśmy się wzajem kochali, jakże rozumieliśmy się wzajem! Mieli oni, naturalnie, swe wady, jak i my, ale właśnie te usterki czysto ludzkie czyniły ich bliższymi naszym sercom. Powtarzano sobie ze śmiechem: „Nevers kocha jak się patrzy, chociaż włos ma coraz rzadszy...” Albo znowu: „Będzie w tym roku urodzaj na dzieci. Nevers ma znowu syna!” Ach, jadaliśmy wówczas całą gębą biały chleb!

Rozgadaliśmy się o minionych czasach. Delavau, równie jak ja, znał księcia Ludwika. Ale nieboszczyka króla Henryka znałem z nich wszystkich tylko ja sam. Nie czekając tedy, aż poproszą, po raz setny może opowiedziałem im (zawsze zdawało im się, że słyszą to po raz pierwszy), jak to wyglądał król. Wszystko na nim było szare: ubranie, kapelusz, koń, szpakowate wąsy, szare oczy... słowem to, co na zewnątrz widziałeś, miało kolor szary, wewnątrz wszystko było ze szczerego złota.

W tej chwili zjawił się pomocnik notariusza z wieścią, że umiera pewien jego klient i chce zrobić testament. Poszedł, ale przedtem jeszcze udelektował nas facecyjką, która, jak uważałem, długo mu wisiała na końcu języka, tak że uczynił gest zniecierpliwienia, gdym go uprzedził wtykając swe opowiadanie. Facecyjka, przyznaję, była wyśmienita, toteż uśmialiśmy się wszyscy. Nie ma jak Delavau, gdy idzie o tłuste bajeczki.

Wypocząwszy tedy po wrażeniach dnia, opłukawszy się należycie od gardła aż po pięty, wyszliśmy razem. Było około piątej. Ach, jakież obfity plon zebrałem w ciągu tych krótkich trzech godzin. Oprócz dwu obiadów i

wesołych wspomnień posiadałem jeszcze zamówienie notariusza na dwa wielkie kufry. Udaliśmy się do aptekarza, Rathery, gdzie nas poczęstowano biszkoptami z galaretką porzeczkową. Tam Delavau skończył opowiadać swą facecyjkę i towarzyszył nam spory kawał drogi, aż do Mirandoli, by usłyszeć inną, którą ktoś z towarzystwa nas uraczył.

Nareszcie rozstaliśmy się na dobre, ulżywszy sobie przedtem jeszcze pod jakimś murem z nadmiaru niepotrzebnych już produktów uczyty. Było za późno wracać do domu, a jednocześnie za wcześnie. Udałem się przeto w towarzystwie jakiegoś węglarza ku Betlejem. Węglarz szedł za wozem pełnym towaru i pogwizdywał. Koło wieży w Lourdeaux spotkałem kołodzieja, który pędził przed sobą koło. Ile razy koło zwalniało biegu, podbiegał i popędzał je pchnięciem. Był on żywym obrazem człowieka pędzącego za szczęściem, które umyka co żywo, ile razy chce nań wskoczyć. Zanotowałem sobie to spostrzeżenie, by je kiedyś zużytkować.

Wahałem się, czy mam wracać do domu najkrótszą czy najdłuższą drogą, gdy nagle spostrzegłem pochód sunący od strony szpitala. Na czele mały chłopiec, nie większy od mojej nogi, niósł wysoki krzyż oparty koniec jego na brzuchu, niby lancę. Łotrzyk pokazywał co chwila język idącym obok dzieciakom w komeżkach i zerkał raz po raz ku szczytowi krzyża, który mu ciążył widocznie. Za nimi czterech staruchów o żyłastych nabrzmiątych rękach niosło przykrytego sukniem jakiegoś śpiocha, który za pozwoleniem swego proboszcza udawał się na cmentarz, by tam w ziemi kontynuować dalej swą drzemkę.

Grzeczność wymagała, by mu towarzyszyć aż do mieszkania. Zawsze przyjemniej, gdy człowiek nie jest sam. Przyznaję, że przyłączyłem się do konduktu także w tym celu, by słuchać opowiadania wdowy, która wedle zwyczaju szła, ciężko wzdychając, tuż za księdzem, opowiadając szczegółowo o chorobie zmarłego, lekarstwach, jakie zażywał, o jego ostatnich chwilach, jego cnotach, uczuciach, budowie ciała, a wreszcie o całym życiu nieboszczyka i jego wiernej połowicy. Opowieść ta przeplatała

się z księżowskim śpiewem. Szliśmy, pełni zainteresowania, coraz liczniejszą gromadą, gdyż nie mogę pominąć faktu, iż co chwila napotykaliliśmy znajomych ludzi, posiadających serca współczujące i uszy chętne posłyszania opowieści.

Nareszcie dostawiliśmy zmarłego do miejsca przeznaczenia, do oberży smacznego snu. Postawiono trumnę na brzegu wielkiej, czarnej dziury, a że biedak nie ma prawa do własnej drewnianej koszuli (to nic, spać można i nago), przeto podniósłszy sukno i wieko wysypano zawartość skrzynki do dołu.

Rzuciwszy nieborakowi grudkę ziemi i uczyniwszy nabożnie znak krzyża, by odegnać przykre sny, oddaliłem się mocno zadowolony. Wszakże tyle widziałem, brałem udział w radości i smutku; mój worek był dzisiaj pełen po brzegi.

Postanowiłem wracać wzdłuż brzegu, począwszy od miejsca, gdzie łączą się obie rzeki. Miałem iść, oczywiście, brzegiem Beuvronu, ale wieczór był tak piękny, że nie wiedząc, jak to się stało, po pewnym czasie znalazłem się daleko za miastem, nad czarowną Yonne'ą, która mnie zaprowadziła aż do wąwozu w La Forêt. Spokojnie płynęła woda, bez jednej fałdy na swej powłóczystej szacie. Więziła oczy, schwytane jak ryba na wędkę. I niebo, podobnie jak ja, dało się opanować. Kąpało się całe w rzece, razem z obłokami, które płynęły z jej nurtem zaczepiając tu i ówdzie o trawy i krzaki nadbrzeżne. Usiadłem obok jakiegoś starego człeczyny, który trzymał na postronkach dwie chude krowy szukające wytrwale trawy pobrzeżnej. Spytałem, jak mu się powodzi, udzieliłem mu rady na gościec w nodze, mianowicie, by wdział pończochę napełnioną zmielonym ostem (jestem w potrzebie lekarzem), on zaś opowiedział mi swoją historię, swe przejścia i swe smutki z wesołością, która, mnie zastanowiła. Był niezadowolony, gdy obliczając wiek jego powiedziałem o kilka lat mniej (liczył 75 rok życia), i zdawało się, iż właśnie dumny jest z tego, że żyjąc dłużej, wycierpiał więcej. Było to dlań zupełnie naturalne, że cierpienie panuje na świecie, że

sprawiedliwi i łotry cierpią tak samo, albowiem dobrodziejstwa niebios spływają również na wszystkich bez różnicy. Rachunek zamyka się tym, że wszyscy: bogaci i biedni, piękni i brzydcy, pewnego dnia znajdą się na łonie jednego Ojca. Staruszek mówił suchym, trzeszczącym głosem, w trawie śpiewały koniki polne, woda szumiała w wąwozie, od strony portu dolatywał zapach drzewa i smoły, przed nami płynęła gładka woda, a wszystko zlewało się w przedziwną harmonię.

Pastuch odszedł, zostałem sam. Poszedłem z wolna, z rękami założonymi na grzbiecie, wpatrzony w koła powstające na wodzie. Byłem tak zajęty obrazami odbijającymi się w fali, że nie wiedziałem, dokąd idę i gdzie jestem. Nagle podskoczyłem, usłyszałem bowiem znany mi dobrze głos. Dolatywał z przeciwległego brzegu Beuvronu. Nawet się nie spostrzegłem, jak znalazłem się przed własnym domem. Droga moja, słodka żoneczka stała w otwartym oknie i wygrażała mi pięściami. Udałem, że jej nie dostrzegam, i patrzyłem w nurt rzeki. Ale właśnie w tym nurcie widziałem ją doskonale. Widziałem, jak się rzuca, wymachuje rękami i pochyla głowę niby do ataku. Milczałem, ale brzuch mój śmiał się sam, czułem, jak brzuch mój trzęsie się i kręci. Więc wybuchnąłem śmiechem, a im bardziej się śmiałem, tym ona głośniej wrzeszczała, a im bardziej się rzucała, tym głośniej śmiałem się ja.

Na koniec w ostatniej pasji zatrzasnęła okno, drzwi i jak opętana wybiegła z domu, by mnie pochwycić. Ale musiała dostać się na drugi brzeg. Znajdowaliśmy się między dwoma mostami. Ona skoczyła ku mostowi po prawej stronie, a ja widząc, że pędzi w tę stronę, pobiegłem w lewo i sadząc ogromnymi susami przybyłem do domu przez wielki most, na końcu którego, niby czapla, tkwił od rana Gadin, sam jeden, opuszczony przez towarzyszy.

Znalazłem się w mieszkaniu. Była już noc. Jakże, u licha, szybko mija dzień! Nie narzekam nigdy, że czas straciłem, jak ten nicpoń rzymski Tytus^[36], który ciągle stękał. Nic nigdy nie tracę, z każdego dnia jestem zadowolony. Tylko zamiast jednego, potrzeba mi koniecznie dwu dni; czuję,

że mnie ktoś okrada z czasu. Ile razy zacznę pić, oho... już szklanka pusta! Ktoś ją wydoił! Znam takich, którzy cmokają swe wino bez końca. A może dostali większe szklanki? Do kroćset, to byłaby niesprawiedliwość o pomstę wołająca! Hej, ty tam, wielki oberżysto „Spod Słońca”, raczże nie krzywdzić mnie co do miary!

[36] Tytus (41-81) – cesarz rzymski, który zwykł być mawiać: „Straciłem dzień”, gdy nie spełnił żadnego dobrego uczynku.

Ale nie, nie, błogosławiony bądź, Boże, który czynisz, że po każdym obiedzie czuję się głodny i że kocham tak dzień każdy (i noc też jest dobra), iż mi go zawsze mało!

O, jakże szybko przemijasz, kwietniu kochany! Jakżeś radosny, synku wiosny, chudziutki, drobniutki... całuję cię, całuję serdecznie... Chodźmy spać, już czas. Będziemy spali razem, dobrze? Ach, do diaska, prawda, zapomniałem, że ktoś inny tu przyjdzie... Oho! Już leci, słyszę ją, słyszę, słyszę... Baba wraca!

V
ŁASICZKA

MAJ

Przed trzema miesiącami dostałem zamówienie na skrzynie i wielki kredens do pałacu w Asnois, ale nie rozpoczynałem roboty. Uważałem za konieczne zobaczyć na własne oczy dom, komnatę i obrać miejsce. Piękny mebel – to jak dojrzały owoc widniejący wśród szpaleru drzew. Nie mogłoby istnieć bez drzewa, a taki będzie, jakie jest drzewo.

Nie rozumiem piękności niezależnej od miejsca, co jak dziewczka, przystosowuje się do tego otoczenia, które jej płaci najlepiej. To Wenus z rozstajnych dróg. Sztuka w moim rozumieniu to członek rodziny, to dobry duch domowego ogniska, przyjaciel i towarzysz, który wypowiada wyraźnie, co sami niejasno odczuwamy. Ponieważ jest to duch domu, musisz poznać dom. Jak Bóg jest stworzony dla człowieka, tak dzieło dla miejsca, które zdobi i wypełnia. Piękne jest to, co jest najpiękniejsze w danym miejscu.

Wyruszyłem tedy poznać miejsce, gdzie miałem umieścić meble, i spędziłem tam znaczną część dnia, oczywiście nie zapominając o picciu i jedzeniu. Duch nie powinien zaniedbywać ciała, jak woźnica swego konia.

Nasyciwszy tedy ducha i ciało wybrałem się z powrotem tą samą drogą, którą przyszedłem, i maszerowałem wesoło ku domowi. Znalazłem się niebawem na rozstaju i mimo że wiedziałem dobrze, którą drogą należy iść, zerknąłem ku drugiej ciekawie. Wiła się przez łąki pomiędzy krzewami okrytymi kwieciami.

Jakżeby to było dobrze powąłęsać się tam trochę. Nie cierpię gościńca wiodącego prosto do celu. Dzień jeszcze długi, pogoda piękna, nie należy poruszać się prędzej niż boski Apollo. I tak jakoś dojdę. Moja stara nic na tym nie straci, przeciwnie, będzie miała więcej powodu do gdakania. Jakaż piękna ta smarkata śliwka, jak czupurnie zadziera główkę. Muszę się jej przypatrzeć, to zaledwie kilka kroków. Wiatr unosi płatki jej kwiatów niby śnieg, ptaki świergocą, istny raj! A ten strumyk! Toczy się pomrukując pomiędzy ziołami, jak kociak goniący kłębek po dywanie. Muszę zobaczyć.

Oho, zastąpiła mu drogę grupa drzew; złapany, nie ujdzie. O... płynie dalej! Którędyż się prześliznął? Tędy, tędy, przebiegł pod samą nogą starego wiązu, garbatą, sękatą i obrzmiałą. A to filut! Ale dokądże wieść może ta drożyna?...

Tak się zabawiałem idąc w ślad za swym gadatliwym cieniem, obłudnie udając, iż nie wiem, dokąd zdążam. Nie łzyj, Colasie! Nie łzyj, stary gałganie, nie udawaj Ulissesa. W chwili wyjścia z pałacu wiedziałeś, gdzie cię ciągnie. Godzina drogi dzieli cię od domu twej dawnej umiłowanej, Celiny. Zrobimy jej niespodziankę. Ale któż z nas dwojga będzie więcej zdziwiony? Tyle lat jej nie widziałem... Cóż się stało z jej ślicznym, złośliwym pyszczkiem, z buziaczkiem mojej łasiczki?

Chyba teraz mogę stanąć przed nią, chyba dzisiaj już nie zgryzie mego starego serca ostrymi ząbkami? Oj, to serce wyschło jak podeszwa starego buta. A czyż ona ma jeszcze te same ząbki? Oj, łasiczko moja droga, jakżeś ty umiała śmiać się i gryźć jednocześnie! Dostyc się naigrałaś z biednym Breugnonem, dostyc mu nazawracałaś głowy! Wodziłaś go za nos, prowadziłaś na lince, obracałaś wedle woli. Ale skoro ci to sprawiało przyjemność, nie gniewam się wcale. Byłem zresztą osłem dardanelskim!

Pamiętam, jak się w nią wpatrywałem, oparty łokciami o mur ogrodu mistrza Medarda Lagneau, który mnie uczył rzeźby. Po drugiej stronie podwórza, służącego za pracownię, był ogród warzywny. Celina uwijała się pośród grządek sałaty, poziomek, rzodkiewek, zielonych ogórków i złotych melonów. Chodziła bosą; miała obnażone ramiona i szyję, na które spływała ciężka fala miedzianych włosów. Ubrana jeno w krótką spódnicę po kolana, koszulę na poły rozpiętą na jędrnych piersiach, piękna, zwinna, ponętna, kołysała w prawo i lewo wielką polewaczką, miotając silnymi, opalonymi rękami rześisty deszcz na główki roślin, a kwiaty otwierały dzióbki i piły chciwie. Ja też otwierałem dziób, który nie był mały, i stałem oczarowany, by lepiej widzieć.

Chodziła tam i z powrotem, ciągle wylewała zawartość polewaczki i

napełniała ją na nowo u studni. Silnym ramieniem podnosiła jak piórko ciężar i zgrabnie stąpała wąskimi ścieżynami, przeskakując wężyki wody pięknymi nóżkami. Kolana jej były krągłe i silne, niemal chłopiące. Pożerałem ją oczyma, a ona udawała, że mnie nie widzi. Czasem tylko, gdy jej wypadło skropić grządkę pod murem, zbliżała się i nagle spozierała na mnie ogromnymi oczyma, a ja wstrząsałem się cały. Miałem wrażenie, że rzucono na mnie sieć. Prawda to, co mówi przysłowie: Oko kobiety, ręczę, niczym nici pajęczce! Czułem, że jestem schwytany i trzępię się daremnie, niby mucha, a ona oddalała się, obojętna i zimna. Siadała w kucki i pełła kapustę. Czasem, tylko rzucała spod oka spojrzenie, by się przekonać, czy zdobycz nie zerwała się.

Widziałem jej szyderczy uśmiech. Daremnie mówiłem sobie: „Idźże, głupcze, do domu, ona kpi z ciebie!” Nagle, bywało, wstała, przeskoczyła kilka grządek, zerwała tu kwiatek, tam kwiatek, kołyszący się na wietrze, i rozkładając ramiona wykrzykiwała niby to do siebie:

– Oho! I ten, widzę, kocha się we mnie!

Wetknęła pęk kwiecia w rozchylenie koszuli na piersiach, pomiędzy krągłe wymionka. Nie byłem pozbawiony pewnego rodzaju śmiałości, przeto powiedziałem:

– Proszę i mnie tam wsadzić!

Wybuchnęła śmiechem, oparła dłonie na biodrach i kołysząc się tuż przede mną na szeroko rozstawionych nogach rzekła:

– Zachciało ci się? O, nie, nie dla twoich zębów dojrzewają moje jabłuszka!

W ten sposób zapoznałem się pewnego sierpniowego wieczora z tą ślicznotką, z tą łasiczką, z tą piękną ogrodniczką. Zwano ją powszechnie łasiczką, ponieważ jak owo stworzonko o spiczastym nosku, była smukła, giętka, główkę miała małą, chytry, pikardyjski nosek, usta wydatne i powabnie wykrojone oraz ostre ząbki zdatne do chrupania serc i orzechów. Ale jej oczy, niebieskie i zimne jak wiosenna burza, i kąciki ust, kryjące

uśmiechy słodkie a kąśliwe, zniewalały każdego, kto raz zaznał ich uroku.

Od tej pory nieraz dobre pół dnia, zamiast pracować, spędzałem u muru i dopiero stopa mistrza Medarda na pośladku oraz jego pięść przypominały mi, że należy zstąpić na ziemski padół. Czasem łasiczka mając dość tego patrzenia wołała gniewnie:

– Dosyć mi się napatrzyłeś z przodu i z tyłu! Cóż chcesz więcej zobaczyć? Znasz mnie już dokładnie, po cóż się gapisz?

Odpowiadałem mrugając chytrze oczyma:

– Nie można wcale poznać oczyma, niestety, ni melona wonnego, ni smacznej kobiety! Chętnie bym sobie odciął kawałek tego owocu, a może i owoc nie miałby nic przeciw temu.

Byłem młody, miałem gorącą krew, kochałem się we wszystkich dziewczętach. Czyż ją kochałem naprawdę, ją jedną? W pewnym wieku można zakochać się w miotle ubranej w spódnicę. Nieprawda, mój stary, mówisz bluźnierstwa i nie wierzysz w nie ani na krztę. Jedynie pierwsza miłość jest prawdziwa, piękna, słuszna. Niebo ją zsyła, by zaspokoić pałace nas pragnienie. I może dlatego, że nie wychyliłem jej do dna, łaknę wciąż i tak już będzie do końca życia.

Doskonaleśmy się rozumieli. Spędzaliśmy całe godziny na przekomarzaniach. Oboje mieliśmy obrotne języki. Ona miotała na mnie obelgi, ja zaś oddawałem je z nawiązką. Jedno i drugie strzepiło sobie język i zgrzytało zębami. Czasem śmieliśmy się do rozpuku. Aby się wygodniej śmiać a jakiejś złośliwości, przysiadła na grządkach zupełnie jak kura na jajkach. Wieczorem podchodziła do samego muru i rozmawialiśmy poufale. Widzę ją dziś jeszcze, jak dowcipkuje i prześmiewa się, zuchwałe spojrzenie topiąc w moich oczach, jakby mi chciała zajrzeć do głębi serca. Widzę ją, jak podnosząc ramiona sięga do gałęzi czereśni obwieszonych czerwonymi wisiorami owoców, tworzącymi wieniec wokół jej miedzianych włosów. Nie zrywa owoców, lecz dziobie je wprost z drzewa, pozostawiając tylko pestki wśród liści. Obraz ten jest jak doskonały i wieczny symbol młodości

czerpiącej pokarm z nabrzmiącej piersi nieba. Jakże dokładnie poznałem wówczas kształty jej szyi; ramion, kibici, piersi, ust i wiele razy utrwaliłem je potem w rzeźbie mebli! Przechyliwszy się przez mur wydzieralem jej gwałtownie gałąź i chciwie ssałem wilgotne jeszcze pestki.

W niedzielę spotykaliśmy się na przechadzkach lub w sali zabaw pocziwego Beaugy. Tańczyliśmy... Tańczyłem z pewną gracją, miłość uskrzydla, miłość, powiadają, nauczy osła tańczyć kadryla. Ani na chwilę nie ustawała między nami walka. O, jakaż była napastliwa! Zasypywała mnie przycinkami do mego koślawego, krzywego nosa albo do wielkiej, szerokiej paszczęki, gdzie, jej zdaniem, można by jak w piecu kuchennym upiec pasztet, a także do mej szewskiej brody; słowem, drwiła z całej mej postaci, która, wedle opinii proboszcza, sporządzona miała być na obraz i podobieństwo Stwórcy. Nie dawała mi ani na chwilę spokoju, a ja, naturalnie, także nie pozostawałem jej dłużny.

Walka przeciągała się i rozgrzewała coraz bardziej oboje. Czy pamiętasz, stary Colasie, winobranie u mistrza Medarda Lagneau? Łasiczka została zaproszona. Pracowaliśmy obok siebie, dotykaliśmy się głowami, a ręka ma szukając grona chwytala czasem – przez omyłkę – jej pośladek lub łydkę. Podnosiła wtedy zarumienioną buzię i dawała mi mocnego klapsa w gębę albo zmów obryzgiwała mi nos sokiem. W zamian wyszukiwałem największą i najczarniejszą jagodę i rozduszałem na jej złocistym, słońcem opalonym karczku. Broniła się jak sam diabeł. Ścisakałem ją parę razy w objęciach, ale zawsze nadaremnie. Śledziliśmy się wzajem. Podniecała ogień i przyglądała się z szelmowską miną, jak płonę, a przy tym pokazywała mi figę.

– Nie będę twoją, Colasie!

Przymrużałem oczy jak kotek skromny, wygrzewający się na murze, który przez szczelinę półotwartych źrenic śledzi biegającą myszkę, i odpowiadałem:

– Zobaczymy, zobaczymy...

Raz po południu (jakoś pod koniec maja) parno się zrobiło. Z pobladłego nieba, niby z gorącego pieca, szedł ku ziemi żar niezmierny. Od kilku dni zbierało się na burzę, ale deszcz nie chciał spaść. Ludzie potnieli, heble oblane były wodą, a koszula lepiała mi się do ciała. Łasiczka śpiewała przed chwilą, teraz ucichła. Szukałem jej oczyma. W ogrodzie – nikogo. Nagle zobaczyłem ją w cieniu chaty. Siedziała na poły leżąc, z głową przechyloną do tyłu. Spała. Jedno ramię zwisało z polewaczki. Widocznie obezwładnił ją nagle sen.

Leżała bezbronna, półnaga, nieruchoma, gotowa do bezwiednego oddania się jak Danae^[37]. Poczułem w sobie moc Jowisza. Przeskoczyłem przez mur i depcąc w biegu kapustę i sałatę wziąłem ją w ramiona. Całowałem jej usta. Gorąca, naga, okryta potem, na poły śpiąca, poddawała się, przepojona pożądaniem rozkoszy. Nie otwierając oczu szukała ustami moich ust oddając mi pocałunki.

[37] Według greckich mitów Zeus (Jowisz) zapłodnił Danae spływając na nią w postaci złotego deszczu.

Burza huczała we mnie. Byłem pijany, szal mnie porwał, ogarniałem sobą to kochane ciało, dziękując losom, że oto gołąb pieczony wpada mi w usta. I nagle (cóż za bałwan ze mnie!) uczułem, że brak mi odwagi. Porwały mnie głupie skrupuły. Kochałem ją tak bardzo, że nie mogłem ścierpieć myśli, iż oto jeno bezwład snu mi ją daje, że tylko ciało, a nie duszę dumnej ogrodniczki trzymam w ramionach i posiąść ją mogę jeno zdradą.

Wyrwałem się, rozplotłem jej ramiona, ucałowałem usta. Ileż mnie to kosztowało, ale zwyciężyłem, to jest: uciekłem. Już temu trzydzieści pięć lat, a dotąd rumienię się, ile razy o tym wspomnę. Ach, młodość, głupota, bezdenna głupota!

Od tego dnia szatan ją opętał. W stosunku do mnie stała się wprost niemożliwa, dziwaczyła, kaprysiła, zmieniała się co chwila, jak chmury na

niebie. Raz okazywała mi pogardę bolesną, to znów udawała, że mnie nie dostrzega wcale, innym razem wodziła za mną rozkochanym, pożądlwym spojrzeniem, słała mi czarowne uśmiechy albo, ukryta za drzewem, rzucała we mnie, ile razy się obróciłem, grudkami ziemi, to znów dostawałem w nos pestką ze śliwki. Wreszcie podczas przechadzki chichotała, szczebiotała, kokietowała tego i owego.

Najgorsze było to, że celem tym lepszego dokuczenia mi wzięła w sidła drugiego wróbla, a był nim mój serdeczny przyjaciel, Quiriace Pinon. Byliśmy ze sobą jak dwa palce u jednej ręki. Niby Orestes i Pilades, nie rozstawaliśmy się nigdy i w każdej bójce, uroczystości, zabawie, w mocowaniu, wyzwaniu na pięści czy słowa zawsze braliśmy udział razem. Quiriace był krępy, sękaty jak dąb, miał kark byka i podobny umysł: prosty, ograniczony, ale szczery. Zabiłby każdego, kto by mi chciał szkodzić. I jego to wybrała łasiczka na swe narzędzie.

Nie miała wiele trudu. Starczyło rzucić cztery zalotne spojrzenia i zrobić tuzin zwyczajnych minek, a więc: minkę niewinną, pożądlwą, bezczelną, potem zaśmiać się, poszeptać, zrobić słodki dziobek, spuścić powieki, zamrużyć, pokazać zębki, przygryźć wargi, oblizać się spiczastym językiem, pokręcić szyjką, zakołysać się w biodrach, podnieść trochę kuperek, jak pliszka... i już po wszystkim! Czyż jest mężczyzna, który by się oparł pokusom córki szatana?

Pinon stracił tę resztkę rozsądku, która mu jeszcze pozostała, i odtąd obaj wystawaliśmy u muru gapiąc się na łasiczkę. Nim przyszło do słów, zamienialiśmy wściekłe spojrzenia. Łasiczka, chcąc podsycić płomień, często gęsto polewała go z koneweczki lodowatą wodą. Widząc to śmiałem się, ale Pinon był osłem, wierzgał tedy, ryczał z gniewu, kłął, odgrażał się i wrzeszczał. Nie mógł zrozumieć innego żartu oprócz swojego. (Niestety, na żartach Pinona prócz niego samego nikt się jakoś poznać nie umiał. Nic mu to jednak nie przeszkadzało i śmiał się za wszystkich.)

A donzella delectowała się tymi obelgami głuptasa jak mucha mlekiem i

rzucala mu spojrzenia pełne obietnic i pełne powabu uśmiechy. Gdy jednak prostaczek chciał wyciągnąć konsekwencje i rozwijając sztandary rzucał się do ofensywy, łasiczka śmiała mu się w nos i odprawiała z kwitkiem. Śmiałem się, oczywiście, także, a Pinon, doprowadzony do depresji, przeciw mnie kierował swą wściekłość. Był pewny, że mu chcę dziewczynkę sprzątnąć sprzed nosa, toteż pewnego dnia poprosił mnie zupełnie formalnie, bym mu ustąpił miejsca. Odparłem słodkim głosem:

– Bracie, właśnie chciałem się zwrócić do ciebie z tą samą prośbą.

– A więc, drogi bracie – odparł Pinon – jeden z nas musi zginąć!

– To prawda, drogi Pinon – rzekłem – ale sprawiłoby mi to ogromną przykrość.

– To samo ja myślałem, drogi Breugnon! Dlatego też proszę cię, idź sobie! Dostyc jednego koguta w tym kojcu!

– Racja! Właśnie dlatego idź sobie ty, bowiem kokoszka jest moja!

– Twoja? Kłamiesz, pokrako! Jest moja, mam ją i nie dam nikomu!

– Drogi chłopcze! – odparłem. – Zapomniałeś chyba, jak wyglądasz, byczku z Owernii. Siano w sam raz dla ciebie, chrupkie zaś to ciasteczko przeznaczone jest dla moich burgundzkich zębów. Nie masz tu co robić, idź się paść na łąkę.

Od słowa do słowa przyszło do starcia na pięści. Ale czuliśmy obaj wyrzuty sumienia, gdyż kochaliśmy się szczerze.

– Słuchaj, Breugnon – prosił – ustąp, ona woli mnie!

– Nie, mnie woli! – oświadczyłem.

– A więc spytajmy jej samej. Odrzucony pójdzie sobie precz!

– Zgoda! Niech wybiera!

Ale czyż warto pytać się dziewczyny o wybór, gdy cały urok leży właśnie w tym przeciąganiu decyzji? Ma zawsze czas, waży, rozważa zalety i wady tego, to znów tamtego, wysmaża na rożenku obu galantów, wreszcie odwraca się od obu. Oczywiście, nie zdało się na nic owo pytanie. Łasiczka odpowiedziała wybuchem śmiechu.

Wróciliśmy do warsztatu i zdjęliśmy surduty.

– Ha, trudno, jeden z nas musi zginąć! W chwili gdyśmy się mieli porwać za łby, Pinon powiedział:

– Pocałuj mnie!

Ucałowaliśmy się z dubeltówki.

– A teraz do roboty!

Zaczął się taniec jak należy. Było na co patrzeć, choćby za biletami. Pinon usiłował wgnieść mi czaszkę tuż nad oczyma, ja zaś starałem się rozpruć mu brzuch kolanami. Nikt się tak serdecznie nie bije jak przyjaciele! Za chwilę obaj ociekaliśmy krwią, która się nam obficie lała z nosów, i doprawdy nie wiem, czy któryś nie byłby naprawdę oddał ducha, gdyby nie sąsiedzi oraz majster Medard Lagneau. Wpadli i rozdzielili nas, co jednak nie było rzeczą łatwą. Musiano nas jak psy skraplać wodą, gdyż żaden nie chciał puścić kości. Lagneau wziął od jakiegoś woźnicy bat i smagał, gdzie popadło, wiedząc, że Burgund musi dostać baty, by wrócił do równowagi.

To nareszcie odniosło skutek. Po bitce wszystko się nam obu jakoś wyklarowało w głowach. Spoglądaliśmy na siebie wzajem zawstydzeni, a wówczas zbliżył się do nas Jan Giffard, wysoki, rudy, krągły na gębie młynarz o świdrowatych oczkach, i takie nam palnął kazanie:

– Głupie koguty! I cóż wam z tego przyjdzie, że sobie powyrywacie grzebienie, pióra i powydrapujecie oczy? Czy sądzicie, że któryś z was dostanie kwoczkę? Nieprawda! Widzicie przecież sami, że z was kpi radując się tylko z waszej bójki. Każda samiczka przepada za tym, by włóczyć za sobą czeredę adoratorów, którzy ją obwąchują ze wszystkich stron. Czy chcecie dobrej rady? Oto odwróćcie się obaj na pięcie i idźcie sobie precz! To jej zada bobu... Widząc, że traci jednego i drugiego, będzie się musiała zdecydować. A więc... marsz! Ruszajcie natychmiast, nie tracąc ni chwili! Trzeba to przeciąć od razu! Dalejże za mną! Chcę wam pomóc z serca, przeto gdy będziecie wędrować po kraju, ja tymczasem nie spuszczę oka z damulki, dowiem się, którego oplakuje, i nie omieszkam zawiadomić

zwycięzcy. Drugi wtedy uczyni, co chce. Tak będzie najlepiej! A teraz chodźmy popić. Nie ma jak wino, gdy człowiek musi topić zmartwienie i pamięć.

Tak dokładnie topiliśmy swe nieszczęście, że straciliśmy zupełnie zastanowienie i, działając jakby pod przymusem, tegoż jeszcze wieczora spakowawszy tłumoczki i ująwszy laski ruszyliśmy w ciemną bezksiężycową noc, unosząc w sercach wielką wdzięczność dla zacnego Giffarda. Nie spostrzegliśmy nawet, że oczka młynarza, błyszczące na okrągłej jego twarzy, na poły skryte pod fałdzistymi powiekami, jaśniały radością, której wprost ukryć nie był w stanie.

Nazajutrz rano zmienił się znacznie nasz nastrój. Nie przyznając się sobie do tego upadku ducha nadrabialiśmy minami. Ale każdy myślał, rozważał i coraz bardziej zdumiewał się genialną wprost taktyką wspólnego przyjaciela i doradcy. Wszakże pozbył się w ten sposób obu i został sam w kojcu! Około południa obaj byliśmy bliscy rozpaczki. Wieczorem śledziliśmy się wzajemnie spod oka, rozmawiając jednocześnie niedbale i obojętnie o deszczu i o pogodzie. Każdy zaś myślał: „Ślicznie mówisz, przyjacielu. A mimo to rad byś mnie puścić w trąbę i sam wrócić do domu. O, nie, nic z tego! Kocham cię zbyt gorąco, by cię zostawić samego! Nie, nie, będę wstępował w twoje ślady.”

Po rozlicznych fortelach, by się wzajemnie podejść (nie opuszczaliśmy się ani na moment, nawet kiedy jeden z nas chciał sobie ulżyć), położyliśmy się wreszcie spać i każdy udawał, że chrapie. Ale gryzła nas słoma, miłość i pchły. Pinon pierwszy wyskoczył z łóżka i zawołał:

– Na miłość boską, dość tego! Nie wytrzymam! Szlag mnie trafi! Wracam do domu, i basta!

– Dobrze – odpowiedziałem. – Wracajmy!

Przez cały następny dzień szliśmy pośpiesznie ku domowi. Słońce właśnie zachodziło, gdyśmy się znaleźli pod miastem. Ale nie chcąc się wystawiać na szyderstwa przechodniów i znajomych, ukryliśmy się w pobliskim lesie,

by tam doczekać nocy. Prócz tego chcieliśmy przyłapać łąsiczkę na płaczu, wyrzekaniu, wyrzutach sumienia itp. „Opuściłeś mnie, najdroższy! Nie ma cię!”

Z pewnością wzdychała i gryzła palce z rozpaczy. Ale kto jest ten najdroższy? Każdy mówił sobie: „To ja...”

Skradając się po cichutku, dostaliśmy się pod mur ogrodu. (Lekki niepokój obudził się w naszych sercach.) Dom był oblany światłem księżyca. U okna łąsiczki zwisała gałąź jabłoni, a na niej... czyż to jabłko? Nie... Boże wielki... to kapelusz młynarza!

Czyż mam opowiadać, co potem nastąpiło? Nazbyt przypadłoby wam to do gustu, dobrzy ludzie. Widzę wasze miny, żartownisie; nieszczęście sąsiada służy tylko waszej rozrywce. Rogacze są zawsze radzi, gdy przybywa im kompan...

Quiriace, niby ranny daniel, rzucił się naprzód jelenim skokiem (miał przecież nawet rogi), znalazł się na murze, potem na jabłoni i wpadł oknem do izby, skąd niebawem rozległy się straszliwe wrzaski, jęki, skowyty zarzynanego cielęcia, klątwy...

– Drabie! Zbóju! Kanalio! Oszuście! Na pomoc! Ratunku! Rogalu! Obłudniku! Wisielcze! Łobuzie, dam ja ci! Uszy obetnę! Wyprawię ci skórę! Nauczę cię moresu! Zabiję jak psa! Policja!... Gwałtu!...

Łomot, trzask, lecą szyby, dźwięczą tłuczone garnki, dudnienie padających na ziemię ciał, trzask mebli, pisk i lament kobiecy, wycie psów...

Łatwo pojąć, że te wrzaski zbudziły wszystkich i cała dzielnica zbiegła się pod okno domu łąsiczki. Nie czekałem na ciąg dalszy, widziałem już dosyć. Zawróciłem w stronę, skąd przybyliśmy dopiero co. Jedno oko się śmiało, drugie płakało, nos był spuszczonej na kwintę, a uszy położyłem po sobie.

– A to ci się udało, Colasie – powtarzałem raz po raz.

W głębi duszy byłem smutny, ale udawałem wobec samego siebie kpiarza. Przypomniałem sobie całą awanturę, naśladowałem to jedno, to drugie: młynarza, to znów dziewczynę, wzdychałem przy tym ciężko jakbym

zamierzał wyzionąć ducha.

– Niestety! – mówiłem sobie. – To takie zabawne, że można zdechnąć ze śmiechu... nie, raczej z bóleści. I omal, mnie ta szelma nie wzięła pod małżeński pantofel. Ładne bym nosił rogi! Chociaż, czyż nie opłaciłoby się? Zawsze bym ją miał, chociaż... O Dalilo, Dalilo, tromtidara!

Przez dwa tygodnie wahałem się tak między śmiechem a płaczem. Na mojej krzywej gębie malowała się cała mądrość starożytnych: raz podobny byłem do płaczliwego Heraklita^[38], to znów do śmiejącego się filozofa Demokryta^[39]. Ludzie byli bez litości i kpili sobie ze mnie w żywe oczy. Czasem na myśl o mojej ukochanej pragnąłem własnej zguby. Ale chwile takie nie trwały długo. Na niebo! pięknie jest kochać, byleby nie ginąć z owej miłości. Łaskawi państwo, my, Burgundowie, jesteśmy ludzie czynu. Niewiele posiadamy wspólnego z bohaterami romansów. Nikt się mnie nie pytał, czy chcę przychodzić na świat, i pewnie, że byłbym z tej przyjemności zrezygnował, gdybym mógł. Ale żyję, a przeto trzeba się liczyć z tym faktem, potrzebuję świata, a świat mnie. Gdy się jest Burgundem, nie ma czasu myśleć o śmierci. Dobry czy zły, nie opuścimy go z własnej woli, trzeba nas dopiero wypraszać za drzwi. Wino ściągnięte, wypijmyż je więc. Skoro wypite, ssajmy nowe z naszych piersistych pagórków. Po jakichś pięciu czy sześciu miesiącach, w miarę mijania czasu, zbyt ciężkie na me siły brzemień bólu nareszcie zostało gdzieś na drugim brzegu i powiedziałem: „Wyobraź sobie, żeś ją posiadał!”

[38] Heraklit (540-480 p.n.e.) – filozof grecki, z powodu ponurego usposobienia przezwany „płaczącym filozofem”.

[39] Demokryt (460-370 p.n.e.) – filozof grecki, który uważał pogodę ducha za najwyższe dobro, stąd nazwany „śmiejącym się filozofem”.

O, kochana, śliczna łasiczka! Nie, nie, mimo wszystko nie mogę sobie tego wyobrazić. Posiadł ją Gifflard, ten wór mąki; Gifflard, z głową jak arbus, pieści i bawi się z nią już od lat trzydziestu przeszło. Trzydzieści kilka lat! Mój Boże, chyba zaspokoił pierwsze pragnienie! Jak mi mówiono, nie posiada go zresztą od owego pamiętnego dnia, kiedy był zmuszony ją poślubić. Dla takiego łakomca smakołyk raz połknięty traci wszelki powab.

Zresztą młynarz nie miał zgoła małżeńskich zamiarów i gdyby nie awantura wywołana przez Pinona, jego gruby paluch nie byłby trafił nigdy w małą obrączkę łasiczki. Teraz jednak musiał nastąpić ślub. Wpadł w potrzask: chcąc schwycić dziewczynę, przyciął sobie ogon. Złapali się tedy wszyscy: on, ona i... ja! Śmieję się więc Breugnon, jest z czego!

*

Właśnie kiedy się zaśmiałem, ujrzałem w odległości dwudziestu pięciu kroków, w głębi szpaleru drzew (Boże wielki, czyż podobna, bym gadał przeszło dwie godziny?), dom o czerwonym dachu, zielonych okiennicach i białych ścianach okrytych szczelnie liśćmi winorośli. Drzwi były otwarte, a przed nimi ujrzałem pod rozłożystym orzechem, u studni ujętej w kamienne obramowanie, znaną mi, ach, jak dobrze znaną (choć od tylu lat nie widzianą), kobietę, która czerpała wodę. Na ten widok nogi się ugięły pod mną.

Omam nie uciekłem. Byłbym to uczynił, ale patrzyła na mnie! Spoglądała spokojnie, nie przestając czerpać wody. I oto nagle... poznała mnie! Nie uczyniła jednego gestu, nie wydała okrzyku. Duma nie pozwalała na to; tylko wiadro wysliznęło jej się z rąk i wpadło do studni. Gdy się zbliżyłem, powiedziała:

- A skądże to Bóg prowadzi?
- Widzę, że czekałaś na mnie! – odparłem pyszałkowato.
- Głupstwa pleciesz! Zapomniałam już, jak wyglądasz!
- Dalibóg, ja także! A to doskonale, wszystko tedy w porządku.

– No i cóż?

Staliśmy naprzeciw siebie. Miała ramiona mokre od wody, stała ująwszy się pod boki, a ja również podparłem się i przybrałem swobodną postawę. Patrzyliśmy na siebie nie widząc się jednak. Wiadro w studni napełniało się z wolna wodą.

– Wstąp na chwilę! – powiedziała.

– Chyba na minutkę. Spieszno mi!

– Dobrze, dobrze. Cóż cię tu sprowadza?

– Mnie? Ależ nic! – zawołałem. – Ot tak, zrobiłem sobie spacer.

– Więc jesteś bogaty?

– O tak, pieniędzy wprawdzie nie posiadam, ale fantazji co niemiara!

– Nie zmieniłeś się! Zawsze taki sam wariat z ciebie! Już ten się nie wyleczy, kto dzieckiem mówił od rzeczy!

Weszliśmy w podwórze. Zamknęła wrota. Staliśmy zupełnie sami pośród rozgdakanych kur. Wszyscy ludzie z fermy byli w polu. Nie wiedząc, co robić, podeszła pod drzwi stodoły, zatrzasnęła je (czy też otwarła, nie wiem sam) i zburczała biednego Medora. Ja także, chcąc przyjść do siebie, zacząłem gadać o jej domu, kurach, gołębiach, kogucie, psie, kocie, kaczkach, prosięciu. Byłbym wyliczył, gdyby nie przerwała całą arkę Noego. Nagle ozwała się:

– Breugnon...

Zatkało mi oddech.

– Breugnon! – powtórzyła. Patrzyła mi w oczy, potem rzekła:

– Pocałuj mnie.

Nie dałem się prosić! Gdy się jest tak starym, można sobie pozwolić. To nawet czasem dobrze robi. (Zawsze dobrze robi.) Uczułem na swych szorstkich, pomarszczonych policzkach zwiędłe policzki Celiny i nagle rozjaśniły mi się oczy, łzami wezbrane. Uczułem teraz dopiero łzy, ale oczywiście nie rozplakałem się.

– Broda twoja kłuje! – powiedziała.

– Szkoda, iż nie wiedziałem rano, że cię będę całował – odparłem – byłbym się ogolił. Przed trzydziestu laty broda moja była miększa, a wówczas chętnie by się też była otarła o twą okrągłą rumianą buzię!

– Więc myślisz o tym jeszcze?

– Nie, nie myślę nigdy!

Spojrzeliliśmy na siebie i roześmialiśmy się oboje. Żadne za nic nie byłoby teraz spuściło oczu.

– Zuchwalcze! Uparciuchu! Hołodrygo jeden, jakże podobniśmy byli wówczas do siebie wzajem! Upór nie opuścił cię dotąd; widzę, że nie chcesz się starzeć! Co prawda, mój drogi Breugnon, nie wyładniałeś wcale, masz woreczki pod oczyma, koślawy nos wydał ci się jeszcze bardziej, ale ponieważ nie byłeś nigdy piękny, przeto strata niewielka. Nie wylazł ci ani jeden włos z głowy, stary urwipołciu! Tu i ówdzie tylko przegląda srebrna nitka.

Odpowiedziałem:

– Głupia głowa nie łysieje!

– Co tam wam, mężczyznom! Nie trapiecie się nigdy, używacie życia i tyle. Za to my, kobiety, starzejemy się za was i za siebie. Spójrz na mnie, wszakże jestem zupełną ruiną. Gdzież się podziało moje jędrne ciało, tak miłe dla oka, a miłsze jeszcze do pieśczoły, ponętny karczek, piersi, biodra, mleczna cera twarzy, słowem, wszystko, co mnie czyniło podobną do wonnego, dojrzałego owocu? Ach, wszak przepadło... Nie wiem, czy poznałbyś mnie spotkawszy gdzieś na targu?

– Byłbym cię poznał wśród tysięcy kobiet, i to z zamkniętymi oczyma!

– Z zamkniętymi? Tak, może, ale z otwartymi trudniej. Spójrz na zapadłe policzki, bezzębne szczęki, nos cienki, suchy, podobny do haka, zaczerwienione oczy, zwiędły kark, zwiotczałe, wyschłe piersi, nieforemny brzuch...

Odparłem (tak było, niestety, jak mówiła):

– Pamiętaj przysłowie? Nie odmienisz swego lica, co łasica, to łasica!

– Więc nie dostrzegasz zmian?

– Mam dobre oczy, łasiczko!

– Ach, w cóż się zmieniła twoja łasiczka! – westchnęła ciężko.

– Biegała tędy, pamiętam, teraz gdzieś się ukryła, ale nie zapomnę nigdy jej ostrego pyszczka, świdrujących, szelmowskich oczu, tak kpiących a tak wabnych jednocześnie. Odpychała i przyciągała do swej jamy.

– Możesz wejść, szanowny lisie, nic nie zaryzykujesz, nie stracisz tu ogona w paści. Ho, ho, zawód miłosny nie zaszkodził, jak widzę, twej duszy!

– Wiem, moja droga, że robaka utopić nie można. Wypływa zawsze.

– Doskonale! Musimy dać pić robakowi.

Weszliśmy do domu i zasiedli do stołu. Nie wiem już dobrze, co jadłem i piłem. Dusza moja była mocno zajęta, ale zęby i gardło pilnowały się same i nie traciły jednego kęsa ni jednego łyku. Patrzyła na mnie, oparłszy łokcie na stole, potem powiedziała szyderczo:

– Mniej ci teraz dolega ból serdeczny?

– Oczywiście, znasz przecież przysłowie:

Gdy cię serce boli,

Najedz się do woli...

Kosza da dziewczyna,

Siądź, bracie, do wina!

Umilkła, nie była już w stanie kpić. Ja bufonowałem dalej, plotłem koszałki opałki, ale oczy nasze wpatrywały się w siebie wzajem, a dusze myślały o przeszłości. Nagle powiedziała:

– Breugnon... czy wiesz? Nie powiedziałam tego nikomu. Teraz mogę już, bo przepadło. Oto kochałam ciebie jednego!

Odparłem:

– Wiem o tym i wiedziałem...

– Wiedziałeś, nicponiu! I czemuż mi tego nie powiedziałeś?

– Przez samą chęć przekomarzania byłabyś powiedziała, że to nieprawda!

– To i cóż? Czułam inaczej. Całuje się przecież usta, nie słowa, które z nich wychodzą!

– Twe usta nie zadowalały się słowami. Byłem pod domem tej nocy, kiedyś wpuściła do swego młyna młynarza.

– To twoja wina. Młyn czekał na ciebie. Prawda, że i ja byłam winna, ale odpokutowałam to gorzko. Wiesz wszystko. Ale nie wiesz, że wzięłam go z rozpacz, dowiedziawszy się o twym odejściu. O, jakże pożałowałam ciebie. Pożałowałam ciebie onego już dnia, gdy mną wzgardziłeś.

– Ja wzgardziłem tobą?

– Tak, tak, głuptasie. Spałam w progu domu. Przyszedłeś, a potem uciekłeś odepchnąwszy mnie z obrzydzeniem.

Wydałem okrzyk oburzenia, a potem wyjaśniłem jej powody.

– Rozumiem, rozumiem. Nie wysilaj się na tłumaczenie... Czemuż jednak nie starałeś się tego naprawić?

– Poprawię się!

– Cymbał z ciebie! Otóż, za to pokochałam cię jeszcze mocniej i dlatego zaczęłam cię dręczyć. Nie mogłam tylko wiedzieć, że puścisz haczyk, zamiast go połknąć (o, jacyż wy, mężczyźni, jesteście podli!).

– Bardzo dziękuję. Smaczny jest haczyk, ale go trudno strawić, bo psuje kiszkę! Roześmiała się kątami ust i mówiła dalej:

– Gdym się dowiedziała o twej bójce z tamtym byczkiem, prałam właśnie bieliznę w rzece. Powiedziano mi, że cię dusi (zapomniałam już, jak się zwał), rzuciłam przeto kijankę, którą porwał prąd, i, depcąc bieliznę, przewracając kumoszki stojące mi w drodze, bosy, pogubiwszy saboty biegłam jak szalona. Chciałam krzyknąć: „Breugnon, durniu jakiś, co wyrabiasz, wiesz przecież, że cię kocham! Nie dajże sobie wyrwać kawałków ciała, bo chcę męża kompletnego, z wszystkimi członkami!” Tymczasem cóż się stało? Oto ty, mój ukochany, polazłeś z tym nosorożcem do szynku, zapomniałeś zaraz, o co się biłeś, a potem pod rękę z przyjacielem poszedłeś sobie precz! (Podły to wilk, który ucieka przed

owieczką!) Breugnon... w tej chwili znienawidziłam cię! Dzisiaj, oczywiście, wszystko wydaje mi się tylko śmieszne. Byłabym cię tego dnia odarła ze skóry, upiekła żywcem! Nie mogąc jednak ukarać ciebie ukarałam siebie samą. Właśnie nawinął się młynarz. Wściekła, bezprzytomna ze złości, oddałam mu się. Tej nocy byłabym przyjęła każdego, wszystko jedno kogo! Dla jednego klienta sklepiku nie zamknę. Zemściłam się! Myślałam tylko o tobie przez cały czas, gdy on...

– Mów dalej...

– Gdy on... mścił się na tobie za mnie. Myślałam sobie: „Niechże teraz przyjdzie i zobaczy! Dobrze ci tak, Breugnon...” I przyszedłeś prędzej nawet, niż chciałam. Wiesz, co się stało potem. Na całe życie zostałam złączona z tamtym osłem z młyna.

Zamilkła. Wówczas powiedziałem:

– Czy jesteś przynajmniej zadowolona?

– Ot, tak sobie! – odparła wzruszając ramionami.

– Do licha! Dom ten mógłby być rajem.

– Tak, tak! – odparła i roześmiała się.

Zaczęliśmy mówić o czym innym, o polu, o ludziach, zwierzętach, dzieciach, ale co chwila wracaliśmy do dawnych wspomnień. Chciałem ją wtajemniczyć w szczegóły mego domowego życia, ale spostrzegłem (straszna jest ciekawość samiczek), że wie wszystko najdokładniej. Oczywiście, kumoszki doniosły, jak zawsze. Zaczęliśmy rzucać przysłowia, kalambury, facecyjki, aż do zachłyśnięcia. Co które ciasteczko wyszło z pieca, zostawało natychmiast połknięte na gorąco. Śmiałem się do łez. Naraz, ocierając oczy, słyszę: bije szósta na pobliskim kościele.

– Ho, ho, muszę już iść! – powiedziałem.

– Jeszcze masz czas!

– Niedługo wróci twój mąż. Nie mam ochoty widzieć się z nim!

– Ani ja! – odparła szczerze.

Przez okno kuchni ujrzałem, że cienie zaczynają się już słać po łące.

Skośne promienie wyłociliły tysiące czubów traw, ziół i krzewów. Po wygładzonych kamykach toczył się strumień. Krowa lizała z zapalem korę wierzby, opodal stały dwa konie. Jeden kary z gwiazdką na czole, drugi szpak, pięknie znaczony w jabłka ciemne. Stały oparłszy na sobie głowy, zapadły w rozmarzenie wieczorne, syte i ciche. Zapach kwiatów szedł falą... Było tak słodko. Spojrzałem na talerzyk z przysmakiem burgundzkim, galaretką porzeczkową, i powiedziałem:

– Jakże tutaj dobrze!

Wzięła mnie za rękę i odparła:

– Mogło być tak przez całe życie...

Przyszło mi na myśl, że nie powinienem jej zostawić rozżalanej, przeto zacząłem:

– Ej, droga łasiczko, może to i lepsze, co się stało! Zważmy, że właściwie niewiele straciłaś. Dobrze by nam było ze sobą przez kilka pierwszych dni. Ale życie całe... cha, cha, cha! Znam ja siebie dobrze, oj znam i powiadam ci: miałabyś mnie dosyć! Jestem wartogłów, próżniak, pyszałek, pijaczyna, obzartuch, gaduła, uparciuch, złośliwiec, kłótnik, marzyciel, choleryk, lunatyk! Słowem, droga łasiczko, byłabyś wprost nieszczęśliwa i mściłabyś się na mnie za swe rozczarowanie. Gdy o tym pomyślę, włosy mi stają dęba na głowie. Bóg wie, co robi! Mówię ci, lepiej się stało!

Patrzyła na mnie poważnie i odrzekła po chwili, podnosząc głowę:

– To prawda. Wiem o tym, jesteś wielkim nicponiem! (Była zgoła innego zdania.) Założę się, że biłbyś mnie, a ja bym ci przyprawiała rogi. Ale to bicie i te rogi to rzecz ludzka; czyżby jednak nie lepiej było, gdyby się tak stało?

– Zapewne – odparłem – zapewne...

– Mówisz to z wahaniem?

– O nie, nie! No, ale trudno, musimy się obejść jakoś bez tych przyjemności. Wstałem i powiedziałem na zakończenie:

– A więc nie żałuj niczego, droga łasiczko! Pamiętaj, że czyśmy się

kochali, czy nie, to teraz rzecz bez znaczenia. Minęło, przeszło... a to, co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr!

– Kłamco szkaradny! – zawołała. (I miała rację!)

*

Pocałowałem ją i ruszyłem w drogę. Biegła za mną spojrzeniem, oparta o uszak drzwi. Przed nami słał się cień wielkiego kasztana. Nie oglądałem się, dopóki nie dotarłem do zakrętu drogi, by być pewnym, że odwróciwszy się nie dojrzę już niczego. Wówczas stanąłem i nabrałem tchu w piersi. W dali, na łące, ryczały białe woły.

Ruszyłem dalej i chcąc skrócić sobie drogę opuściłem gościniec, potem dostawszy się na wzgórze skierowałem się przez winnice i nareszcie zatonałem w lesie. Co prawda, droga tamtędy nie mogła mnie zawieść prędko do domu, gdyż oto w pół godziny później zauważyłem, że stoję ciągle na skraju lasu pod konarami dębu i przedrzeźniam sroki. Nie wiedziałem zgoła, co czynię. Myślałem i myślałem bez końca. Różowe dotąd niebo przygasało. Patrzyłem, jak nikły refleksy na drobnych, młodych listkach winorośli, połyskliwych, niby lakierowanych, soczystych i przysnutych złotem. Słowik zaczął śpiewać. Drugi słowik, skryty w mej pamięci, w głębi osmutniałego serca, odpowiadał mu. Wspomniałem wieczór podobny. Byłem razem z moją dziewczyną. Wstępowaliśmy na wzgórze pokryte winnicami. Byliśmy młodzi, weseli, rozgadani i rozchichotani. Nagle, nie wiem, co zaszło w powietrzu. Trudno powiedzieć, czy był to ton dzwonu wieczornego, tchnienie ziemi, co się przeciąga o wieczorze, wzdycha i szepce: „Chodź do mnie”, czy też upojna melancholia płynąca z księżyca... Zamilkliśmy oboje i nagle, tknięci tym samym uczuciem, ujęliśmy się za ręce i nie rzekłszy słowa, nie patrząc na siebie, zakrzepiliśmy w bezruchu. W momencie tym uniósł się spośród winnic, objętych mrokiem wiosennej nocy, śpiew słowiczy. Ukryty pośród gęstwy winogrodu – witki jego wydłużały się na wszystkie strony szukając czegoś, by się okręcić – słowik, który nie mógł zasnąć, nucił z pełnej piersi starą,

prastarą słowiczą kantylenę miłosną:

Winnica rośnie, rośnie, rośnie. Przedziwna moc!

Nie śpię ni w dzień, ni w noc – O wiosnie...

Uczułem drgnienie ręki mojej łasiczki i zrozumiałem, co znaczy: Biorę cię i wzięta jestem. Winnica rośnie i witki łączą nas!

Zeszliśmy ze wzgórza. Czując, że wracać trzeba, rozłączyliśmy się. I od tej pory byliśmy w rozłące. Ach, słowiku, ty śpiewasz ciągle dalej. I dla kogóż to, powiedz, winnico, rośniesz co wiosny? Komuż to sposobisz więzy miłosne?

Noc zeszła, ja stałem z zadartym w niebo nosem, wsparty pośladkiem na lasce, niby dzieckoł na ogonie, i gapiłem się na czub drzewa, na szczycie którego zakwitł księżyc. Starłem się otrząsnąć z czaru, co mną owładnął, i nie mogłem. Niezawodnie, drzewo spętało mnie kręgiem swego cienia, tak że zatraciłem drogę i ochotę odnalezienia tej drogi. Okrążyłem dąb raz, dwa razy, trzy razy, krążyłem ciągle wkoło i wreszcie znalazłem się, niby przykuty łańcuchem, na tym samym miejscu.

Wówczas powziąłem postanowienie i wyciągnąwszy się na trawie zająłem na noc komnatę w gospodzie „Pod Księżycem”. Ale niewiele spałem w onej oberży. Przeżywałem melancholijnie życie swoje. Myślałem nad tym, czym by mogło być, dumałem nad straconymi marzeniami młodości. Boże, ileż smutku znaleźć można na dnie przeszłości w nocnych godzinach, kiedy duszę niemoc owładnie! Człowiek czuje się biedny i nagi, kiedy przed starcem zgorzkniałym staje postać młodzieńca okryta dostatnią szatą nadziei!... Czyniłem przegląd mych rachunków i pomyłek oraz liczyłem marny dorobek zamknięty w szkatułce życia. Oto mam żonę, nieładną wcale i w tejże samej mierze dobrą. Synowie są daleko, mają zgoła inne myśli, a ze mnie posiadają tylko materiał cielesny. Dumałem nad zdradą przyjaciół, szaleństwami ludzkimi, krwawo znaczącymi się systemami religijnymi, domowymi wojnami. Ujrzałem Francję rozdartą na części, marzenia ducha mego, dzieła dłuta zrabowane i poniszczone; życie me zdało mi się zmienione w garść prochu, czułem nadpływający wiew śmierci... Płakałem

z cicha, oparłszy usta o pień drzewa, zwierzałem mu się z utrapień i wciskałem się pomiędzy jego korzenie, jakby pomiędzy ramiona ojca. Czułem, że mnie słucha. I niewątpliwie mówiło potem do mnie i pocieszało mnie, bo kiedy zbudziłem się w kilka godzin później, leżąc nosem w trawie i chrapiąc głośno, z melancholii mej nie zostało ni śladu. Czułem jeno jakiś ucisk w sercu i odrętwiałość w nogach.

Słońce wstało. Drzewo pełne ptaków śpiewało donośnie. Spływała zeń pieśń niby sok z grona ściskanego w rękach. Gaworzyły jak najęte wszystkie ptaki. Znalazła się tu zięba i gil, i dzięcioł, i szara piegża, co szczebioce, i kos, którego miłuję najbardziej, albowiem nic sobie nie robi z mrozu, wiatru ni deszczu, a ciągle się śmieje, zawsze zadowolony, pierwszy zaczyna śpiewać od świtu i drze się do nocy. Lubię go, gdyż jak ja, ma dziób zarumieniony trochę. Ach, jakże się rozkrzyczała ta hołotka kochana! Wyzbyła się strachów nocnych. Noc jest to wielka zdrajczyni zarzucająca co wieczora na ptactwo sieć ogromną. Dławiąc się ciemnością myślą: „Któż z nas zginie?” Ale skoro się jeno rozedrze zasłona nocy, wrzeszczą ucieszone: „Fari rarira”, a gdy blady uśmiech dalekiej zorzy zarumień! zlodowaciałą twarz i pobladłe wargi życia, drą się rozkosznie: „Oj ty, oj ty, la lai, la, la laderi, la rifla...” Jakimż wrzaskiem, jakim uniesieniem miłosnym święcą powrót dnia! Zapomniane wszystkie utrapienia, obawy, strachy, sen w chłodzie, cień nocy... oj ty... Wszystko poszło w niepamięć. O dniu, dniu nowy! Naucz mnie, kosie, twojej sztuki odradzania się o brzasku każdego dnia wciąż z jednaką wiarą.

Kos świstał i śpiewał ciągle, a jego pełna mocy ironia rozweseliła mnie. Przykucnąwszy na ziemi świstałem z nim w zawody.

Nagle ozwała się skryta, w głębi lasu kukułka.

– Kuku biała, kuku czarna, kuku szara, niwernejska kuku, a kuku na buku...

Wstając machnąłem koziółka, a zając, który właśnie nadbiegł, poszedł w me ślady. Roześmiał się, miał od ciągłego śmiechu rozszczepioną wargę.

Wstałem i ruszyłem w drogę śpiewając na całe gardło:

– Wszystko się wybornie ściele, przyjaciele, światów, jak nasz, niewiele. Kto pływać niezdolny, rzecz oczywista, tonie jak glista. Zmysłów pięć niby okna otwarte szeroko, świat płynie przez mą duszę, me serce i oko. Zaliż mam się na świat dąsać, że ze sobą nie da pląsać i że mi nie dał, co bym rad chciał? Gdy człek raz zacznie myśleć, co by chciał... ach, gdyby to... gdyby owo... do licha... nie ma temu końca. Wszystko się na wnętrzu kwasi i marzy się o wielu rzeczach niepodobnych do rzeczy. Weźmy bodaj pana de Nevers albo Króla Jegomości, albo Jegomości Boga Ojca... ha, i cóż... każdy ma granice swej mocy i każdy żyje w swojej kompanii. Czyż mam jęczeć, że nie mogę wyjść ze swojej sfery? Czyżby mi lepiej gdzie indziej było? Jestem na własnych śmieciach, zostanę tu, zostanę, do kroćset tysięcy, i tak długo nie pójdę stąd, jak tylko się da. Na cóż się użalam właściwie? Nikt mi ostatecznie nic nie winien. Mogłem przecież wcale nie przyjść na świat... Mocny Boże, gdy o tym pomyślę, ciarki mnie przechodzą! Czymże by bez Breugnona był ten piękny świat, to życie? Ach, smutno by tu, zaprawdę, było, przyjaciele drodzy. Wszystko jest dobre, co jest. Siano, czego mi nie dano! Ale to, co mam, mocno trzymam w łapie, i basta!...

*

Wróciłem do Clamecy, spóźniwszy się straszliwie. Jak zostałem powitany, o tym wolę nie wspominać. Udałem się do spichrza (gdzie mam spokój) i oto spisuję na papierze wszystko, co trzeba i co nie trzeba, a pisząc kręcę nosem, pogwizduję, wystawiam język i delektuję się przeżyciami swymi, zarówno radosnymi, jak i bolesnymi, bowiem:

Wszystko, co się przeżyło,

Opowiadać miło...

VI

PRZELOTNE PTAKI, CZYLI
SERENADA W ASNOIS

CZERWIEC

Wczoraj rano dowiedzieliśmy się, że przez Clamecy przejechało dwoje znakomitych podróżnych, mianowicie panna de Termes i hrabia de Maillebois. Nie zatrzymali się wcale i udali się wprost do zamku w Asnois, gdzie zamierzali spędzić kilka tygodni. Rada ławników miejskich uchwaliła, że jak nakazuje stary obyczaj, należy zaraz nazajutrz wysłać do parki rzadkich ptaszków specjalną delegację, która by imieniem miasta złożyła im gratulacje z powodu szczęśliwie odbytej podróży.

(Pomyśleć tylko, że ludzie za cud uważają, gdy takie zwierzaki z Paryża do Nevers przybędą w miękkiej i ciepło wygrzanej karecie nie połamawszy sobie kości po drodze.) Wedle zwyczaju rada uchwaliła, by delegacja doręczyła dostojnym nicponiom trochę miejscowych smakołyków: lukrowanych biszkoptów – specjalność miasta.

Mój zięć Florymond kazał przyrzadzić trzy tuziny. Wprawdzie panowie radni oznajmili, że wystarczą dwa, ale Florymond, będący również ławnikiem, wszystko czyni na wielką skalę. Sztuka kosztowała po szesnaście soldów, a cały rachunek miała płacić gmina.

Przypomniano sobie, że lepiej smakuje jedzenie przy muzyce (mnie to niepotrzebne całkiem), przeto wybrano czterech muzykusów, dwu skrzypków i dwu waltornistów, dodano im do boku tamburynistę i załadowano na furę razem z ciastkami. Mieli oni dygnitarzom zagrać serenadę w chwili wręczania podarku.

Wziąłem swój klarnet i nieproszony przyłączyłem się do bandy. Nie mogłem pominąć sposobności ujżenia nowych osób, zwłaszcza że szło o tak zwany drób dworski. Jest to drób innego typu niż nasz drób zwyczajny, chociaż zdarzyło mi się czynić nieraz zadziwiające zestawienia. Takież same miny, muskanie skrzydeł, kołysanie się wdzięczne, potrząsanie kuperkiem, zadzieranie nosa... Ale cicho, sza! Jestem, wiadomo, synem Pandory^[40] i muszę ciągle podnosić wieczka wszystkich pudełek, przyglądać się

najrozmaitszym duszyczkom: białym, brudnym, chudym, tłustym, szlachetnym lub podłym, grzebać w sercach, śledzić, co się w nich dzieje, wtykać nos w nie swoje sprawy, nasłuchiwać, wąchać, smakować. Poza tym, ale to już inna sprawa, miło jest łączyć pożyteczne z miłym. Przeto skorzystałem z fury mieszczącej muzykantów i ciastka i na tę bezpłatną podwodę wpakowałem dwa rzeźbione *panneaux*^[41] ściennie, które właśnie wykończyłem dla zamku w Asnois. By do reszty wykorzystać okazję, zabrałem ze sobą moją drogą Glodzie, córeczkę Florymonda. Jeden z ławników zabrał również swego synka.

[40] Pandora – w podaniach greckich pierwsza kobieta zesłana przez bogów na ziemię; wbrew zakazowi otworzyła naczynie, w którym były zamknięte wszystkie nieszczęścia.

[41] *Panneaux* (fr.) – malowidła lub płaskorzeźby na ścianach czy meblach.

Podobnie pomysłowy okazał się nasz aptekarz i wpakował na wóz swe wyroby, a więc soki, korzenne wina, miody i konfitury. Zamierzał je ofiarować przybyłym, oczywiście także na rachunek miasta Clamecy. Muszę zaznaczyć, że zięć mój uznał to za bardzo niewłaściwe i sprzeczne z tradycją. Gdyby każdy z rzemieślników, jak się wyraził, a więc: rzeźnik, piekarz, szewc, cyrulik itp., uczynił to samo, zrujnowano by miasto i wszystkich obywateli. Miał niewątpliwie rację, ale i nie miał racji, albowiem aptekarz był także ławnikiem. Ludzie mali podlegają prawom, ludzie wielcy tworzą prawa.

Okazało się, że trzeba dwu wozów. Zapakowano do nich mera, moje *panneaux*, prezenty, dzieci, czterech muzyków i czterech ławników, ja zaś poszedłem piechotą. Niech sobie tam paralitycy jeżdżą wozami, niby cielęta

do rzeźni. Co prawda, pogoda nie była piękna: po niebie sunęły ciężkie chmury, w powietrzu wisiała burza. Upał był straszny, a palące promienie słońca raziły głowy i karki. Nad gościńcem zawisła zamieć kurzu, muchy cięły po twarzy. Prócz Florymonda, który jak panienka dbał o swą cerę, wszyscy byli zadowoleni: lżejsze są wspólnie dzielone niedole.

Dopóki widziało się jeszcze wieżę Św. Marcina, wszyscy mieli miny pełne dostojeństwa, ale gdyśmy znaleźli się za miastem, wolni od ciekawych i krytycznych spojrzeń, wszystkie czoła rozchmurzyły się, a umysły rzuciły sztywne rynsztunki.

Opowiedziano naprzód kilka facecyjek tłustawych. (W ten sposób pobudzamy zazwyczaj apetyt.) Potem zaczęto śpiewać na przemiany, a potem... o dziwo, zdaje się, sam mer popisał się kupлетem, ja zaś przygrywałem na klarncie. Inni dostojnicy poszli w jego ślady.

Na to hasło muzykanci wzięli się do roboty. Wrzask się uczynił straszny, ale ponad wszystkie tony wybijał się zawsze radosny pisk małej Glodzi, która piała, miauczała, gwizdała jak kos i ćwierkała jak wróbel.

Nie bardzośmy się rażno posuwali naprzód. Szkapy zatrzymywały się same pod każdą górką, dyszały, kiwały łbami, prychały. Trzeba było czekać, aż ulżą sobie i ruszą w dalszą drogę. Pod miejscowością Boychault nasz notariusz Delavau zażądał, by trochę zboczyć z drogi. (Nie można było odmówić, jako że on jeden, chociaż ławnik, nie robił na całej wyprawie doraźnego interesu.) Notariusz chciał mianowicie wstąpić do jednego z klientów w celu sporządzenia testamentu.

Wszyscy zaaprobowali to, ale rzecz trwała jakoś za długo i Florymond wespół z aptekarzem uznali to za niezbyt właściwe. Mimo to notariusz Pierre Delavau bez pośpiechu załatwiał swoje sprawy; musiał się więc z tym pogodzić pan aptekarz.

Na koniec przybyliśmy na miejsce. Oczywiście, wszystko musi na koniec przybyć na miejsce, niby musztarda po obiedzie. Spóźnieni, przybyliśmy jednak w porę. Nasze dostojne ptaszki skończyły właśnie dziobać jadło, gdy

w sam czas zjawił się przywieziony deser. Zabrały się więc na powrót ochotnie do jadła: ptaszki przez cały dzień się żywią.

Panowie radni, zbliżywszy się do zamku, po raz ostatni zatrzymali się i przywdziali szaty pontyfikalne, dotychczas starannie poskładane w miejscu bezpiecznym od słońca i kurzu. Były rzeczywiście piękne, barwne, porywały oczy i radowały serce. Mer przywdział zielony jedwabny strój, czterej ławnicy wełniane żółte szaty. Wyglądali razem jak ogórek i cztery kawałki dyni na talerzyku. Weszliśmy przy dźwiękach orkiestry.

Na ten odgłos wychyliły się z okien ufryzowane głowy beczynnych lokai. Ogórek wraz z otoczeniem ruszył ku podjazdowi, a w tej chwili otwarto drzwi, w głębi których ukazały się dwie głowy ubrane we wstążki, podobne do owieczek na pasterskich obrazkach. My, to jest banda muzykantów, zatrzymaliśmy się pośrodku podwórza i dlatego nie mogłem usłyszeć prześlicznej mowy łacińskiej, którą wygłosił notariusz. Ale pocieszałem się myślą, że niewątpliwie sam tylko mówca ją rozumie. Natomiast nie straciłem ani na chwilę z oczu mojej Glodzi. Drobniutkimi kroczkami wspinała się po stopniach ku drzwiom portalu, przyciskając do brzuszka obu małuszkimi rączkami wielki koszyk, w którym piętrzyły się biszkopty tak wysoko, iż sięgały niemal nad jej główkę. Nie zgubiła ani jednego: pilnowała ich oczyma, ogarniała łapkami, ta mała szelma, łakomczucha... Była śliczna, chętnie bym ją schrupał!

Urok dziecięcy ma w sobie coś z muzyki, niewoli serce, przewycięża dumę, równa ludzi. Panna de Termes uśmiechnęła się do Glodzi, pocałowała ją, posadziła na kolanach, ujęła pod bródkę, potem złamawszy jeden biszkopt powiedziała:

– Otwórz dzióbek! Podzielimy się!

Włożyła do ust Glodzi kawał biszkopta, a ja uniesiony radością, zawołałem na całe gardło:

– Niech żyje dobry i piękny kwiatusek niwernejski!

A klarnet mój rzucił w powietrze wrzaskliwą fanfarę, która niby jaskółka

przeszyła horyzont.

Wszyscy roześmiali się chórem, zwracając się ku mnie, a Glodzia klasnęła w rączki i zawołała:

– To dziadek!

Pan d’Asnois przywołał mnie.

– To ten postrzelony Breugnon! – objaśnił. (On się na tym zna, albowiem jest równie postrzelony.)

Zbliżyłem się trzymając klarnet pod pachą, wszedłem na stopnie i ukloniłem się.

Papką, czapką, chlebem, solą

Ludzie ludzi niewolą...

Pamiętny tego przysłowia, oddawałem czapką i całym sobą ukłony na prawo, na lewo, w tył, naprzód, pozdrawiając wszystko, co żyło wokoło. A jednocześnie dyskretnie obserwowałem ową panienkę, wypchaną modnie, zatopioną wprost w ogromnej toalecie. Rozebrałem ją (oczywiście w myśli jeno) i spostrzegłem, że jest chudziutka, szczuplutka, i roześmiałem się z tego sucharka. Była wysoka, wiotka, cerę miała nieco ciemną, ubieloną forsownie pudrem, piękne, połyskliwe oczęta, niby węgielki, nosek wścibski, łakome usteczka, że tylko całować, wydatne i okrągłe policzki, na których wiły się pierścioneczki loczków.

Ujrzawszy mnie, spytała łaskawie:

– Czy to pańska córeczka, to śliczne bobo? Odparłem dumnie:

– Łaskawa pani, nie! Oto mój zięć, niechże sam odpowie, nie chcę mu wchodzić w drogę. W każdym razie oboje zaliczam do swojego inwentarza domowego. Dzieci to bogactwo biedaków!

Pan d’Asnois roześmiał się głośno, panienka uśmiechnęła się także, Florymond uczynił to samo we właściwy sobie, kwaskowaty sposób, ja tylko pozostałem poważny. Wówczas pan ze wstążkami i wypchana panienka raczyli zapytać, co mi przynosi mój zawód (sędzili zapewne, że jestem muzykusem). Odparłem zgodnie z prawdą:

– Prawie nic!

Nie powiedziałem, czym się zajmuję poza klarnetem, nikt mnie bowiem o to nie pytał. Czekalem i bawilem się doskonale. Niesłychanie śmieszna jest owa pogardliwa łaskawość, z jaką wielcy tego świata, pięknie i bogacze traktują ludzi nie posiadających nic. Zupełnie jakby im ciągle dawali nauki. Biedak to coś niby dziecko, a poza tym (nie mówią tego, ale myślą) to jego własna wina! Bóg go ukarał, i dobrze uczynił. Słuszne są boskie wyroki!

Jakby mnie całkiem nie było, pan Maillebois odezwał się głośno do swej towarzyszki:

– Ponieważ i tak nie mamy nic innego do roboty, skorzystajmy z obecności tego biedaka. Ma on, co prawda, minę człowieka dosyć ograniczonego, ale włączając się z klarnetem po wszystkich szynkach i gospodach, musi wiedzieć, co myśli ludność prowincji, o ile w ogóle...

– Cicho!

– ...o ile myśli w ogóle o czymkolwiek. Spytano mnie tedy:

– A więc, przyjacielu, zechciej nam powiedzieć, jaki jest nastrój umysłów w kraju? Przybieram minę idiotyczną i powtarzam:

– Nastrój umysłów...

Jednocześnie mrugam oczyma porozumiewając się z mym panem d'Asnois, który targa swą brodę i przykrywa usta dłonią, by ukryć wesoły uśmiech.

– Widocznie umysły nie funkcjonują na prowincji! – powiada dostojnik z ironią. – Powiedz nam, drogi człowieku, co sobie tu ludziska opowiadają? Czy trzymają się wiary katolickiej, czy trwają wiernie po stronie króla?

Odpowiadam:

– Bóg jest wielki, a król bardzo wielki! Kochamy obu jednak!

– A co sądzisz o książętach?

– O, to bardzo, bardzo wielcy panowie!

– Więc trzymacie ich stronę?

– Tak, tak, Jaśnie Wielmożny Panie!

- Jesteście więc przeciwnikami Conciniego?
- O nie, trzymamy i z nim także!
- Jak to? Niepodobna! Przecie to są wrogowie...
- Możliwe, że się nie bardzo lubią... ale my trzymamy z jednymi i z drugimi!
- Na Boga, musicie przecież wybierać!
- Czyż trzeba koniecznie wybierać? Czyż nie można się od tego powstrzymać, Wasza Wielmożność? Ha, jeśli tak być musi, tedy zastanowię się. Przyjdę i powiem, ale muszę mieć czas do namysłu. Zdecyduję się w przyszłym tygodniu: tak koło czwartku!
- Na cóż się namyslać tak długo?
- Jak to? Muszę, Jaśnie Panie, rozważyć, która strona jest mocniejsza!
- Nie wstyd ci? Nie jesteście w stanie odróżnić dnia od nocy, króla od jego nieprzyjaciół?
- Słowo daję, Jaśnie Panie, nie mogę. To nad moje siły. Widzę, że dzień jasny, nie jestem ślepy, ale jeśli idzie o stronników króla i stronników książąt, doprawdy, wybór trudny, gdyż nie wiem, którzy z nich więcej piją i więcej niszczą kraj. Nie chcę ubliżyć żadnej partii, niechże im służy apetyt i zdrowie. Jaśnie Panu życzę również apetytu i zdrowia oraz długiego życia. Lubię tych, którzy umieją jeść, albowiem sam przepadam za tym. Ale mówiąc otwarcie, wolę przyjaciół mych wiktujących się u stołu innych.
- Więc niezdolny jesteś kochać kogokolwiek?
- Panie! Kocham to, co posiadam!
- Nie byłżebyś w stanie poświęcić mienia za króla swego i pana?
- I owszem, uczynię to chętnie, jeśli nie da się uniknąć ofiary. Ale rad bym wiedzieć, czy konieczne jest rezygnować ze swych ukochanych pól i winnic po to, by Król Jegomość miał pełny stół? Każdy czyni swoje. Jedni siedzą przy stole, drudzy wjeżdżają na stół jako danie. Na tym polega polityka. Co my, biedni ludzie, mamy w niej do gadania? Zostawcie nam ziemię, a my wam zostawimy politykę. Nie nasza rzecz tak zwane przekonania. Jesteśmy

głuptasy, i basta. My umiemy tylko wzorem naszego ojca Adama (mówią, że był on również ojcem Waszych Wielmożności, ale nie wierzę, prędzej był chyba tylko kuzynem waszym...), tedy od Adama uprawiamy ziemię, użyźniamy ją, kopujemy, siejemy, uprawiamy owies, pszenicę, żyto, sadzimy winorośl, kosimy łąki, młócimy ziarno, ścinamy drzewa, kujemy kamień, strzyżemy wełnę, robimy sukno, garbujemy skórę, topimy żelazo, robimy meble i stawiamy domy, budujemy gościńce, kanały i stawiamy mosty, budujemy miasta i kościoły, zakładamy ozdobne ogrody, przystrajamy ściany domów rzeźbami, na których igra słońce, wydobywamy z kamienia białe i nagie kształty posągów, chwytamy z nienacka tony płynące powietrzem, zaklinamy je w połyskliwą obłość skrzypiec lub wydrążenie fujarki, słowem, posługujemy się ogniem, wodą, powietrzem, czterema żywiołami, by życie wasze uczynić przyjemnym. I nie umiemy nic więcej! Nie mamy wyobrażenia o tak zwanych sprawach publicznych, kłótniach książąt, świętym posłannictwie królów, grze politycznej i innej metafizyce. Jaśnie Panie! Nie powinno się zapominać o smutnym losie owego pyszałka, co to, za przeproszeniem, wyżej... niż kuper miał... Jesteśmy w gruncie rzeczy woły robocze i grzbiet nasz nawykł do bata. Zgoda! Ale nagle Wasza Wielmożność pyta: powiedz, mi, którą pięść wolisz, który bat klaszcze lepiej po twych żebrach... Hola, hola... to kwestia poważna! To rzecz godna zastanowienia, tedy powiedziałem: muszę rozważyć... Bo na przykład dzisiaj... dzisiaj mógłbym wydać sąd nierozważny. Dzisiaj jakoś nie gustuję w żadnym bacie. Należałoby przed udzieleniem odpowiedzi ująć ten bat we własne ręce i aprobować: raz, drugi, ot tak! Że to jednak nie wypada, przeto cierpliwości, cierpliwości! Cierpmy, cierpmy, boże wołki, ciągnijmy wóz, póki starczy sił i siana... Może kiedyś zmienią się role!

Dostojnik słuchał nie wiedząc, co sądzić o mych słowach. Skrzywił się, niepewny, czy śmiać się, czy gniewać. Naraz zbliżył się jakiś jegomość ze świty, który mnie widywał na dworze nieboszczyka księcia de Nevers, i powiedział:

– Jaśnie Panie! Znam go, to wielki oryginał, doskonały rzemieślnik i zdolny rzeźbiarz, a przy tym wygadany strasznie. Rzeźby jego znajdują się w wielu pałacach i zamkach.

Dostojnik ani drgnął. Otrzymana informacja, jak się wydało, nie była w stanie zmienić jego zdania o mizernym (mówię to jeno symbolicznie, gdyż waży swoje 150 funtów) człowieczku stojącym przed jego oblicznością i zainteresował się mną dopiero wówczas, gdy gospodarz pokazał mu moje prace w zamku Asnois, które zwróciły na siebie uwagę takiego to a takiego księcia, hrabiego czy innego wielmoży.

Wówczas z wielkim uznaniem wyraził się o cokole studni w podwórzu. Wyrzeźbiłem na nim fryz przedstawiający młodą podkasaną dziewczynę niosącą w podołku dwie kaczki z rozwartymi dziobami i rozpostartymi skrzydłami. Potem oglądał w pałacu moje meble i panneaux dekorujące ściany. Pan d'Asnois pysznił się jak paw!

Co za cymbały z tych bogaczy! Wydaje im się, że zapłaciwszy za dzieło sztuki stworzyli je sami! Maillebois chcąc mnie uhonorować zaczął się dziwić, że artysta tej miary siedzi w zakątku odcięty od świata, z dala od wielkiego życia stolicy, pochłonięty swą iście benedyktyńską pracą, pozbawiony z konieczności wszelkiej inwencji, wzlotu, że ograniczony jest tylko do obserwacji, a nie może powziąć wielkiej idei, stworzyć symbolu alegorii, dzieła filozoficznego, mitologicznego, słowem, nie może dać żadnej wielkiej, monumentalnej rzeźby (wielki pan chce mieć wszystko wielkie).

Odparłem skromnie, że znam swą niewielką wartość i wiem dobrze, w jakich mi przystoi obracać się granicach. Biedny człeczyna, który niczego nie widział, nie słyszał o niczym, nie przeżywał wzniosłych wrażeń, winien pozostać na niższym stopniu Parnasu i nie kusić się o rzeczy wielkie i wykwintne. Umysł jego, ograniczony warunkami życia, zwraca się ku rzeczom codziennym i użytecznym. Sztuka życia potocznego oto jego przeznaczenie.

– Sztuka życia potocznego? – zdziwił się jaśnie wielmożny błazen. – Ależ to kontradycja! Sztuką może być tylko to, co nie jest potoczne, codzienne i użyteczne!

– Święte słowa! – zawołałem z zachwytem. – Święte i prawdziwe! Wszędzie, w życiu i sztuce, piękny jest tylko brylant, książę, król i kwiat!

Oddalił się, bardzo ze mnie zadowolony, a pan d’Asnois ujął mnie pod ramię i szepnął:

– Przeklęty gaduło! Mało mnie diabli nie wzięli ze śmiechu. Zakpiłeś sobie z tego paryskiego pudła. Ale mówię ci, mnie nie tykaj! Gdybyś się poważzył wziąć mnie na język, biada ci!

Zaprotestowałem żywo:

– Wasza Miłość! Gdzieżbym śmiał gryźć swego dobroczyńcę, swego protektora? Czyż Breugnon zdolny jest do takiego świństwa? Ale mniejsza o świństwo, to się może przytrafić, idzie o co inszego: byłbym po prostu osłem. Jesteś pan bowiem nie tylko możniejszy ode mnie (co się samo rozumie), ale i bardziej chytry. Możesz się pochwalić niejednym dowcipem, którym zwiodłeś młodzika i starca, postrzeleńca i ostrożnickiego. Przy panu ja jestem jeno drobnym liskiem wobec wilka w własnej jamie...

Promieniał! Nic bardziej nie cieszy, niż kiedy człowiek usłyszy, że ktoś wynosi pod niebo jego zalety, których wcale nie posiada.

– Dobrze, dobrze, kochany Breugnon... Dajmy pokój mojemu workowi, pokaż natomiast, co masz w swoim? Wiem z góry, że nigdy nie przybywasz bez celu i z pustymi rękami.

– Cha, cha... Zawsze domyślny... Wasza Wielmożność ma spojrzenie jasnowidza! Człowiek jest dla was jakby szklany, czytasz w sercach jak Bóg Ojciec.

Rozpakowałem moje dwa panneaux dekoracyjne, a także jedną rzeźbę włoską (Fortunę na kole), kupioną ongiś w Mantui. Tę właśnie rzeźbę – nie wiem sam czemu, ot tak, z wrodzonej przekory – przedstawiłem jako swoją. Uzyskała ona umiarkowany sukces. Potem (widocznie przez omyłkę)

pokazałem dwie prace własne oświadczając, że udało mi się nabyć je we Włoszech.

Rozległy się okrzyki, pochwały, zachwyty, ho, ho i cha, cha! Wszyscy pokładali się z uciechy. Maillebois, otworzywszy gębę jak wrota, oświadczył, że widzi tam odbłysek włoskiego nieba, czuje zapach po trzykroć błogosławionej, świętej ziemi opromienionej dotknięciem stóp bogów Olimpu.

Pan d'Asnois, rycząc z uniesienia i całując mnie, wyliczył mi na stół za pierwszą rzecz trzy dukaty, za dwie ostatnie... trzydzieści sześć!

*

Wieczorem udaliśmy się do domu. Dla zabawienia towarzystwa opowiedziałem, jak to pewnego razu księżę de Bellegarde przybył do Clamecy polować na ptactwo. Poczciwy księżę był niemal zupełnie ślepy. Polecono mi strzelać jednocześnie i zręcznie podsuwać na miejsce chybionej sztuki inną, ugodzoną w samo serce. Śmiano się ochoczo i każdy wyciągał z zanadru jakąś facecyjkę o księżętach i wielmożach tego świata. Poczciwi ci księżęta. Nudzą się wprawdzie w monotonnym życiu codziennej wspaniałości, ale dla nas, biedaków, stanowią niewyczerpane źródło uciechy i żarcików.

Gdy znaleźliśmy się w domu, opowiedziałem historię owych rzeźb. Florymond zaczął mi czynić gorzkie wyrzuty. Nie mógł pojąć, czemu oddałem tak tanio rzeźbę włoską, podając ją za swoją. Wszakże pan d'Asnois lubując się w tych dziełach byłby niewątpliwie zapłacił trzy razy tyle. Odparłem, że mogę sobie kpić z wielkich panów, ale nie chcę ich skubać.

Nie mógł tego pojąć i pytał, jak mogą mi robić przyjemność kpiny nie przynoszące dochodu.

Wówczas Martynka zabrała głos i powiedziała te mądre słowa:

– Właśnie te kpinki i żarciki, przy których nie myśli się o niczym, tylko o wesołości, to rzecz najlepsza. Niedobrze być zawsze przemyślnym i

praktycznym. Daj spokój, mój drogi, i zapamiętaj sobie, że sam dobrze wychodzisz na tej wrodzonej nam ochocie do niewinnych żartów. Temu zawdzięczasz nawet, że nie masz na głowie rogów, ale same włosy. Myśl, że mogłabym cię oszukać trzy razy na dzień, tak mnie bawi, iż poprzestaję na tej uciezce. Nie chmurz czoła, nie rób sobie nic z tego i weź dobre chęci za uczynek. Schowaj rogi, ślimaku, schowaj.

VII
ZARAZA

W PIERWSZYCH DNIACH LIPCA

Słusznie mówią: nieszczęście pędzi na koniu! Niby sztafeta na rozstawnych koniach przybyło nam złożyć wizytę. W zeszły poniedziałek zawleczono skądś zarazę i zdarzył się jeden przypadek w Saint-Fargeau. Złe ziarno szybko wschodzi. Przy końcu tygodnia mieliśmy w okolicy już dziesięć pogrzebów. Zbliżając się ku nam coraz bardziej, zaraza wybuchła wczoraj w Coulanges-la-Vineuse.

Zakołowało się. Ludzie wzięli nogi za pas. Wsadziliśmy na wozy kobiety, dzieci, gęsi i wysłaliśmy daleko, w okolice Montenoison. I okazało się, że nieszczęście ma także swoją dobrą stronę. Cicho w moim domu, nikt nie gdać, nikt nie wrzeszczy. Florymond, ten kapłan paskudny, pojechał z kobietami, nie chcąc, jak mówił, opuszczać Martynki bliskiej rozwiązania. Bogatsi, grubszy mieszczenie przyszli do przekonania, że pogoda jest śliczna, przeto najlepsza teraz sposobność przejechać się po rozległych polach i zobaczyć, jak idą żniwa. Pojechali.

My, którzyśmy pozostali, kpiliśmy sobie na potęgę z zarazy i z tych, którzy się przeciw niej ubezpieczali. Panowie ławnicy postawili strażę u bram miasta oraz na gościńcu wiodącym do Auxerre i przykazali im surowo odpędzać żebraków, włóczęgów i w ogóle każdego, kto by się chciał wcisnąć. Co do innych przejezdnych, zwłaszcza jeśli sakiewki ich były pełne, istniało rozporządzenie łagodniejsze. Musieli się oni poddać oględzinom lekarskim trzech naszych medyków, mianowicie mistrza Stefana Loyseau, mistrza Marcina Frotier oraz mistrza: Filberta de Veaux. Wszyscy trzej uzbrojeni byli przeciw zarazie w odpowiednie środki. Każdy miał sztuczny nos napełniony materiałem dezynfekcyjnym, maskę, i wielkie okulary. Śmialiśmy się z nich strasznie.

Marcin Frotier, nasz człowiek, nie mógł dochować powagi. Zerwał z twarzy sztuczny nos, cisnął go o ziemię i oświadczył, że mu wystarczy własny, zwłaszcza że nie ma kobiet. Przyklasnęliśmy mu. Ale on, niestety,

zmarł bardzo prędko. Co prawda, mistrz Stefan Loyseau, który fanatycznie wierzył w swój dezynfekcyjny nos, umarł także. Nie umarł tylko mistrz Filbert de Veaux, który, nauczony doświadczeniem swych kolegów, porzucił nos i stanowisko.

Ba, ale nagle znalazłem się na samym końcu opowieści, a wszakże zaledwie zaznaczyłem jej początek. Musisz przeto, bratku, zawrócić i złapać kozę za brodę... tak...

Jak powiedziałem, każdy z nas udawał Ryszarda Lwie Serce^[42]. Byliśmy pewni, że zaraza nas nie dosięże, że nie zaszczyci nas swymi odwiedzinami. Ma ona, jak wiadomo, dobry węch, a zapachu naszych dębowych lasów znieść nie może. (Nie ma nic zdrowszego nad dębinę, rzecz wiadoma). Gdy po raz ostatni, w r. 1580 (stary był wówczas ze mnie byk, miałem lat czternaście), zawitała do kraju, nie przekroczyła naszych wrót, poniuchała, powąchała i poszła sobie precz!

[42] Ryszard Lwie Serce (1157-1199) – król angielski, wódz trzeciej wyprawy krzyżowej, słynął z męstwa i rycerskości.

Właśnie w tym czasie zdarzyła się rzecz, z której śmiano się długo. Oto mieszkańcy Châtel-Censoir, niezadowoleni ze swego patrona, który ich źle bronił, wielkiego świętego Potencjana, wyrzucili go po prostu za drzwi. Potem wzięli na próbę innego, a gdy ten zawiódł, trzeciego, i tak dalej, wreszcie wyczerpawszy pół kopy świętych, powrócili do pierwszego, ale chcąc mu zrobić na złość, zamianowali go patronką, pod imieniem św. Potencjanny.

Takeśmy sobie pokpiwali z zarazy i siebie wzajem, nadrabiając miną i zadufani w sobie, a co dnia wzrastała nasza odwaga. Chcąc dać dowód, iż sobie z niczego nic nie robimy, że gwizdżemy na przesady, medyków, ławników itd., zbliżaliśmy się do murów i rozmawialiśmy poprzez rów forteczny z tymi, których los pozostawił na drugim brzegu. Znaleźli się

śmiałkowie, którzy zdołali wyśliznąć się z miasta do pobliskiej gospody. Zapijali oni sprawę z wygnańcami z rajy oraz rozpytywali o nowiny strażników strzegących gościńca, którzy zresztą nie brali zbyt poważnie swych obowiązków.

Oczywiście wymykałem się i ja. Czyż mogłem ich puszczać samopas? Czyż podobna wytrzymać, by inni bawili się, weselili, omawiali nowinki i spijali winko? Byłbym się wściekł z zazdrości. Ujrzawszy raz po tamtej stronie znajomego fermera z Mailly-le-Château, niejakiego Grattepain, wyszedłem z miasta i popiliśmy razem. Był to wysoki, barczysty, wesoły chłop o czerwonej gębie, pełen sił i zdrowia. Bufonował i szydził z zarazy jeszcze bardziej ode mnie, oświadczając, że jest ona wynalazkiem lekarzy. Wierzy w nią jeno głupi, a umiera się nie z zarazy, ale ze strachu.

Powiedział do mnie:

– Dam ci za darmo znakomitą receptę:

Głowę miej chłodną, a zaś ciepłe nogi,
Nie żryj jak paciuk, nie chlap dużo wina,
Nie włącz do łóżka, gdzie leży dziewczyna,
A śmierć omijać będzie twoje progi...

Popijaliśmy ostro, całowali się raz po raz, pochylali ku sobie, mówiąc uciężne świństewka, on zaś swoim obyczajem klepał mnie po ramieniu i szczypał w udo. Nie wadziło mi to. Niestety, inaczej rzecz się przedstawiła nazajutrz.

Pierwsze słowa, jakie usłyszałem rano w warsztacie, nie były zgoła przyjemne.

– Panie majstrze – powiedział mi na dzień dobry uczeń – czy pan wie już, że ojciec Grattepain zmarł tej nocy?

Uuf! Jakże mi się zrobiło nieswojo! Uczułem zimny dreszcz i kroplisty pot na czole. Powiedziałem do siebie:

– Przyjacielu, wyczyść trzewiki na drogę w zaświaty; zaraza zgłosi się jeszcze dzisiaj! Pomajstrowałem trochę w pracowni, by się rozerwać, ale

możecie sobie państwo wyobrazić, o czym myślałam.

– Krasy byku, będziesz miał nauczki na całe życie! – powiedziałem sobie.

Ale my, Burgundowie, nie zastanawiamy się długo nad tym, co należy uczynić, i w każdej okoliczności decydujemy się szybko. Na świętego Marcina, zawsze u nas dobra mina! Brońmyż się tedy! Wróg siedzi na karku, ale jeszcze za murami miasta. Na moment wpadło mi do głowy udać się do sklepiku św. Kosmy (do lekarza, rozumie się). Ale rychło się opamiętałem. Najgorzej zacząć z tą hołotą. Mimo strachu zmysły mnie jeszcze nie opuściły, przeto powiedziałem sobie:

– Szanowny nieboszczyku! Lekarze są cymbały.

Wezmą twe grosze, a ciebie samego zawiozą do szpitala zakaźnego, gdzie zostaniesz na dobre zakażony. Przeto gęba na kołek! Rozumiesz? Nie bądźże wariatem. Jeśli idzie o śmierć, to damy sobie radę i bez lekarzy! A może się też zdarzyć, że Pan Jezus powie: „Będziesz sobie żył, Colas, na złość medykowi.”

Swoją drogą mimo tych przepowiaderek, mimo tych facecyjek czułem coraz bardziej, że z moim brzuchem dzieje się coś niedobrego. Macałem się to tu, to tam... Uuu! Złe... szelma zaraza wlaża już w mury miasta.

Najgorsze zaś, że właśnie nadeszła pora obiadu. Siedziałem przed wielkim garnkiem doskonale omaszczonej czerwonej fasoli z soloną wieprzowiną gotowaną na winie (do dziś dnia myśląc o tym płaczę z żalości), siedziałem, dumałem i nie miałem odwagi otworzyć ust. Myślałem ze ściśniętym sercem:

„Już po mnie! Apetyt zginął nagłą śmiercią. Oto początek końca...”

Należy tedy przynajmniej uporządkować interesy. Jeśli pozwolę sobie na śmierć w domu, to te łajdaki ławnicy każą spalić moją chałupę pod pozorem niszczenia zarazy. Szkoda domu, wszakże dopiero wystawiony. Jakież to świat zły i głupi! Nie można nawet umierać na własnych śmieciach. Ale poradzę ja sobie! Tylko muszę się śpieszyć.

Wstaję, ubieram się w najgorsze suknie, zabieram kilka dobrych książek,

sentencje wielkich ludzi, tłuste facecyjki galickie, jedną rzecz o Rzymie starożytnym, Złote słowa Katona, Serées^[43] Boucheta, Nowego Plutarcha Gilles'a Corrozeta i pakuję to do worka, wraz ze świecą, lichtarzem i bochenkiem chleba. Potem żegnam się z uczniami, zamykam mieszkanie i udaję się mężnie do mojej koleby w winnicy położonej daleko za miastem, przy gościńcu wiodącym do Beaumont. Szałas to niewielki, sklecony z bierwion obitych deskami. Służy on za skład narzędzi. Mam tu wypchany słomą siennik i dziurawe krzesło. Jeśli go spalą, nie będzie wielkiej szkody.

[43] Serées (starofr.) = *soirées* – wieczory.

Zaledwie przyszedłem, zacząłem kłapać zębami, niby kruk dziobem. Porwały mnie dreszcze, uczułem klucie w żołądku, w gardle zaś ścisnęło mnie straszliwie. Cóż było robić? Trudno zaprawdę spisać wszystkie akty bohaterstwa i wielkoduszności, na jakie się zdobyłem. Podobnie jak wielcy mężowie Sparty i Rzymu, walczyłem zrazu ma śmierć i życie z wrogiem wewnętrznym, z bólem brzucha. Byłem sam, nikt mnie nie widział. Czyż sądzicie, że długo mogłem udawać Regulusa^[44] pod murami Romy? Rzuciłem się na siennik i zacząłem ryczeć. Czyście nie słyszeli? Ryczałem straszliwie.

[44] Regulus– wybitny wódz rzymski z III wieku p.n.e. Wzięty do niewoli przez Kartagińczyków i wysłany do Rzymu, by nakłonić senat do zawarcia pokoju, wystąpił przeciw pokojowi i wierny danemu słowu wrócił do Kartaginy, gdzie – według podań rzymskich – poddano go torturom i stracono.

– Panie Boże! – wołałem. – I czemuż zawzięłaś się na biednego człowieka, który nie uczynił ci nic złego? Och, moja głowa! Och, mój brzuch! Jakże przykro porzucać tę ziemię w kwiecie lat swoich! Czyż zależy ci, Panie, na

tym, bym się zjawił u ciebie tak wcześniej? O... mój grzbiet! Oczywiście, wezwanie twoje jest dla mnie wielkim zaszczytem, wizytę tę zapiszę na honorowym miejscu w moim pa... ojej! Ale zważ, przecież się i tak zobaczymy, przeto po cóż ten pośpiech? Ho, ho, moja śledziona! Mnie się nie śpieszy... Panie Boże, nie nalegaj... cóż ci ze mnie? Wszakże jestem robak marny. Czyż nie lepiej pogadać z jakimś księciem?...

Ale jeśli inaczej być w żaden sposób nie może, tedy dziej się wola Twoja! Sam widzisz. Panie Boże, jak jestem zrezygnowany, potulny, cichy... Psiakrew! Znowu mnie kole w boku! Niech to szlag trafi!

Wykrzyczałem się, a chociaż ból przez to nie ustał, wyładowałem znaczny zapas energii i to mnie uspokoiło.

– Tracisz tylko czas! – powiedziałem sobie. – Albo On nie słyszy wcale, albo nic Go to nie obchodzi. Przeto szkoda płuc. Nie starczy ci i tak życia i zdrowia dłużej niż na godzinę lub dwie, po cóż je marnować? Skorzystaj z tych resztek rozsądku, jaki siedzi w twej czaszce, bo musisz się z nim rozstać niebawem. Zresztą umiera się raz tylko! Zaspokój, póki czas, swą ciekawość i żądzę wiedzy. Siedź pilnie, w jaki sposób wyłazi się z własnej skóry... uważaj dobrze, bo nie powtórzy się to już po raz drugi!

Dzieckiem będąc robiłem fujarki z wierzbiny i nikt mi nie mógł dorównać w nacinaniu gałęzi, zdejmowaniu kory i wycinaniu dziurek. Teraz wydało mi się, że to, co robiłem z korą, Stwórca czyni z moją własną skórą. Ou! niezłe cięcie! Ale czyż przystoi osobie w tym wieku zabawiać się w sposób tak dziecinny? Nie czyń porównań, mój Breugnon, ale zważaj pilnie, jak się robi z ciebie fujara. Siedź, póki kora trzyma się jeszcze drzewa, i notuj spostrzeżenia. Badajże swą powłokę, śledź każdą myśl, przyglądaj się, przeżuwaj, wsłuchuj w drgnienia trzustki, licz każdą kolkę, obmacuj się po brzuchu i nerkach. [45]

[45] Tu pozwalamy sobie opuścić kilka linii tekstu. Narrator nie pomija bowiem żadnego szczegółu dotyczącego stanu swego organizmu, a ciekawość, z jaką dokonuje tych badań, skłania go do wynurzeń nie zawsze poetycznych. Wypada dorzucić, że znajomość fizjologii, która napełnia go taką dumą, pozostawia wiele do życzenia. (Przyp. aut.)

Przyglądałem się więc sobie uważnie. Od czasu do czasu wydawałem nieludzki ryk, w którym usiłowałem zamknąć rezultat obserwacji. Noc mi się strasznie dłużyła, zapaliłem tedy świecę wsadziwszy ją w szyjkę flaszki. Pachniała sokiem porzeczkowym, ale nie było go już wcale. „I mnie już jutro nie będzie – pomyślałem – lecz jakież pozostawię zapach?”

Wijąc się po sienniku, usiłowałem czytać. Sentencje bohaterów rzymskich nie wywarły na mnie żadnego wrażenia. – Pal diabli tych trutniów! – zawołałem. – Wszakże wszystkie drogi prowadzą do rzeźni... powiedział pewien sędziwy wół. Nienawidzę głupiej pychy. Mam prawo uzalić się z głębi serca, gdy trapi mnie kolka. Tak, ale w chwilach przerwy chcę się pośmiać!

I zacząłem się śmiać! Nie uwierzycie, jednak to prawda. Obolały jak przytłuczony orzech, otwarłem, szczękając jeszcze zębami, facecje naszego kochanego Boucheta i oczy moje padły na historyjkę tak niesłychaną, tak pulchną, tłustą, pieprzną, szelmowską, że ryknąłem szczerym śmiechem.

– Nie śmieje się, bałwanie! – mówiłem do siebie. – Zaszkodzisz sobie jeszcze!

Ale nie mogłem przestać. Śmiałem się i śmiałem porykując tylko od czasu do czasu. Potem śmiałem się znowu... Ach, ileż się naśmiałem, ile naryczałem w ciągu tej nocy!

Gdy nastał świt, znajdowałem się w, takim stanie, że tylko kłaść się do grobu. Nie mogłem się utrzymać na nogach. Zawlokłem się na kolanach do jedyne okienka wychodzącego na gościniec. Zawołałem pierwszego przechodnia głosem wprost zaziemskim. Nie potrzebował słuchać mych słów, spojrzał na mnie, skoczył w tył, przeżegnał się i uciekł jak szalony.

Nie minął kwadrans, a miałem pod domem honorową straż, która mnie zawiadomiła, że nie wolno mi przekraczać progu szałas. Ani myślałem o

tym. Poprosiłem tylko, by zawezwano starego przyjaciela mego, notariusza Paillarda, ponieważ chcę podyktować testament. Ale strażnicy widocznie bali się nawet słów moich, gdyż zatykali sobie uszy i usta.

Na szczęście zjawił się pewien malec, pastuch gęsi. Kochany chłopczyzna lubił mnie, gdyż zapamiętał sobie, jakem go raz przydybał na wiśni i zamiast ściągnąć zeń skórę poprosiłem, by i dla mnie także... skoro już siedzi na gałęzi... rzucił parę garstek.

– Panie Breugnon! Lecę po notariusza! – wrzasnął i pobiegł przez pola do Dornecy.

Nie pamiętam dobrze, co się potem działo. Wiłem się pewnie po sienniku, ryczałem, wystawiałem język niby ciele, kłapałem zębami... Nagle posłyszałem trzaskanie z bata, odgłos dzwonek i znany, gruby głos. „Aha!” – myślałem sobie i chcę wstać. O Boże! Zdawało mi się, że dźwigam na karku katedrę Św. Marcina razem z wieżą, a całe Sembert na kuprze. Powiedziałem sobie: „Żebyś jeszcze niósł na domiar skały Basseville, powinieś swego dokazać.”

Chodziło o takie klauzule testamentu (zdążyłem w ciągu nocy przemyśleć wszystko szczegółowo), które nie szkodząc chłopcom mogły być bardzo korzystne dla Martynki i Glodzi. Wetknąłem przeto w okienko głowę. Ważyła chyba więcej niż „Henryka”, wielki dzwon Św. Marcina, a chwiała się tak samo w prawo i w lewo.

Nagle spostrzegłem na gościńcu dwie znane, poczciwe postacie. To Paillard i proboszcz Chamaille patrzą na mnie wytrzeszczając z przerażenia oczy. Pośpieszyli obaj co sił w koniu, by mnie jeszcze zobaczyć żywym. Wyznać muszę, że zapał ich znacznie ostygł na mój widok. Prawdopodobnie dla lepszego ujęcia całości obrazu skoczyli trzy kroki w tył. Zacny Chamaille chcąc mi dodać otuchy powtarzał raz po raz:

– Jak ty wyglądasz! Jak ty wyglądasz! Biedaku, biedaku, zupełny z ciebie nieboszczyk! Złośliwość we mnie wezbrała, przy tym czułem się jakoś lepiej, przeto odparłem:

– Może raczycie mi złożyć wizytę? Musieliście się zgrzać w drodze.

– O, nie, nie... – zawołali obaj – bardzo nam tutaj dobrze!

Akcentując swoją chęć ucieczki stanęli tuż przy wózku; Paillard począł potrząsać od niechcienia wędzidłem, Chamaille zaś, nawykły do rozmowy z umierającymi, spytał:

– No, jakże się czujesz, mój drogi?

– Jak się czuję? Dobrze, że się w ogóle jeszcze czuję.

– Ot, widzisz, Breugnon, czym jest człowiek! – zaczął proboszcz. – Pamiętam, że mówiłem ci to zawsze. Sam tylko Bóg jest potężny! My zaś to proch, to nic! Dziś się żyje, jutro gnije, dziś złoto, jutro błoto. Nie chciałeś wierzyć, radowałeś się życiem. Piłeś, śpiewałeś. A oto teraz, mój drogi, przyszła kryśka na Matyska. Bóg cię wzywa. Honor to wielki, ale musisz stawić się przybrany w szatę godową. Muszę cię obmyć z brudu grzechów... przygotuj się, grzeszniku!

– Mamy czas! – odparłem. – Zaczekaj, proboszczu!

– Skąd wiesz? Ani dnia, ani godziny...

– To nic... – powiadam – mamy czas... a jeśli pojazd odejdzie do nieba beze mnie, to pójdę piechotą.

Zaczął machać rękami.

– Breugnon, drogi przyjacielu! Widzę, że i teraz jeszcze szatan cię trzyma za poję. Cóż to za żarty, czegoż jeszcze chcesz od świata? Zważ, wszakże to nicość, marność, znikomość, nie kończący się ciąg klęsk, podstępów, złościwości, nieczystych sprawek, zasadzek, cierpień i słabości!

– Nudzisz mnie, Chamaille! – wołam. – Nigdy nie zdobędę się na to, by cię zostawić samego.

– Zobaczymy się kiedyś – odparł.

– Ale dlaczegoż nie mielibyśmy się udać razem na tamten świat? Ostatecznie zgadzam się torować wam drogę, ale idźcie za mną, przyjaciele!

Udawali, że nie słyszą.

– Czas mija! – zahuczał gromko proboszcz. – Przestań żartować. Diabeł ci

już siedzi na karku! Czy chcesz, by porwał w pazury twą czarną duszę? Dalejże, Colasie, uklęknij i czyn rachunek sumienia! Ja się będę modlił... Tak, tak, uczyn to dla mnie, proszę cię bardzo!

– Dobrze! Zrobię, co trzeba. Nie chcę ubliżyć Panu Bogu. Ale muszę naprzód powiedzieć kilka słów Paillardowi. Idzie o testament...

– Powiesz potem!

– Nie! Paillard ma pierwszeństwo!

– Czyż stawiasz na drugim miejscu szczęśliwość wiekiustą?

– Tak! Co wiekiuste, nie przeminie, a doczesność mogą tymczasem diabli wziąć. Żegnam się z tym światem, przeto sama grzeszność wymaga, bym mu udzielił audiencji przed zameldowaniem się w przedpokoju Pana Boga.

Nalegał, krzyczał, groził, ale nie ustąpiłem. Notariusz wyjął papiery, pióro i, siedząc na jakiejś beczce, spisał mój testament. Przysłuchiwali się licznie zgromadzeni przechodnie, włóczęgi i psy bezpańskie. Uporządkowawszy sprawy ziemskie uporządkowałem sprawy ducha, a gdy wszystko się skończyło, Chamaille rozpoczął na nowo kazanie.

– Przyjacielu! – powiedziałem. – Jesteś już znużony. Wszystko, co mówisz, jest bardzo budujące i wzniosłe, ale dla człowieka tak znękanego chorobą przydałoby się coś innego. Oto dusza moja gotowa jest już sięść na koń. Chciałbym wypić przynajmniej na pożegnanie. Dusze chrześcijańskie, postarajcie się o flaszczykę!

O, jakże mnie dobrze pojęli! Obaj byli nie tylko chrześcijanami, katolikami, ale ponadto Burgundami. Miast jednej przynieśli mi tedy trzy butelki: chablis, pouilly i irancy. Z okna kajuty mego okrętu, który miał podnieść kotwicę lada chwilę, rzuciłem linę. Gęsiarek pocziwy, który się jakoś nie bał zarazy, przywiązał do jej końca stary koszyk, a ja resztkami sił wciągnąłem na pokład tych ostatnich trzech przyjaciół i pasażerów.

Rzuciłem się po odjeździe proboszcza i notariusza na siennik. Czułem się teraz mniej osamotniony. Nie będę opowiadał, co się ze mną działo w ciągu kilku następnych godzin. Nie wiem dlaczego, ale pamięć mi w tym miejscu

nie dopisuje. W ścisłej komitywie z trójką butelek, a raczej z duchami w nich zamkniętymi, wędrowałem widać po rozłogach tak dalekich, że utraciłem wszelki kontakt z ziemią.

O północy spostrzegłem, że siedzę w ogrodzie na grządce truskawek, rozduśzając pośladkami mięsiste, chłodne owoce, i gapię się na niebo widoczne poprzez gałęzie owocowego drzewa. Podziwiałem kontrast blasku nieba i cieni ziemi, a dwa rogi księżycy sterczały mi nad głową. Tuż obok czerniło się węzowisko splątanych, długich korzeni winorośli. Podobne do piekielnych stworów czy węży, przyglądały mi się złowieszczo.

Skąd się tu wziąłem, nie wiadomo. Zapewne pomyślałem sobie na wpół w malignie, na wpół na jawie: „Wstawaj, pocziwcze! Butelki już puste. *Consummatum est.*^[46] Nic już po tobie. Na pośladkach nie umiera Rzymianin! *Sursum corda!*^[47]” Musiałem tedy wstać i szukając słuchaczy udałem się w kierunku, gdzie rosła kapusta. A może też miałem zamiar poszukać czosnku. Powiadają, że w braku wina najlepszy przeciw zarazie jest czosnek.

[46] *Consummatum est* (łac.) – dokonano się.

[47] *Sursum corda* (łac.) – w górę serca.

Ostatecznie, za ledwie znalazłem się w ogrodzie, opanował mnie czar nocy. Niebo sklepiło się cudnie nade mną, niby ogromna korona drzewa, a na gałęziach wisały miliony owoców. Cudne, niby złote jabłka, gwiazdy dojrzewały w owym półświecie. Owoce zdały mi się gwiazdami, pochylały się ku mnie i zaglądały mi w oczy. Miliony oczu śledziły, czy żyję, a jakiś cichy pośmiewek życzliwie szumiał pośród grządek truskawek. Gdzieś wysoko śpiewało coś, gwiazda czy jabłko, nie wiem już dobrze:

Tarninko, krzewie,
Zapuść korzenie,
Nie daj się... nie!
A potem w górę
Podnieś fryzurę,
Jak winny pęd.
Tarninko, krzewie,
Zapuść korzenie,
Rozrastaj się!
Tarninko! Dziecinko!
Wypite winko!
Nadrabiajże teraz minką!

I ze wszystkich gałązek winnicy, znad ziemi, spod nieba podniósł się chór drżących, rozśpiewanych głosików, powtarzając:

Tarninko, krzewie,
Zapuść korzenie,
Nie daj się... nie!

Wsparłem się o ziemię i zapytałem:

– Chcesz mnie, dobra ziemio? Bo mnie dobrze z tobą.

I zanurzyłem ręce w jej pulchnej tłustości, i zapadłem w nią, a ona miękko rozstępowała się pode mną biorąc mnie w objęcia. Po chwili leżałem sobie wygodnie i zacząłem się nakrywać ziemią niby ciepłuchną kołderką. Tylko gęba była odkryta, a gwiazdy złączyły się w grona i zwisły mi nad ustami. Lipcowa noc zanuciła teraz swą wielką pieśń, jakiś oszalały konik polny cykał i cykał do upadłego. Nagle dzwon Św. Marcina wybił dwanaście razy, a może czternaście czy szesnaście, nie było to bowiem zwykłe dzwonienie, lecz jakby hasło uroczystości. Wszystkie gwiazdy zmieniły się w dzwony... Boże, co za muzyka! Serce mi tłukło młotem, w uszach szumiało od tego dzwonięcia.

Nagle z głębi mojej ujrzałem drzewo Jessego^[48]. Tuż obok mnie wyrastał

z ziemi olbrzymi pień winorośli... Nie, nie obok, wyrastał wprost ze mnie, z mego brzucha, i wysyłał rozliczne gałązki ku niebu. Stało się tak jakoś, że nie ruszając się z miejsca zacząłem jednak wspinać się po tych gałęziach coraz wyżej, a przy tym śpiewałem na całe gardło:

[48] Drzewo Jessego (Jozuego) – drzewo genealogiczne wyobrażające pochodzenie Chrystusa od Jessego, ojca króla Dawida.

Nie uciekaj, winogradzie,
Moje sto tysięcy!
Chociaż leżę tu na zadzie,
Zapobiegnę takiej zdradzie
I nie puszczę więcej!

Musiałem tak przez znaczną część nocy wspinać się i śpiewać, gdyż jak mi potem powiedziano, prześpiewałem kilka tomów, i to najrozmaitszych utworów. Śpiewałem pieśni święte i świeckie. *De profundis*, kolędy, *Laudate*^[49], fanfary, walce, pieśni wielkopostne, swawolne piosenki, piszczalem, udawałem flet, bębniłem na bębnie i grałem na trąbce.

[49] *De profundis* (łac.): Z głębokości... *Laudate* (łac.): Chwalcie – pierwsze słowa znanych pieśni kościelnych.

Zbiegli się zewsząd sąsiedzi, obstąpili winnicę i mówili do siebie z żalem:
– Co za wrzask! To Colas umiera. Biedny Colas. Zwariował przed śmiercią!

Nazajutrz zbudziłem się koło południa. Nie macie pojęcia, moi państwo, jak to przyjemnie zbudzić się na ziemi, na własnych śmieciach. Co prawda, posłanie nie było zbyt miękkie i bolał mnie wściekle brzuch, ale co za radość wiedzieć, że się jeszcze posiada brzuch! Aa, Breugnon... drogi chłopcze,

widzę, zawróciłeś z drogi!... To doskonale, dajże pyska! Macam się po całym ciebie, po znajomej gębie. Jest, jest, jest! Jakże dobrze, że wszystko jeszcze jest! Aa, jest także i mój ogród? *Servus!* Meloniki moje kochane, zielone jeszcze, ale wnet się zaczną złocić.

Zapadłem w radosną kontemplację, ale wyrwało mnie z zadumy wołanie. Dwaj ludzie rycieli spoza muru:

– Breugnon... Breugnon! Czyś już umarł?

To Paillard i Chamaille nasłuchiwali, czy me dam znaku życia, a nie mogąc się doczekać poczynali już wielbić moje cnoty i wychwalać nieboszczyka.

Wstaję pomaleńku... (o, do licha, mój brzuch!), wstaję i zbliżam się z wolna, potem nagle wystawiam głowę i wołam:

– A kuku!

Rzucili się w tył.

– Breugnon, chłopcze drogi, więc nie umarłeś?

Śmieją się i płaczą z radości, ja zaś pokazuję im język.

– Żyję jeszcze, poczciwi ludziska!

Wyobraźcie sobie, że te draby trzymały mnie przez dwa tygodnie w moim nędznym szałasie, aż się przekonali wyraźnie, że jestem zupełnie zdrów. Muszę przyznać, że nie dali mi cierpieć niedostatku. Miałem tedy i mannę, i wodę (myślę o wodzie Noego), a nawet codziennie wieści ze świata, gdyż opowiadali mi wszystko stojąc pod okienkiem.

Gdym wyszedł, Chamaille powiedział mi:

– Breugnon, wiesz, kto cię uratował? Oto mój wielki święty: Roch. Powinien byś mu podziękować!

– Zdaje mi się – odparłem – że uratowało mnie trzech świętych, a mianowicie, św. chablis, św. pouilly i św. irancy. Wszakże samiście mi przynieśli od nich lekarstwo.

– Niech i tak będzie, Breugnon! Ale jedź ze mną, muszę cię koniecznie pokazać memu świętemu!

– Zgoda, byleś mi potem pokazał moich trzech świętych!

Udaliśmy się do proboszcza i znowu zasiedliśmy we trójkę przy winku.

– Ho, ho... przyjaciele drodzy! – zawołałem. – Jakoś bliżej teraz siebie siedzimy niż onego dnia, kiedy to prosiłem was o kielich na pożegnanie! Wówczas nie chcieliście wcale przepić do mnie!

– Wybacz, mój przyjacielu! – wyznał Paillard. – Kocham cię, ale bardziej jeszcze siebie. Wspomnij przysłowie: Bliższa koszula ciała...

– *Mea culpa! Mea culpa!*^[50] – bił się w piersi proboszcz. – Jestem tchórz, taka już moja natura!

[50] *Mea culpa, mea culpa* (łac.) – moja wina, moja wina.

– Ach! Jakże to jednak dobrze żyć, drodzy przyjaciele! – zawołałem z westchnieniem. Ucałowaliśmy się serdecznie i powiedzieli sobie:

– Każdy porządny człowiek ma swe wady, ale jest i tak darem nieba, a wiadomo: darowanej kobyle nie zagłada się w zęby!

VIII
ŚMIERĆ MOJEJ STAREJ

KONIEC LIPCA

Rozpierała mnie coraz bardziej radość życia. Wraciałem doń bez trudu, ochotnie, nie wątpicie o tym chyba. Czułem teraz, że jest stokroć lepsze, pełniejsze, słodsze, bardziej złote, przyrumienione, chrupiące, że rozpływa się wprost na języku. Miałem apetyt zmartwychwstałego. Ach, jakże się musiał obżerać Łazarz po wyjściu z grobu!

Pewnego dnia pracowałem ochoczo w warsztacie, potem mocowałem się na kieliszki, niby Samson, ze znajomymi i właśnie byliśmy wszyscy w najlepszym nastroju, gdy zjawił się pewien wieśniak z Morvan.

– Majstrze! – powiedział do mnie. – Widziałem wczoraj waszą żonę!

– Ho, ho, toś sobie użył, bratku! – odparłem. – No, a cóż tam koło niej słychać?

– A nic, wszystko w porządku. Wybiera się w drogę!

– Dokądże to?

– Spieszno jej, majstrze, do Pana Boga!

– Nie zazdrozczę mu tej wizyty! – powiedziałem żartobliwie. – Niebo zamieni się w piekło!

A któryś z kompanów dodał:

– Ona odchodzi, tyś zostałeś! Oto widzisz, Colasie, że szczęście chadza zawsze w parze! Chcąc się dostroić do innych (mimo wzruszenia) odparłem:

– Napijmy się tedy, bracia. Bóg jest dobry, odejmuje bowiem babę chłopu, gdy ten nie wie już, co z nią począć!

Ale nagle wino wydało mi się jakieś gorzkie. Nie mogłem dokończyć szklanki. Wziąłem kij w rękę i wyszedłem nie pożegnawszy nawet znajomych. Krzyczeli za mną:

– Hej, dokądże to idziesz? Co ci się stało? Byłem już daleko, śpieszyłem co sił w nogach, a serce mi ścisnął ból. Tak, tak! Można nie kochać swej żony, można się z nią zreć jak pies z kotem przez dwadzieścia pięć lat, ale przecież zapomnieć nie sposób, gdy kostucha zjawia się u progu, że z

towarzyszką swą dzieliłeś wspólne, zbyt wąskie łóżko i pot jej mieszał się nierzadko z twoim i że z jej to chudego łona wyszło pokolenie nowe, przez ciebie poczęte, i wzruszenie chwyta cię za gardło, jak gdybyś tracił część własnego ja. Więc choć nie była piękna i nieraz ci dokuczyła, rośnie w tobie litość nad nią i nad sobą samym i teraz, mocny Boże, dopiero teraz czuje człowiek żal i coś jak miłość.

Przybyłem na miejsce nazajutrz o zmierzchu. Od pierwszego spojrzenia poznałem, że wielki rzeźbiarz-śmierć pracował dobrze. Spod firanki sfalowanej skóry ukazywała się tragiczna twarz śmierci. Ponadto stało się coś, co lepiej jeszcze podkreślało, że skon jest bliski. Ujrawszy mnie, spytała łagodnie:

– Mój drogi biedaku, musiałeś się bardzo zmęczyć, taki kawał drogi...

Byłem głęboko wzruszony i pomyślałem:

„Oho! już po niej: stała się łagodna!”

Usiadłem przy łóżku i wziąłem ją za rękę. Nie była w stanie mówić, dziękowała mi tylko wzrokiem za to, że przyszedł. Chcąc ją rozweselić próbowałem żartować i opowiedziałem jej w lekkiej formie, jak to zaraza przyszła do mnie z wizytą, ja zaś wyrzuciłem nieproszonego gościa za drzwi. Nie wiedziała o tym wcale i tak ją to wzruszyło (cóż za nieostrożność w okazywaniu uczuć), że mało co nie umarła.

Gdy odzyskała zmysły, zaczęła gadać („Dzięki Bogu, pożyje jeszcze” – pomyślałem) i wróciła jej złość. Usiadła i zaczęła miotać obelgi na moją głowę. Twierdziła, że to łajdactwo z mej strony, że jej nie dał znać, że nie mam serca, że jestem gorszy od psa, że jak pies powinienem zdechnąć w samotności i opuszczeniu na kupie śmieci. Była niewyczerpana, a wściekłość podwajało jeszcze to, że język jej się plątał i słowa wychodziły z ust zniekształcone i drżące. Chciano ją uspokoić, mówiono mi:

– Idźże sobie! Widzisz, że jej to szkodzi, odejdz bodaj na chwilę!

Ale ja roześmiałem się i pochylony nad łóżkiem mówiłem:

– Dzięki Bogu! Dzięki Bogu! Będziesz jeszcze zdrowa, teraz ci wrócił

humor, mów dalej, stara, mów!

Wziąłem w obie dłonie trzęsącą się, biedną głowinę złościcy i ucałowałem z całego serca w oba policzki.

Za drugim pocałunkiem rozplakała się.

Siedzieliśmy bez słowa – sami, gdyż wszyscy wyszli do drugiej izby – słuchając świerszcza ćwierkającego gdzieś w szparze podłogi. Naraz uczułem, że chce mówić.

– Nie męcz się! – powiedziałem. – Przez dwadzieścia pięć lat nagadaliśmy się dosyć. Rozumiemy się bez słów.

– Nic ci jeszcze nie powiedziałam! – szepnęła. – Muszę wyznać wszystko, inaczej nie wejdę do raju...

– Ależ wejdiesz – zapewniałem – wejdiesz niezawodnie!

– Jeśli wejdę nawet... – upierała się – to wyda mi się gorszy od piekła. Muszę wyznać, iż byłam dla ciebie, Colasie, złą i zem ci zatrzymała życie...

– To nic, to nic! Trochę kwasu nawet potrzeba dla zdrowia.

– ...byłam zazdrosna, kłótliwa, opryskliwa, uparta, zawsze naburmuszona, napełniałam wrzaskiem cały dom; zalewałam ci sadła za skórę.

Pogładziłem jej ramię.

– To nic, to nic – zapewniałem. – Sadło przyda się zawsze pod skórą, a i tej skórze nic się zresztą nie stało!

– Ale kochałam cię! – zawołała.

– Wiem o tym i wiedziałem zawsze! – odparłem wesoło. – Każdy na swój sposób objawia miłość. Szkoda tylko, że nie powiedziałaś mi tego otwarcie.

– Kochałam cię! – powtórzyła. – Ale ty nie kochałeś mnie wcale. I dlatego ty byłeś dobry, a ja zła. Nienawidziłam cię widząc, że mnie nie kochasz, a ty niceś sobie z tego nie robił. Śmiałeś się... śmiejesz się dzisiaj jeszcze... Boże, ileż wycierpiałam przez ten twój śmiech! Ukrywałeś się w tym śmiechu niby w płaszczu nieprzemakalnym, a mój deszcz i burza nie mogły cię nigdy dosięgnąć. Jakże cierpiałam, Colasie... Kilka razy byłam bliska śmierci...

– Droga moja – odparłem – kryłem się przed burzą, gdyż jak ci wiadomo, nie lubię wody!

– I teraz jeszcze śmiejesz się, niepoprawny człecze. Ano śmieje się. Widać cię grzeje ten śmiech. W tej chwili, kiedy mi nogi ogarnia chłód ziemi, czuję, ile wart ten twój śmiech. Pożycz mi tego płaszcz! Albo nie, śmieję się sam, nie mam ci już tego za złe... Przebacz mi wszystko, Colasie.

– Byłaś kobietą uczciwą, dzielną i wierną. Czyż to nie dosyć? Być może, nie byłaś uprzejma codziennie. Ale przecież nikt nie jest bez wady. Sam jeno Pan Bóg jest doskonałością, tak przynajmniej mówią księża. Walczyłaś mężnie z przeciwnościami losu, nie uskarżałaś się nigdy na życie, a w chwilach naprawdę ciężkich stałaś zawsze przy mnie. Nie troszczmy się zresztą o przeszłość. Wspomnienia nasze są czyste, zachowaliśmy dobrą wiarę, nie ugięliśmy się, nie wołali ratunku i nie mamy na sobie plamy hańby. Co się stało, tego nie można zmienić. Doniosłaś swoje brzemię do końca, niechże teraz Pan Bóg je waży, to jego urząd. Już to nie nasza sprawa, możemy sobie odsapnąć oboje. Rozprostujmy grzbiety, wykopmy sobie dziurę w ziemi, w której niedługo spoczniemy, by spać z otwartą gębą, chrapiąc jak organy. *Requiescant!*^[51] Pokój ludziom spracowanym na tym padole!

[51] *Requiescant* (łac.) – niechaj spoczywają.

Słuchała z oczyma zamkniętymi. Ręce miała skrzyżowane na piersiach. Gdym skończył, podniosła powieki i podała mi rękę, potem rzekła:

– Połóż się, mój drogi. Zbudzisz mnie jutro i pomówimy jeszcze.

Jak przystało kobiecie miłującej porządek, wyciągnęła się prosto na łóżku, wygładziła kołdrę, podciągnęła prześcieradło pod samą brodę, tak że nie było na nim ani jednej fałdy. Leżała z wzniesionym w górę spiczastym nosem, przyciskając krucyfiks do wyschłych piersi, i czekała gotowa i

zrezygnowana.

Ale pisane jej było, że jeszcze przed śmiercią celem ostatecznego oczyszczenia przejdzie przez piekło ziemi. Właśnie w momencie, gdyśmy skończyli pożegnanie, wpadła do izby właścicielka domu i zawołała zwracając się do mnie:

– Panie Colas, panie majstrze! Chodźże pan, prędko, prędko!

Nie rozumiejąc, o co idzie, spytałem:

– Co się stało? Proszę mówić ciszej!

Moja stara, siedząca jakby w wielkim pojeździe ruszającym w drogę niebiańską, snadź dostrzegła ze swego siedzenia coś więcej, gdyż podniosła się i wyciągając ku nam ręce krzyknęła wielkim głosem:

– Glodzia! Moja Glodzia!

Teraz i ja zrozumiałem, przeszyty owym krzykiem i słysząc chrapliwy kaszel w sąsiednim pokoju. W strasznym stanie znalazłem mojego kochanego skowroneczka. Glodzia dusiła się. Okrutna choroba pochwyciła w kleszcze biedny jej gardziołek, a maleństwo daremnie starało się łapkami rozluźnić śmiertelną pętlę. Oczętami tylko wzywała ratunku i rzucała się jak zraniona ptaszyna.

Straszna to była noc. Dziś jeszcze, chociaż minęło pięć dni, nie mogę o niej wspomnieć bez drżenia.

Od samego wspomnienia słabną mi nogi i muszę sięść i odsapnąć. Czyż podobna, by mieszkał w niebie Pan i władca dopuszczający, aby tak okrutnie męczono te małe istoty? Czyż nie jest to straszne patrzeć, jak cienka szyjka nabrzmiwa do pęknięcia, jak biedne ciało rzuca się w konwulsjach, a oczy spozierają ze zdziwieniem i wyrzutem? Rozumiem, że można ściągać skórę ze starego osła, jak ja na przykład, że dręczy się kogoś, kto umie się bronić. Nie dziwię się zgoła, miły Boże, że Cię zbiera nieraz ochota pobawić się udręką wrzeszczącego człowieka. Próbuje więc! Wszakże człowiek stworzony jest na Twój obraz, a przeto podobniście do siebie. Nie jesteś tedy, mocny Boże, każdego dnia w tygodniu dobry, miewasz kaprysy,

złośliwości, zbiera Cię ochota robić na złość. Od czasu do czasu odczuwasz wielkie pragnienie niszczenia, próbowania siły, bo jesteś złośliwy, w złym humorze lub po prostu nie masz jak zabić czasu, wszystko to, jak rzekłem, nie dziwi mnie wielce. Stać nas na to – nas, ludzi, i Ciebie – by się popróbować, i nieraz wypowiedaliśmy Ci otwarcie nasze poglądy. Ale brać na cel takie jagniątko, z którego ściśniętego karczku trysłoby mleko, nie krew, to coś niesłychanego! Dość tego, nie wolno, i basta! Bóg czy król czyniąc tak przekracza swe prawo. Przestrzegamy Cię, Panie, że jeśli nie przestaniesz, to z wielką przykrością, ale stanowczo, jeszcze w tym tygodniu pozbawimy Cię korony. Takie okropności możliwe są w dwu jeno razach, o Panie nasz: albo nie widzisz, co się dzieje, albo Cię zgoła nie ma. Aj, to słowo nie ma sensu, cofam je przeto. Przecież sam fakt rozmowy z Tobą świadczy, że jesteś. Ach, ileż razy wiedliśmy dysputy i jeśli będziesz szczerzy, przyznasz, że Cię nieraz zmusił do milczenia. Tej nocy okrutnej wzywałem Cię, kłamałem, groziłem, przeczyłem Ci bytu, prosiłem, błagałem, wyciągałem do Ciebie ręce i pokazywałem pięści. Nie powiesz chyba, że zaniechałem czegokolwiek, co by Cię mogło wzruszyć. Niestety, wszystko na nic, nie drgnąłeś nawet. „Nie chcesz – pomyślałem – dobrze, pokaże się, kto będzie na wierzchu; nie zwracasz uwagi na głos wiernych Twoich, tedy źle na tym wyjdiesz, gdyż znamy innych jeszcze panów i do nich się zwrócimy...”

Przez całą noc czuwałem przy Glodzi wraz z poczciwą właścicielką domu. Martynka została w Dornecy, gdyż przyszły już na nią bóle porodowe. Nad ranem dziecko zaczęło konać. Przeto powzięliśmy ostateczną decyzję. Wziąłem małą na ręce i wyjrzałem przez okno. Padał deszcz rzęsisty i dął silny wiatr. Róża na długiej łodydze usiłowała wsunąć się do izby. „To zapowiedź śmierci” – pomyślałem. Przeżegnałem się i mimo niepogody wyszedłem z domu.

Glodia zwisała mi na ręku, jakby już umarła. Osłaniałem starannie biedną jej głowinę. Przodem szła gospodyni niosąc dary dla duchów. Niebawem w

przydrożnym lesie znaleźliśmy nad bagniskiem drzącą liśćmi starą osikę. Górowała nad niewielką polanką wysoka, prosta niby wieża. Okrążyliśmy trzy razy drzewo. Dziecko jęczało i szczekało zębami.

Przywiązaliśmy do rączki Głodzi wstążkę, drugi jej koniec do gałęzi, a potem gospodyni zanuciła bezzębnymi ustami wraz ze mną zaklęcie:

Osiczyno, dobra pani,
Wstążkę ci niesiemy w dani!
Osiczyno, osiczyno,
Ulituj się nad dzieciną!
Zdejm chorobę tę przeklętą –
Klniemy cię przez Trójcę Świętą,
Osiczyno, zбайд uporu,
Bo zwołamy duchy z boru,
Duchy czarne, białe, płowe,
I utniemy tobie głowę!

Potem gospodyni zrobiła dziurę pomiędzy korzeniami drzewa, wlała w nią kubek wina, włożyła dwa ząbki czosnku i łyżkę sadła. Następnie napełniliśmy mój kapelusz trawą i okrążyliśmy go trzy razy. Za trzecim razem splunęliśmy weń i wyrzekli zaklęcie:

Ropucho, ropuszycho, ropuszasta,
Niech ci gardło się rozpuczy, i basta!

Na koniec zawróciliśmy do gościńca, odnaleźliśmy krzak cierni, uklękliśmy, położyli dziecko na ziemi i prosiliśmy Boga o ratunek przez pamięć cierni, które raniły głowę jego Syna.

Gdyśmy wrócili do domu, dziecko zdało się już nieżywe. Trudno, czyniliśmy, co leży w mocy ludzkiej.

Moja stara przez ten czas ani słyszeć nie chciała o śmierci. Miłość do Głodzi trzymała ją na ziemi. Złościła się, rzucała po łóżku i krzyczała:

– Nie pójdę, nie pójdę! Panie Boże, zaczekaj! Muszę się dowiedzieć, co będzie: tak czy tak; wściekłabym się z desperacji! Czy wyjdzie z tego? Ha,

wyjdzie, musi wyjść, ja tak chcę! Tak się stać musi, musi, musi! Sprawa załatwiona!

Sprawa nie była jeszcze załatwiona, bo za chwilę znowu rozległy się dzikie wrzaski... Ho, ho, co za głosik! A ja, głuptak, myślałem, że wydaje ostatnie tchnienie! No, jeśli to miała być ostatnia seria akordów, to finał należało nazwać świetnym.

Colasie, drabie jeden, pokpiwasz bezwstydnie! Ha, trudno, jestem, kim jestem. Śmiech nie przeszkadza mi cierpieć, a ból nie zdoła zamknąć gęby prawdziwemu Francuzowi. Czy się śmieje, czy płacze, nigdy oczu nie zamyka. Niech żyje Janus dwugłowy o oczach zawsze otwartych!...

Wrzeszczała coraz głośniejsze, tak że nie sposób było słuchać. Przeto uspokajałem ją, mówiłem do niej jak do chorego dziecka, okrywałem kołdrą. Wyrzywała się, odrzucała pościel i ryczała w najwyższej pasji:

– Nicponiu! Obrzydły nicponiu i samolubie! Niby to jesteś mężczyzną, a nie masz siły uratować dziecka. Przeklęty sobku! Sobie umiałeś poradzić... ha? A właśnie ty powinienesz być umrzeć, nie ona!

– Masz rację! – odparłem. – Masz zupełną rację! Gdyby Pan Bóg chciał zamiany, niezwłocznie zdjąłbym swą skórę i posłał do nieba w prezencie, ale ten interes, zdaje się, nie dojdzie do skutku. Chociaż niedawno wyprana przez Chamaille'a, skóra moja ma dużo plam. Oboje mamy już mocno podniszczone ruchomości, przeto pozostaje nam tylko czekać i cierpieć.

Cierpmy tedy w milczeniu. Może tą ofiarą ubłagamy Pana Jezusa.

Zamilkła, oparła głowę o moją głowę i słone. Łzy nasze zmieszały się. Cisza zapanowała. Zdawało się, że cień jakiś spływa niby kir skrzydeł anioła śmierci.

Nagle rozjaśniło się, anioł znikł. Stał się cud. Skąd przyszedł? Czy z nieba, czy z lasu, czy sprawił go Jezus, pan miłosierdzia, czy straszliwa matka ziemia? Czy sprawiły go modły, czy wymusił strach kobiety, czy może zesłała go osika ubłagana darami lub drżąca o całość swej głowy?

Nie dowiemy się tego nigdy, a że w razach niepewności należy być

ostrożnym, tedy złożyłem gorące dzięki wszystkim potęgom, całej kompanii przesłałem gratulacje dodając kilka ciepłych słów pod adresem potęg zgoła nieznanych (one są często najważniejsze).

Faktem jest, a to rzecz główna, że od tej chwili Glodzi ulżyło znacznie, gorączka spadła, oddech zaczął swobodnie przepływać przez gardziółek i maleństwo umknąwszy zwycięsko szponom śmierci – zmartwychwstało.

Natenczas roztopiły się jak masło nasze stare serca. Oboje zaintonowaliśmy *Nunc dimittis, Domine...* [52] a moja złościca opadła na poduszki, bezsilna, łkająca z radości. Głowa jej zwisała jak ścięta i legła ciężko na pościeli.

[52] *Nunc dimittis, Domine...* (łac.) – Wypuść teraz, Panie...

– Teraz czas mi iść... – wyszeptała. W tej samej chwili zmętniało jej spojrzenie, a policzki zapadły, jakby nagły powiew wiatru zgasił płomyk życia. Pochyliłem się nad łóżkiem, chociaż już jej nie było, i patrzyłem niby w wir na wodzie, gdzie na małą chwilę pozostają kształty ciała, które zapadło w głąb, niknąc w kręgach rozlewnych.

Zamknąłem jej oczy, pocałowałem woskowe czoło, skrzyżowałem na piersiach spracowane ręce, które nie odpoczywały nigdy i pozostawiając lampkę, co zgasła z braku oliwy, usiadłem przy nowym płomyku, który miał odtąd oświetlać dom. Patrzyłem na śpiącą dziecinę, czuwałem nad nią i myślałem... (Czyż można powstrzymać się od myśli?)

Czyż nie dziwna to zaiste rzecz, że się człowiek tak przywiązuje do takiego maleństwa? Bez niego życie traci znaczenie, z nim nawet najgorsze jest dobre. Mogę sobie nawet umrzeć, cóż mi na tym zależy. Byłe ono żyło, kpię z reszty. Ale koniec końcem coś mi za dużo tego wszystkiego. Wszakże istnieję, u licha, żyję, zdrów jestem, władam pięciu zmysłami i kilku jeszcze ponadto, z których najpiękniejszy jest imć pan zdrowy rozum. Nie boczyłem

się nigdy na życie, noszę w brzuchu co najmniej dziesięć łokci kiszek, zawsze pustych i zawsze gotowych wziąć udział w uczcie życia. Ponadto jasno w mej głowie, rękę mam wprawną, twardego krok, mocne łydy, jestem zdolny robotnik i Burgund jak sto diabłów. Mimo wszystko jednak oddałbym się cały za to maleństwo, którego nie znam nawet dobrze! Bowiem w gruncie rzeczy czymże jest? Mały skrzacik, zabaweczka śliczniutka, papużka próbująca gadać, istota nie będąca na razie niczym, mogąca dopiero czymś zostać, i to tylko *może*. Czyż dla owego: *może*, mam się oddać z bebechami? Hola... jestem, a przeto jestem i chcę być dalej! Ach, czyż owo *może*, nie jest to właśnie ów piękny kwiat, dla którego żyję? Gdy robaki nażrą się mięsa mego, gdy cielsko moje rozpadnie się w cmentarnej ziemi, zmartwychwstanę, o Panie, w innym jakimś ja, piękniejszym, szczęśliwszym i lepszym *może*... Ha, trudno to zgadnąć! I dlaczegoż by miało być więcej warte od mego obecnego ja? Oto dlatego, że wylezie mi na plecy i więcej dojrzy z góry, która wyłoni się ze mnie, otworzy oczy na światłość niedostrzegalną oczom moim, mimo że ją tak kochały, stanie do zbiórki plonów dni i nocy przyszłości. Widzę płynące lata i wieki i raduję się tym, co przeczuwam, i tym, czego nie znam. Wszystko wkoło mnie przemija, a właściwie to ja posuwam się coraz dalej, coraz wyżej, niesiony pokoleniami. Nie jestem już przykuty do małego terytorium swego. Poza widnokretem życia, poza moim polem snują się długie zagony, płyną poprzez ziemię, ogarniają przestrzeń, niby Droga Mleczna pokrywają pajęczyną całe lazurowe niebo. Jest to nadzieja moja, pożądanie, ziarno, które sieję pełną dłonią po rozłogach nieskończoności.

IX
SPALONY DOM

POŁOWA SIERPANIA

Czyż zanotować dzień dzisiejszy? To twardy kawałek mięsa i jeszcze go nie mogłem strawić! Ano, niech tam! Może właśnie dopomogę w ten sposób żołądkowi.

Powiadają, że to, co w lecie spadnie z nieba, przyczynia ludziom chleba. Jeśli tak, to powinien bym być do tej pory Krezusem! Bo tego lata deszcz mi ciągle leje za kołnierz. A jednak oto stoję przed wami, drodzy państwo, bez koszuli i butów, goły jak turecki święty! Zaledwie przetrwałem te dwie próby: wyleczenia Glodzi z choroby, a mojej starej z dolegliwości życia doczesnego, gdy przypuściły do mnie wściekły szturm potęgi zaziemskie, kierujące ludzką dolą.

Niezawodnie siedzi tam gdzieś w niebie, w jednym z głównych departamentów, jakaś wściekła baba, która ma do mnie pretensje. Cóżem jej zawinił? A może mnie kocha? Dostyc, że bitwa skończyła się porażką moją. Wychodzę z niej nagi, ogołocoony do skóry, pobity i tyle mam pociechy, że mi skóra chociaż pozostała nienaruszona.

Mimo że wnuczka przyszła do siebie, nieśpieszno mi było wracać do domu. Ociągałem się z dnia na dzień, nie mogąc się nacieszyć jej zdrowiem. Maleństwo odzyskujące życie to coś jak powstawanie nowego świata: wszystko wokół niego zdaje się powracać do szczęśliwego okresu dzieciństwa. Przeto nie ruszałem się, odbywałem tylko przechadzki słuchając obojętnie plotek przynoszonych na targ przez kumoszki.

Pewnego dnia nastawiłem uszu. Jakiś poganiacz osłów przyniósł wieść, że w Clamecy na przedmieściu Beuvronu wybuchnął pożar i że domy palą się jak słoma, jeden po drugim. Od tej chwili czułem się jak na rozżarzonych węglach. Daremnie mi mówiono:

– Uspokój się! Złe wieści latają szybko jak jaskółki, gdyby rzecz ciebie dotyczyła, otrzymałbyś wiadomość od przyjaciół. Wszakże nikt nie wspominał o twoim domu. Niejeden przecież jest osioł w Beuvronie...

– Tak, tak, to mój dom płonie. Dochodzi mnie śwąd.

Wziąłem w garść laskę i ruszyłem w drogę.

„Psiakrew – myślałem sobie. – Pierwszy to raz dopiero wydalilem się z Clamecy nie zabezpieczywszy gratów. Zawsze, ile razy zbliżał się nieprzyjaciel czy w innym wypadku, przenosiłem w obręb murów miasta, na drugą stronę rzeki, moje penaty i lary, pieniądze, wytwory sztuki, które są moją dumą, narzędzia, meble i ot, wszystkie różności, które są może brzydkie, zabierają zbyt wiele miejsca, ale jednocześnie posiadają większą wartość od złota, bo są pamiątkami chwil szczęścia i radości. Tym razem wszystko zostawiłem, jak było...”

Słyszałem wyraźnie wrzask mojej starej, która z tamtego świata pomstowała na moją głupotę.

– To twoja wina, sekutnico! – odkrzyknąłem. – Do ciebie się tak śpieszyłem!

Kłóciliśmy się zęb za zęb długi czas (zajęło mi to znaczny kawał drogi), po czym starałem się przekonać ją i siebie, że cały strach był bezpodstawny. Ale obawa nie ustępowała, niby uprzykrzona mucha siadała ciągle na nosie, widziałem ją bezustannie i zimny pot spływał mi po grzbiecie i piersiach aż na brzuch. Szedłem żwawo, minąłem Villiers i zacząłem wstępować na garbate pasmo wzgórz, gdy naraz spostrzegłem niewielki wózek, a w nim ojca Jojot, młynarza z Moulot.

Poznał mnie, zatrzymał konia i robiąc młyńca batem krzyknął:

– Biedny chłopcze, żal mi cię serdecznie!

Miałem wrażenie, że otrzymał kopniaka w sam brzuch. Stałem na skraju drogi z otwartą gębą, a on ciągnął dalej:

– Gdzie idziesz? Wróć się, Colasie. Nie idź do miasta! Będzie ci zbyt przykro. Wszystko spalone i zrównane z ziemią. Nie zostało ci nic!

Za każdym słowem ścisnęło mnie w kiszka. Udawałem zucha, przełknąłem ślinę, wyprostowałem się i rzekłem:

– Wiem wszystko!

– A więc – odparł kwaśno – po cóż idziesz?

– Chcę widzieć szczątki! – powiedziałem.

– Mówię ci przecież, że nie zostało nic, ale to nic... ani jedna rzodkiewka nie ocalała!

– Przesadzasz, Jojot! – zawołałem. – Przecież nie sposób, by moi uczniowie i poczciwi sąsiedzi patrzyli spokojnie na pożar, nie ruszywszy palcem, nie starając się uratować bodaj mebli, rzeźb; toż to zwykła przysługa sąsiedzka.

– Sąsiedzi? – wykrzyknął Jojot. – Nieszczęśniku, ależ to właśnie sąsiedzi twoi podłożyli ogień.

Ten cios dobił mnie, a on powiedział triumfalnie:

– Widzisz, że nie wiesz nic!

Nie chciałem ustąpić, ale Jojot, pewny teraz, że mi pierwszy głosi złowrogą wieść, zaczął z wielkim zadowoleniem opowiadać o pożarze:

– Wszystkiemu winna ta zaraza. Wszyscy dostali bzika. Ławnicy i urzędnicy, prokurator, słowem – cały zarząd okręgu wyniósł się z miasta uciekając przed śmiercią. Zostały barany bez pasterzy i oczywiście, jak barany, popadły w wielki strach. Zdarzył się nowy przypadek zarazy nad Beuvronem i zaraz zaczęto krzyczyć: „Spalmy domy nawiedzone zarazą!” No, i zrobili, jak uradzili. Nie było ciebie w mieście, przeto twoja chałupka poszła pierwsza z dymem. Każdy w dobrej wierze pracował co sił, gdyż wszyscy byli pewni, że działają dla dobra miasta. Zagrzewali się jeszcze wzajem do pośpiechu. Kiedy raz człowiek weźmie się do niszczenia, popada w jakiś szal, tak że go nie sposób powstrzymać. Gdy się dom palił jak świeca, zaczęli tańczyć wokoło ognia. Ach, szkoda żeś ich nie widział! Oszaleli! I ty byś sam był tańczył jak wariat. Drzewo, któreś miał w pracowni, paliło się z trzaskiem... słowem, zostały same popioły!

– To musiało pięknie wyglądać! – odparłem. – Szkoda, żeś nie widział! A jednocześnie myślałem: „Już po mnie! Dobili mnie!”

Ale nie powiedziałem nic staremu młynarzowi.

– Jakoś sobie z tego nic nie robisz! – zauważył Jojot z kwaśną miną.

Już to taka bestia z najporządniejszego człowieka, że rad patrzeć na niedolę bliźniego choćby po to, by go pocieszać.

Odparłem:

– Szkoda, że nie zaczekali do św. Jana z tą piękną sobótką! Skierowałem się ku miastu.

– Więc mimo to chcesz wracać?

– Tak. Bądź zdrów, Jojot!

– A to dziwak z ciebie! Popędził szkapę.

Szedłem dalej, a raczej udawałem, że idę, aż do chwili kiedy wózek Jojota znikł na zakręcie drogi. Nie zdołałbym postąpić dziesięciu kroków i nogi uginały się pode mną. Opadłem na kamień przydrożny.

„Straciłem tedy wszystko – myślałem – nie tylko dom, ale także nadzieję zdobycia innego, gdyż nie zostało mi nic z oszczędności gromadzonych przez długie lata, grosz do grosza, w codziennym trudzie, który był mi równocześnie największą rozkoszą. Poszły z dymem zapisane na tych murach wspomnienia, cienie przeszłości spłonęły w ogniu jak żywe pochodnie. Ale utraciłem coś więcej jeszcze, bo wolność osobistą. Cóż teraz robić? Czy zamieszkać u któregoś z dzieci? Przecież przysięgłem sobie wedle sił unikać tej ostateczności, tego prawdziwego nieszczęścia. Kochają mnie i ja je kocham – to prawda! Ale każdy winien siedzieć w swoim gnieździe. Nic też dziwnego, że każdy ptak dba więcej o jaje, które sam zniósł, niż o skorupę tego, z którego się wykluł. Szanuje się rodziców – prawda. Ale pal sześć szacunek! To przyczyna wszelkiego zła: nie możesz bowiem wówczas rozmawiać z nimi na równi. Sam uczyniłem, co w mej mocy, by dzieci moje nie miały dla mnie szacunku, i powiodło mi się nadspodziewanie. Ale cokolwiek byś uczynił i choćby cię kochały, to dzieci traktują rodziców zawsze po trochu jak obcych. Przybywasz z krain, gdzie się nie narodziły, a nie poznasz okolic, dokąd zmierzają, jakżebyś się tedy mógł z nimi porozumieć? Krępujcie się sobą wzajem i złość w was

wzbiera. Przy tym, strasznie nawet wspomnieć, człowiek najbardziej kochany nie powinien wystawiać na próbę miłości swych bliskich. Jest to kuszenie Boga. Nie należy domagać się zbyt wielu rzeczy od rodzaju ludzkiego. Dzieci moje są dobre i nie mam żadnego powodu żalić się. Ale są lepsze jeszcze, kiedy nie mam potrzeby uciekać się do nich o pomoc. Mógłbym o tym rzec niejedno. Poza tym mam swą porcję ambicji i nie lubię odbierać pasztetu temu, komu go raz dałem. Zdawałoby się, że mówię: „Zapłać!” Niezarobiony kawałek chleba staje mi kością w gardle. Zdaje mi się, że widzę, jak liczą moje kęsy i łyki. Chcę wszystko zawdzięczać własnej pracy. Muszę być wolny, czuć się panem u siebie, wchodzić i wychodzić wedle upodobania. Jestem do niczego czując się upokorzonym. Ot, bieda staremu, źle być zawisłym od miłosierdzia swych bliskich, to gorsze jeszcze niż zależność od współobywateli, bo bliscy są do tego zmuszeni i człowiek nie wie nigdy, czy robią to ochotnie. Wolałbym zdechnąć niż zawadzać.”

Tak wzdychałem, dotknięty w swej dumie i poczuciu niezależności, po utracie wszystkiego, co kochałem: poszły z dymem wspomnienia przeszłości dobre i złe. Wiedziałem, że cokolwiek uczynię, bunt mój jest próżny. Trzeba mi będzie pójść jedyną drogą, jaka pozostała. Wyznaję, że zapomniałem wówczas o wszelkiej filozofii. Czuję się jak nieszczęsne drzewo powalone na ziemię i pocięte na sagi. Nagle dostrzegłem przezierające poprzez gałęzie drzew wieżyczki zamku Cuncy i przypomniałem sobie wszystkie rzeźby, które w ciągu lat dwudziestu pięciu wykończyłem dla właściciela, zacnego imć Pana Philberta. Straszny to był oryginał i nieraz się nań nazłościłem. Pewnego dnia kazał mi wyrzeźbić swe kochanki w strojach Ewy i siebie w stroju Adama, w zbrojowni zaś polecił nadać wszystkim jeleniom fizjonomie przypominające najdokładniej mężów oszukiwanych przez żony, znanych w okolicy. Śmiano się z tego długo. Ale trudno go było zadowolić. Skoro tylko skończyłem jedną rzecz, zamawiał zaraz inną, natomiast płacił bardzo rzadko. Mniejsza o to zresztą. Piękne rzeczy rzeźbione w drzewie kochał na równi z rzeźbionymi w ciele, a miłość tę objawiał niemal w ten sam sposób.

(I słusznie. Trzeba bowiem kochać dzieło sztuki tak, jak kocha się kochankę: całą namiętnością, duszą i ciałem.)

Ale jeśli nawet, łobuz, mi nie płacił, dziś przecież winienem mu ocalenie. W chwili zatonięcia wypływam tutaj, a chociaż drzewo przeszłości mej pożarł ogień, to owoce się dochowały w miejscu bezpiecznym od mrozu i żaru. Napadła mnie ogromna chęć wbić w nie zęby, by odzyskać ochotę do życia.

Niebawem znalazłem się w zamku. Znano mnie tu dobrze. Właściciela nie było, lecz podawszy za pozór konieczność wzięcia pomiarów dla wykonania nowych rzeźb, zacząłem przechadzać się po komnatach, gdzie mieszkały moje drogie dzieciątka. Nie widziałem ich od kilku już lat. Artysta czując się płodnym i płodząc nie myśli o tym, co stworzył, dopiero potem...

Ale dosyć rozważań. Imć Pan Philbert, gdy raz pewnego chciał obejrzeć swe rzeźby, zabronił mi wstępu śmiejąc się przy tym dziwnie. Nie wziąłem mu tego za złe. Wiedziałem, że jest postrzelony, a przy tym lubi kobiety. „Pewnie ma tam jakieś damulki” – pomyślałem sobie, będąc zaś pewien, że nie na moją żonę się zląkomił, zostawiłem go w spokoju. Zresztą z zachciankami możliwych nie ma żartów; ostrożność nigdy nie zawadzi. Mieszkańcy Cuncy nie wgłębiają się zbyt w pobudki swego pana: wiadomo powszechnie, że ma lekkiego bzika.

Wstępowałem na główne schody pełen radości, ale nie uszedłszy dziesięciu kroków stanąłem skamieniały niby żona Lota. Witki winorośli, grona, gałązki brzoskwini, zdobiące poręcz, wszystko było pocięte, pokrajane, zniszczone jakimś toporkiem czy nożem! Nie wierzyłem oczom i przesuwałem palcem po skaleczeniach, ranach, a z piersi mych wyrzywały się jęki. Szedłem dalej, drżąc na myśl, co zastanę w komnatach.

Zniszczenie przekraczało wszelkie wyobrażenie. W jadalni, w sypialni, w zbrojowni wszystkie figurynki mebli i boazerii były bez nosów, bez rąk, bez nóg, a na płaszczyznach skarbczyków i skrzyń oraz na obramieniu kominka i podstawach kolumn widniały głębokimi wcięciami poczynione napisy,

monogramy właściciela, sentencje głupkowane, różne daty świadczące, którego to dnia i godziny dokonane zostało dzieło zniszczenia – dzieło naprawdę herkulesowe.

W głębi głównej galerii moja precudna nimfa, oparta jednym kolaniem o kark lwicy, musiała służyć za cel, gdyż w brzuchu jej tkwiło mnóstwo kuł. A wszędzie, gdzie spojrzełem, widniały cięcia siekiery czy noża, dziury, plamy z atramentu i wina, wąsy wymalowane na twarzach kobiecych i sprośne facecje grubo nasmarowane.

Co tylko może wysmażyć głupota nudzącego się w swym zamku bogatego nicponia, wszystko to zwróciło się przeciw dziełom mych rąk i duszy. Gdybym go zastał, sądzę, że nie wyszedłby żywy. Jęczałem, płakałem, biłem czołem o ściany, przez długą chwilę nie mogłem mówić, a czułem tylko, że mi krew nabiega do głowy i oczy z orbit wychodzą. Po pewnym czasie wyrzuciłem nareszcie klątwę ze ściśniętego gardła. Czas był najwyższy, inaczej, kto wie, co by się ze mną stało.

Za pierwszą pośpieszyły inne. Rozwrzeszczałem się na dobre.

– Aa... psie jeden! – ryczałem. – Na tom do budy twej wpuścił moje piękne dziatki, byś je dręczył, kaleczył, gwałcił, kalał i obsikiwał? W jakimże to stanie widzę was, moje drogie, kochane dzieciątka, poczęte wśród radości? Wszakże pewny byłem, iż zostaniecie mymi spadkobiercami, uczyniłem was zdrowymi, silnymi, dałem wam pulchne ciała, wyposażyłem członkami jak się patrzy, bez żadnych usterek, zrobiłem was z drzewa, które trwać może i tysiąc lat. I cóż widzę? Oto odrapano was, poobrzynano, pokiereszowano z przodu, z tyłu, z góry, z dołu, na pośladkach, na piersiach, z wszystkich stron, tak że wyglądacie obskurnie, i pokraccie, niby banda starych rabusiów wracająca z wojny! Czyż ja to jestem ojcem całego tego batalionu Łazarzy? Mocny Boże, wysłuchaj mnie i udziel tej łaski (być może, prośba ma wyda Ci się zresztą zbyteczna), bym po śmierci nie poszedł do rajy, ale do piekła i stanął u pieca, w którym Lucyfer smaży dusze potępieńców, a to w celu obracania własnoręcznie z pieczołowitością wielką

rożna, na który nabity będzie morderca dzieci moich!

Właśnie doszedłem do tego miejsca, gdy stary lokaj Andoche, który mnie znał i lubił, przyszedł z prośbą, bym przestał boleć tak głośno.

– Czyż warto unosić się do tego stopnia z powodu kilku kawałków drzewa? – pocieszał mnie pocziwina popychając równocześnie z lekka ku wyjściu. – Cóż byś, majstrze, począł, gdybyś musiał, jak ja, żyć ciągle z tym wariatem? Czyż nie lepiej, że się zajmie owym drzewem, za które ci zresztą pewnie zapłacił, miast dręczyć biedne chrześcijańskie dusze, które mu nic nie zawiniły?

– Ach, mój Andoche, niechby ci trochę przetrzepał skórę! Chętnie przyjąłbym baty w zamian za poszanowanie tego drzewa, które w rękach moich nabrało życia. Człowiek jest niczym, dzieło jego jest świętością! Podwójny to morderca, kto niweczy ideę!

Byłbym mówił dłużej, ale spostrzegłem, że słuchacz mój nic nie rozumie. Czulem przy tym, że Andoche uważa mnie niemal za takiego samego wariata jak jego pan.

Zatrzymałem się w progu chcąc ostatnim spojrzeniem ogarnąć cały obraz owego pola bitwy – i nagie dostrzegłem śmieszność tego wszystkiego: moje biedne beznose bogi, na których wywarł swą wściekłość Attyla. Andoche spoglądał bezmyślnym, pełnym litości wzrokiem na mnie, który jak nierozumne zwierzę wydawałem ryki bóleści, tracąc na próżno ślinę i monologując do bezrozumnych słuchaczy... Fiuu! Gniew mój i żal spłonęły jak garść perzu. Roześmiałem! się osłupiałemu lokajowi prosto w nos i wyszedłem.

Znalazłszy się na gościńcu powiedziałem do siebie:

– Teraz już koniec. Straciłem wszystko! Tylko się kłaść do grobu. Zostały mi jeno skóra własna i kości. Tak, u diaska, prawda, ale i to coś warte. Wszak znacie, drodzy państwo, odpowiedź, jaką dał dowódca obleganej fortecy, gdy oblegający odgrażali się, że w razie dalszego oporu pozabijają ich dzieci: „Pozabijajcie! Posiadamy przy sobie narzędzia dla sporządzenia

innych!”

I ja mam swoje narzędzie, nikt mi go wydrzeć nie zdoła. Świat to jałowa pustynia, a tylko tu i ówdzie widnieje nieduże poletko obsiane przez nas, artystów. Bydło przychodzi, wyjada rośliny, depce nogami zagony, niweczy wszystko, bo bydło nic innego uczynić nie jest zdolne. A my bierzemy się na nowo do roboty i żniwo daje ciągle nowe plony. Mniejsza o kilka kłosów, w łonie ziemi trwa wieczysta siła, która nie dopuści do zatury. Jestem przyszłością, bo żyję tworzeniem, a nie tym, co było. A kiedy nadejdzie dzień, gdy siły ze mnie wyciekną, stracę wzrok i węch łakomy i stwardnieje mi obrotny język, gardziel, gdzie dziś spływa gładko wino, gdy osłabną mi ramiona i ustaną zręczne dłonie, i ochłodnie moja krzepkość, gdy stanę się już bardzo stary i krew ze mnie ujdzie, i zdrowy rozsądek... wtedy, mój Breugnon, koniec z tobą! Nie trap się więc teraz! Czymże bowiem jest Breugnon, który nie czuje, Breugnon, który nie tworzy, Breugnon, który się nie śmieje i nie krzesze ognia z czterech podków na raz? Znak to już będzie, że wyszedł na zawsze ze swoich zgrzebnych portek. Możecie je po nim spalić.

Skończywszy z przeszłością, wstałem i ruszyłem żywo ku miastu. Niebawem znalazłem się na grzbiecie wzgórz okalających Clamecy. Czułem się spokojny, nawet żwawy. Szedłem machając laską. Nagle patrzę, a tu biegnie ku mnie mały, jasnowłosy człowieczek i płacze głośno. Poznałem mego ucznia Robineta, zwanego Binet.

Smarkacz miał niespełna trzynaście lat i wcale nie odznaczał się pracowitością. W warsztacie śledził zazwyczaj lot much nie zwracając uwagi na robotę. Przy tym wolał przebywać poza warsztatem, wywracać kozły lub podglądać łydki dziewcząt przechodzących ulicą. Dwadzieścia razy dziennie musiałem go gromić. Ale zręczny był jak małpeczka, palce jego ruszały się błyskawicznie, tak że mógł zostać zdolnym artystą. Mimo wszystkich wad lubiłem jego szczery, otwarty pyszczek, drobne ząbki myszy, szczupłe policzki, chytre oczka i zadarty nosek. Wiedział, nicpoń, o

tym. Toteż mogłem do woli grozić pięścią i miotać pioruny. Dostrzegał zawsze uśmiech kryjący się w oku Jowisza. Gdy go zwymyślał, otrząsał się najspokojniej, nie biorąc sobie gróźb do serca, a za chwilę rozpoczynał na nowo psie figle. Był skończonym nicponiem.

Zdziwiłem się więc niepomału, że niby tryton tryska łzami ogromnymi jak gruszki, łzami płynącymi kaskadą z oczu i z nosa. Przybiegł, rzucił się na mnie, całował, gdzie tylko mógł sięgnąć. Zalał mnie łzami i ogłuszył beczeniem wprost cielejącym.

Nie wiedząc, o co idzie, spytałem:

– No, no, cóż ci to? Puśćże mnie! Trzeba wytrzeć nos, zanim się całuje...

Ale miast się uspokoić, trzymał się mnie dalej jak konar drzewa, a potem osunął mi się do kolan, do stóp i ryczał coraz głośniej. Uczułem niepokój.

– Kochany chłopcze – powiedziałem serdecznie – wstań z ziemi i powiedz, co masz na sercu!

Wzięłem go za ramię, podniosłem... no, no... wstał nareszcie. Patrząc, a tu jedno ramię owinięte brudną szmatą, przez którą przecieka krew. Ubranie w strzępach, a w dodatku brwi zupełnie opalone.

Zapomniawszy o swej sprawie pytam:

– Widzę, zrobiłeś znowu coś głupiego! Wzdychał długo.

– Ach, majstrze... takie mam zmartwienie! – wyjąkał.

Sadzam go przy sobie nad rowem i mówię:

– Gadajże wreszcie jak człowiek!

Nagle wrzasnął:

– Wszystko spalone!

I znowu łzy polały się strumieniem z jego oczu. Teraz zrozumiałem nareszcie, że moja strata do takiej go doprowadziła rozpacz, i wielka błogość nappełniła moje serce.

– Chłopcze, więc dlatego płaczesz? – pytam. Myśląc, że nie rozumiem, powtórzył:

– Warsztat spalony, cały warsztat!

– Wiem, wiem! Już się dowiedziałem! Co chwila mi to ktoś opowiada. Ha, trudno! Nieszczęście, i basta!

Spojrzał na mnie z widoczną ulgą.

– Więc żal ci klatki, mały czyżyku, przecież nie mogłeś w niej usiedzieć? Ej, mówiono mi, że wraz z innymi tańczyłeś wokoło ognia.

Nie wierzyłem w to sam.

– Kłamstwo! Bezczelne kłamstwo! Kto to powiedział? – wrzasnął na całe gardło. – Biłem, się z nimi! Uczyniliśmy obaj wszystko, cośmy tylko mogliby wstrzymać pożar, ale było nas tylko dwu. Cagnat (drugi uczeń) był bardzo chory, a wyskoczył z łóżka i mimo gorączki wybiegł na dwór i zasłonił sobą drzwi. Ale jakże zatrzymać stado rozjuszonych byków? Przeszli po nas, zgnetli, przydeptali, zdusili. Na próżno biliśmy i krzyczeli, szli jak woda, gdy otworzą śluzy. Cagnat zerwał się, pobiegł za nimi i prał po plecach drągiem. Mało go na śmierć nie zatłukli. Gdy on walczył, ja wśliznąłem się do płonącego warsztatu... Boże mocny, co za ogień! Wszystko naraz stanęło w płomieniach. Dym i języki czerwone wypełniały całe wnętrze. Płakałem, kaszlałem, zaczęło na mnie płonąć ubranie. Powiedziałem sobie: „Robin, upieczesz się we własnym tłuszczu!” Ano, zobaczymy! Wziąłem rozmach i... hop! Przeskoczyłem ogień niby sobótkę świętojańską i spadłem na kupę wiórów. Czuję, jak palą się na mnie spodnie i wędzi się skóra. Uderzyłem głową w ścianę i uczułem taki zawrót, że przez chwilę leżałem bez ruchu. Słyszałem wokoło syk i trzask ognia, i śpiew szaleńców tańczących wokoło domu. Próbuję wstać, potykam się, wreszcie spostrzegam waszą, majstrze, ulubioną św. Magdalenę, malutką, drobniutką, nagusieńką, tylko przysłoniętą trochę włosami, tłuściutką i taką śliczną. Płomień oblizywał ją już. Krzyknąłem: „Czekaj!” Nie wiedząc już, co czynię, przyskoczyłem, rękami zgasilem płonące jej stopki, objąłem ją ramionami... dalibóg, całowałem ją, ściskałem i mówiłem z płaczem: „Nie dam cię! Nie bój się, nie spalisz się, daję ci na to słowo! Ale ty mi także dopomóż, Madelon, a uratujemy się oboje!” Nie było czasu do stracenia, bo

właśnie... bum!... spadł pułap. Nie mogłem, wydostać się już wtedy, którą wszedłem. Ale opodal ujrzałem okrągłe okno wychodzące na rzekę. Wybiłem pięścią szybę i wylazłem głową naprzód. Akurat było miejsca na nas dwoje. Bums! Spadłem prosto w wodę i uderzyłem głową o dno Beuvronu. Na szczęście było miętko, więc tylko napchało mi się do gęby mułu, ale Magdalena wyszła cała z przygody. Ze mną było trochę gorzej. Umorusałem się strasznie, opilem się wody, tak że do teraz zgrzyta mi piasek w zębach. Zresztą nie ma co dalej opowiadać, jesteśmy oboje cali! Przebaczcie mi, majstrze, przebaczcie, z duszy serca chciałem uratować warsztat, ale nie mogłem!

Zaczął rozwijać strzepy kamizelki, wyjął Madelon i pokazał mi jej nadpalone stopki. Uśmiechał się przy tym z dziwną, niewinną kokieterią. A mnie ogarnęło takie wzruszenie, że się rozplakałem. Czego dokazać nie mogła śmierć żony, choroba Glodzi, katastrofa majątkowa i zniszczenie mych rzeźb, tego dokazał czyn tego malca.

Całowałem długo Robineta i Magdaleny, a potem spytałem:

– A Cagnat?

– Cagnat umarł ze zmartwienia!

Ukląkłem na gościńcu, ucałowałem ziemię i powiedziałem:

– Dziękuję ci, chłopcze!

Spojrzałem na malca tulącego figurkę w poranionych ramionach i wskazując nań palcem powiedziałem niebiosom:

– Oto najcudniejsze z moich dzieł: wyrzeźbiłem te dusze. Nikt mi ich nie zabierze. Niech płonie drzewo. Dusza należy do mnie.

X
ROZRUCHY

KONIEC SIERPNI

Gdy minęło wzruszenie, powiedziałem Robinetowi:

– Dość tego! Co z gęby wypadło, to i przypadło. Zastanówmy się nad tym, co dalej czynić należy.

Kazałem mu opowiedzieć zwięźle i jasno, co zaszło w mieście w czasie mej nieobecności, to jest od dwóch czy trzech tygodni. Historia wczorajszego dnia to dzieje starożytne, rzecz główna wiedzieć, jaka jest sytuacja danego momentu. Dowiedziałem się, że nad Clamecy zawisła klęska zarazy i strachu, a raczej niemal wyłącznie strachu, bo zaraza widocznie szukała sobie już innego terenu operacyjnego. Ustępowała teraz miejsca sępom-ścierwożercom zlatującym się zewsząd, przyciąganym odorem zgnilizny. Inne ptactwo, przerażone, zgłodniałe, nie broniło im wstępu albo, biczem strachu smagane, czyniło to samo. Wagabundy i draby wszelkiego rodzaju opanowali wszystko i wydzielali zarazie łup ze szponów. Prawa przestały istnieć, a ci, którym powierzono ich straż, porozbiegali się pilnować swych pól i winnic. Z czterech naszych ławników jeden zmarł, dwu uciekło, a prokurator wycofał się na inny odcinek frontu. Kasztelan zamku był to człowiek dzielny, ale stary i podagryczny, w dodatku stracił jedną rękę, nogi miał opuchłe, a mózg godny cielęcina. Pozostał tylko jeden radny: Racquin, ale znalazłszy się w obliczu rozpetanego tłumu, przerażony, a także powodowany chytrą, zamiast stawić czoło uznał za stosowne ustąpić i nawet przyłączyć się do złoczyńców. Za jednym zachodem mógł teraz zaspokoić siwe dawne urazy kierując podpalaczy w stronę tych, których szczęście kłuło go w oczy. Mścił się, to rzecz jasna, znałem go dobrze, i ten fakt objaśniał dostatecznie, dlaczego mój dom pierwszy padł ofiarą. Spytałem malca:

– Co robią, mieszczanie?

– Czekają z otwartymi gębami, co los przyniesie – odparł Binet – to trzoda owiec. Siedzą w domu, spodziewając się przyjscia rzeźnika. Zabrakło

pasterzy i psów, tedy nie wiedzą, co czynić.

– No, drogi chłopcze, a ja to nie pies? Cóż ty na to? Czyż sądzisz, że mi stępiąły zęby? Spróbujemy!

– Majstrze! Jeden pies nie da rady!

– Spróbuję, spróbuję!

– Oni was złapią w pazury, majsterku.

– To i cóż? Nie mam nic, kpię sobie z wszystkich. Jakże uczeszą diabła, który wyłysiał ze złości... ha?

Zaczął tańczyć.

– Ha, ha, ha! a to ci frajda! tra-ra-ra! tra-ra-ra! Hop siup, hop siup!

Poparzonymi rękami machał w powietrzu, brał się pod boki i tańczył jak wariat. Zrobiłem surową minę.

– Małpo szkaradna, czyż teraz czas tańczyć, skakać z drzewa na drzewo? Cicho bądź i słuchaj uważnie, co powiem.

Słuchał z roziskrzonym wzrokiem.

– Nie będziesz się śmiał za chwilę. Oświadczam, że natychmiast udaję się, i to sam jeden, do Clamecy.

– A ja?

– Ty pójdiesz jako mój ambasador do Dornecy i powiesz magistrowi Nicole, jednemu z naszych ławników, że jutro dobiorą się złodzieje do jego piwnicy. Jest to człowiek rozumny, ma dobre serce, jeszcze lepsze nogi i kocha swoje mienie bardziej niż własną skórę. Stamtąd posuniesz się aż do Sardy i powiesz panu prokuratorowi Wilhelmowi Courtignon, że dom jego zostanie tej nocy niewątpliwie spalony, zdemolowany, okradziony itd., jeśli natychmiast nie przybędzie. Nie potrzebuję ci dyktować, co masz mówić, potrafisz łączyć sam, prawda?

Malec poskrobał się za uchem i powiedział:

– Naturalnie, to rzecz łatwa, ale nie chcę was opuszczać, majstrze.

– Czy się pytałem, co chcesz, a czego nie chcesz? Ja tak chcę, i basta! Twoja rzecz słuchać.

Zaczął się wykręcać.

– Dość tego! – krzyknąłem. Niepokoiło go, co się ze mną stanie.

– Nie zabraniam ci przecież pośpieszyć się. Załatw sprawę i wracaj. Najlepszy sposób pomocy to sprowadzić posiłki.

– Lecę galopem, jak koń wyścigowy! – wrzasnął malec. – Na nogach, na głowie, na brzuchu będę leciał i sprowadzę Courtignona i Nicole’a, choćbym miał im wydrzeć wszystkie włosy z brody.

Ruszył w podskokach, ale zatrzymał się i krzyknął:

– Majstrze! Powiedzcie mi przynajmniej, co chcecie uczynić? Przybrawszy poważną, tajemniczą minę odparłem:

– Coś niezwykłego!

Pojęcia najmniejszego nie miałem w tej chwili, jak się wziąć do rzeczy.

*

Przybyłem do miasta około ósmej wieczorem. Słońce zaszło, a złote chmury snuły się jeszcze po zachodnim niebie. Noc się ledwo rozpoczęła. Cudna noc, ale nie było komu rozkoszować się nią. U bram nie napotkałem ani jednego strażnika, ani jednego włóczęgi nawet. Wszedłem jak do otwartej stodoły. W głównej ulicy napotkałem kota gryzącego kromkę chleba; gdy mnie ujrzał, najeżył się, parsknął, a potem uciekł. Domy pozamykały oczy, stały oślepe, drętwe, zgasłe. Ani jeden dźwięk głosu nie dolatywał znikąd. – Wszyscy pomarli! Przybyłem za późno! – powiedziałem do siebie.

Wtem usłyszałem szelest za okiennicami. Śledzono uchem odgłos moich kroków. Zastukałem tedy:

– Otwierać!

Nikt się nie poruszał. Podszedłem do drugiego domu. Stukałem ręką, kolanem, laską. Nie otwarto. Posłyszałem tylko wewnątrz jakby chrobot myszy.

Teraz zrozumiałem wszystko.

– Aha! Siedzą jak świstaki w jamach! Czekaście, już ja was wykurzę,

głuptaki! Kroćset diabłów!

Idę do księgarni i walę w drzwi, niby w bęben, a przy tym trąbię:

– Hejże, stary ośle, przyjacielu Denisie Saulsoy, otwieraj! Inaczej połamię wszystko w kawałki! Otwieraj, bałwanie, to ja, Colas Breugnon!

Ledwo te słowa przebrzmiały, nagle, jakby dotknięte różdżką czarodziejską, rozwarły się wszystkie okiennice domów, potem okna i oto ujrzałem, jak długa ulica, twarz przy twarzy, przerażone fizjonomie mych kochanych mieszczuchów. Tkwiły przy sobie rzędem, niby jabłuszka na półce piwnicy.

Patrzyli na mnie, patrzyli, patrzyli... Nie wiedziałem, że jestem tak piękny; poklepałem się tedy po brzuchu. Na ten widok twarze rozjaśniły się nagle, a tu i ówdzie błysnął nawet uśmiech.

„Kochają mnie te bałwany” – pomyślałem nie bacząc, że nie tyle miłość co obecność moja w tej chwili dodała im otuchy i rozpogodziła oblicza.

Zaczęła się rozmowa Breugnona z gęsiami. Gęsi gęgały wszystkie razem, a ja musiałem sam jeden odpowiadać.

– Skąd wracasz? Coś robił? Coś widział? Co zamierzasz? Jak udało ci się dostać do miasta? Którędy można uciekać?

– Hola! – krzyknąłem. – Dość tego! Widzę, że języków wam nie powyrywano. To dobrze, ale szkoda, że wam dusze powpadały do majtek. Czegóż siedzicie w dziurach, wyjdźcie na świat, noc śliczna! Czy wam pokradziono portki i spódnice?

Miast odpowiedzi pytali:

– Breugnon, powiedz, kogo spotkałeś na ulicach?

– Po cóż wam będę opowiadał, skoro siedzicie wszyscy w gniazdach?

– Pewnie spotkałeś złoczyńców!

– Złoczyńców?

– Rabują i palą...

– Gdzież to?...

– W Bélyant!

– Więc chodźmy ich schwytać!
– Wolimy strzec domów.
– Najlepiej strzeże domu ten, kto broni domu bliźniego.
– Każdemu bliższy własny...
– Czyli jak mówi przysłowie: Kocham mego sąsiada, ale niech tam przepada! Głuptaki! Idziecie na rękę złoczyńcom. Gdy skończą łupić tamtych, przyjdą do was! Nikogo to nie mimie!

– Pan Racquin powiedział, że to niebezpieczne. Najlepiej siedzieć spokojnie w domu, brać udział w paleniu domów zarażonych i czekać, aż zostanie przywrócony ład.

– Któż go przywróci?

– Księżę de Nevers.

– Oho, dużo przedtem wody upłynie. Ma on swoje sprawy na głowie, a tymczasem całe miasto spłonie. Dalejże, dzieci, wyłaźcie z jam. Każdy powinien bronić własnej skóry, i to w kupie!

– Ależ ich jest dużo! Mają broń!

– Skąd wiecie? Strach ma wielkie oczy!

– Nie ma kto nami kierować!

– Kierujcież sobą sami!

Zaczęli gadać, rozprawiać z okna do okna, niby ptaki w koronie drzewa. Kłócili się, ale nikt nie ruszył z miejsca. To mnie zniecierpliwiło.

– Więc zostawicie mnie przez całą noc na ulicy, z nosem zadartym w górę i przekrzywionym karkiem? Nie przyszedłem po to, by śpiewać serenadę i słuchać szczękania waszych zębów. Otwórzcież, wpuśćcie mnie, inaczej, dalibóg, podłożę ogień pod pierwszy lepszy dom. Dalejże! Niech przyjdą tu koguty! Kury starczą na obronę gniazd!

Rozległy się klątwy i śmiechy, potem uchyliły się jedne drzwi, potem drugie, ukazał się jakiś nos, węszył, za nosem wylazło całe zwierzę. A kiedy zobaczono pierwszego barana na polu, wysypała się cała trzódka. Każdy oglądał mnie od stóp do głów.

- Czyś całkiem zdrów?
- Zdrów jestem jak głowa kapusty!
- I nikt cię nie zaczepił po drodze?
- Tylko sroka! Krzyczała z drzewa!

Widząc, że uszedł jakoś zarazie, odetchnęli i polubili mnie tym bardziej. Powodzenie budzi sympatię.

– Przypatrzcież mi się dobrze! – powiedziałem. – Jestem w komplecie, nie brak mi ani jednego kawałka! Może weźmiecie okulary... No, dość tego, będziecie widzieli lepiej jutro, za dnia. A teraz dość gadania... Gdzie możemy się naradzić?

– U mnie w kuźni! – zaproponował Gangnot. W kuźni niskiej i dusznej rozłożyliśmy się na ziemi udeptanej kopytami koni. Zamknięto drzwi, postawiono lampkę i zaraz ogromne cienie poczęły skakać po czarnych ścianach i pułapie. Zrazu wszyscy milczeli, potem wszyscy zaczęli mówić na raz. Gangnot ujął młot i trzasnął w kowadło. Nastąpiła znowu cisza. Skorzystałem z niej i powiedziałem:

– Szczędźmy słów. Znam całą historię. Złoczyńcy są wśród nas; wyrzucimy ich tedy precz!

– Są silni. Flisacy i holownicy drzewa są po ich stronie.

– Flisacy – odparłem – to to samo co złoczyńcy. Pożądamy cudzego dobra. Widząc, że drudzy piją, czują sami pragnienie! Nie wódź nas na pokuszenie... Jeśli zezwolicie na rabunek, to bądźcie pewni, rozwielną się do tego stopnia, iż wszyscy zejdzicie na dziady. Ani jeden się nie uchroni! Uczyńmy rzecz mądrą, przyłożmy siekiere do korzenia zła!

– Ależ pan Racquin, jedyny radny, jaki pozostał, zabrania mieszać się do tego! A wszakże on jeden daje dziś rękojmię porządku i bezpieczeństwa...

– Czy istnieje porządek i bezpieczeństwo?

– Podobno...

– Tak czy nie?

– Hm, właściwie to nie!

– Tedy my obejmujemy władzę!
– Pan Racquin obiecał, że jeśli się zachowamy spokojnie, to zło nas ominie. Rozruchy zostaną ograniczone do przedmieść.
– Skądże on o tym wie?
– Musiał rad nierad zawrzeć umowę ze złoczyńcami.
– Ależ taki fakt to zbrodnia!
– Powiada, że uczynił to, aby uspić ich czujność...
– Ich czujność albo waszą czujność. Ha, ha! Waszą, cymbały, waszą!
Gangnot huknął znowu młotem w kowadło. To był jego sposób zabierania głosu.

– Breugnon mówi prawdę! – oświadczył.
Wszyscy zamilkli zawstydzeni, wściekli i przerażeni, a Denis Saulsoy wymruczał półgłosem:

– Gdyby człek śmiał mówić, co myśli... ho, ho, ho!
– Czemuż nie gadasz? Jesteśmy w kole przyjaciół. Czegóż tu się obawiasz?

– Hm, ściany mają uszy!
– Nie jest tak źle! Gangnot, mój drogi, weź do garści młot i stań pod drzwiami. Ktokolwiek chciałby tu wejść lub stąd wyjść przed czasem, palnij go w sam brzuch. Czy mury mają uszy, by szpiegować, czy nie, to zaręczam, że nie starczy im języka, by denuncjować. Wyjdziemy stąd dopiero po uchwale jako władza wykonawcza i nas będzie słuchało całe miasto! Kto piśnie słowo, będzie wisiał. No, gadajcież! Kto milczy, ten jest zdrajcą!

Uczynił się straszliwy hałas. Wybuchła nagle cała nienawiść, cały tłumiony strach. Każdy potrząsał pięścią i darł się co sił:

– Ten łajdak Racquin trzyma nas w łapie! Judasz śmierdzący, sprzedał nas i mienie nasze złodziejom i podpalaczom. Ale cóż robić? Nie ma rady. Ma władzę, siłę, policję!

Spytałem:

– Gdzież jego gniazdeczko?

– W ratuszu. Spędza tam dni i noce, dla większego bezpieczeństwa otoczył się bandą nicponiów, złodziei i kryminalistów. Czuwają nad nim, a może nawet pilnują go, by nie uciekł. Któż tam wie?

– Tedy jest więźniem? Doskonale! Pójdziemy przede wszystkim uwolnić go! Gangnot, otwórz drzwi!

Nie mogli się jeszcze zdecydować.

– Czegóż czekacie? – spytałem.

– To sprawa gardłowa. Nie boimy się, ale zważ no, Breugnon, że właściwie nie mamy prawa. On jest przedstawicielem władzy, a występować przeciw władzy – to znaczy brać na siebie wielką...

– Od-po-wie-dzial-ność! Czy tak? Dobrze! Oświadczam, że całą odpowiedzialność biorę na siebie. Uspokój się, Denis. Gdy widzę przed sobą zbrojnego, zaczynam od rozbicia mu czaszki, a potem dopiero pytam, jak się zwie: prokurator czy papież. Tak być powinno i tak się stanie! Gdy bezład rządzi, rząd prawdziwy spocząć musi w rękach uciemionych!

Gangnot rzekł:

– Idę z tobą!

Wziął w potężną łapę swój młot ogromny, oparł go o ramię i ruszył przodem, wysoki, czarny, poważny, niby maszerująca wieża. Inni tłumnie pośpieszyli za nim, skryci za bastionem jego olbrzymiego ciała. Każdy pobiegł jeszcze do domu po strzelbę, kuszę, młot, kosę lub siekierę. Rozpierzchli się, a mnie napadły wątpliwości, czy wrócą. Wrócili, wprawdzie przerzedzeni trochę, ale zbrojni i zdecydowani.

Bardzo nam to było na rękę, żeśmy zastali drzwi ratusza otwarte. Pasterze byli tak pewni głupoty swych owieczek, tak dalecy byli od przypuszczenia, że oprą się one rozpoczętej już strzyży wełny, iż spali najspokojniej snem niewiniątek, podjadłszy przedtem do syta.

Ofensywa nasza, przyznając szczerze, nie miała zgoła cech bohaterstwa. Wystarczyło po prostu wybrać pisklęta z gniazdek. Wyciągnęliśmy wszystkich wprost z łóżek. Byli porozbierani niemal do naga, niby króliki, z

których zdarto skórę.

Racquin był to sobie człowieczek tłuściutki, różowiutki, na czole miał poduszczeni słoniny, na karku cały poleć, oczęta zaś słodziutkie połyskiwały zgoła niegłupio. Od pierwszego momentu wiedział, o co idzie. Mignęła mu w oczach błyskawica strachu, ale się opanował i głosem władczyim spytał, po cośmy przyszli napastując dom i naruszając prawo.

– Przyszliśmy cię sądzić, obwiesiu! – powiedziałem cichutko. Oburzył się, zaczął kląć. Saulsoy rzekł mu wówczas spokojnie:

– Panie Racquin, nie groź pan. Jesteś oskarżony. Przychodzimy, byś zdał sprawę z zarządu miastem. Broń się, jeśli możesz!

Natychmiast zmienił ton.

– Drodzy współobywatele! – powiedział słodko. – Nie pojmuję, czego sobie życzyacie! Komuż się stała krzywda? Czyż nie pozostałem w mieście narażając własne życie, a to dla waszego dobra? Wszyscy uciekli, tylko ja jeden stawiam czoło zarazie i rozruchom. Cóż mi więc zarzucacie? Dlaczego przypisujecie mi jakąś winę miast okazać uznanie?

Rzekłem mu:

– Wiadomo, że chytry lekarz jątrzy ranę, bo z niej żyje. To samo czynisz ty, oprawco miasta. Podniecasz rozruchy, żywisz się zarazą, porozumiewasz się ze zbójcami, palisz nasze domy, wydajesz na łup tych, których ci bronić przystało, a szczujesz na nich tych, których zwalczać trzeba. Powiedz nam tedy, zdrajco, czy przez chciwość zysku, czy ze strachu oddajesz się temu haniebnemu procederowi! Powiedz, jaki ci mamy napis zawiesić na szyi? Czy taki: „Oto człowiek, który zaprzedał zbójom rodzinne miasto za trzydzieści srebrników” – czy taki: „Oto radny miasta, który salwując własną głowę oddał głowy obywateli pod topór”?! Gadaj!

Wpadł w złość i krzyknął:

– Czynię, com czynić winien! Mam władzę! Palę domy nawiedzone zarazą, gdyż tak mówi prawo!

– Znaczysz krzyżem zarazy domy tych obywateli, którzy nie trzymają z

tobą! Kto chce psa uderzyć, łatwo znajdzie kij! Ha, ha! Więc pewnie pozwalasz także rabować domy, by zwalczać zarazę?

– Nie mogę temu zapobiec! Zresztą złoczyńcy rabując domy zapowietrzane, zarażają się i giną. Stąd podwójna korzyść, bo się pozbywam tej hołoty.

– Genialny wynalazek! Jeśli tak dalej pójdzie, to zostaniesz królem na zgliszczach miasta, co? Wybornie! Szczęnie choroba i szczęnie chory, a sam lekarz zostanie i schowa zysk za pazuchę. Nie uznajemy twej metody, mój Racquin! Od tej chwili obejmujemy sami opiekę nad miastem, a ponadto zaopiekujemy się tobą, by cię nie spotkał jaki wypadek, aż do czasu, kiedy zostaniesz wynagrodzony...

– Piękną tablicą pamiątkową na grobie! – dokończył Gagnot.

Jakby ktoś rzucił kość między psy, wszyscy zaczęli się cisnąć do Racquina z wrzaskiem nieludzkim:

– Pogrzebać go żywcem! Podpalacz! Zdrajca! Do grobu! Do grobu!

Wyrwał się i uciekł do alkowy. Tam, oparty o mur, blady, szczyrzył zęby gotów gryźć. Powstrzymałem sforę:

– Czekaście! Ja to załatwię!

Nędznik szczykał zębami ze strachu i zimna. Był nagi. Uczułem litość i powiedziałem:

– Wdziewaj portki. Dość mamy widoku twego zadka!

Śmiech się rozległ donośny. Korzystając z momentu zaapelowałem do rozsądku obywateli, a Racquin tymczasem ubierał się rzucając złe spojrzenia. Uczułem, że niebezpieczeństwo nie jest już tak bezpośrednie, więc ubrawszy się nabrał odwagi i zaczął krzyczeć. Nazwał nas buntownikami i zapowiedział, że będziemy oskarżeni o zbrodnię obrazy urzędnika. Odpowiedziałem:

– Nie jesteś urzędnikiem, zbójcu. Wypędzam cię z urzędu!

Teraz wściekłość zwróciła się przeciwko mnie. Żądza zemsty wzięła górę nad rozsądkiem. Powiedział, że mnie zna, że ja jestem przywódcą

buntowników i że na moją głowę spadnie odpowiedzialność. Wymyślał mi ostatnimi słowy i pluł na mnie.

– Czy go ubić? – spytał Gangnot.

– Sprytny jesteś, Racquin – powiedziałem. – Wiesz dobrze, że natychmiast mogę cię zakatrupić, ale nie uczynię tego, gdyż myślanoby, że się mszczę za spalenie domu. Jednak należy ci się stryczek. Ale ten stryczek założy ci kto inny na szyję. Zaczekaj troszkę. Tymczasem mamy cię w rączkach, składamy z urzędu i zaczynamy rządzić sami.

Wybełkotał:

– Wiesz chyba, Breugnon, czym to pachnie! Odparłem:

– Wiem, skróceniem o głowę! Zaryzykuję tedy głowę własną za głowy obywateli. Zamknięto go w więzieniu. Zajął miejsce po wypuszczonym przez nas starym policjancie, którego kilka dni przedtem wtrącił do lochu, ponieważ nie chciał wykonywać jego łajdackich rozkazów. Zarówno woźni, jak i odźwierni zatrudnieni w ratuszu mówili nam – kiedy zamach został już dokonany – że postąpiliśmy słusznie, bowiem Racquin był zdrajcą. Łatwo im teraz gadać!

*

Do tej pory nasz plan rozwijał się i posuwał tak gładko jak hebel po suchuteńkiej, wolnej od sęków desce orzechowej. Byłem tym wprost zdziwiony i pytałem siebie samego: „Gdzież są właściwie złoczyńcy?”

Ale w tej chwili rozległy się okrzyki:

– Do broni! Do broni!

Rabowano gdzieś. Zbiegliśmy na ulicę i tam jakiś zadyszany człowiek powiedział nam, że banda złodziei podpala i rabuje składy Piotra Poullard w Betlejemie, tuż za bramą Lourdeau.

Rzekłem do współobywateli:

– Może byśmy im zagrali do tańca?

Pobiegliśmy do Mirandoli. Z terasy pałacowej widać było dolną część miasta, i właśnie od tej strony dolatywał zgiełk i wrzawa. Trąba z wieży Św.

Marcina grzmiała na trwogę.

– Przyjaciele, trzeba nam będzie wleźć do tego pieca, nie ma innej rady! Będzie trochę ciepło. Czyście gotowi? Ale przede wszystkim potrzeba dowódcy! Czy chcesz objąć komendę, Saulsoy?

– Nie! Nie! Nie! – zawołał odskakując trzy kroki w tył. – Nie chcę! Nie umiem! Nie znam się na tym! Wystarczy, że odbywam swoją wartość ze starym muszkietem. Uczynię, co trzeba, ale komenda? Broń Boże! Nigdy nie umiałem prędko się decydować!

– Więc kto się zgłasza?

Nikt się nie odezwał. „Znam ja was, ptaszki – pomyślałem – maszerować, gadać, to jeszcze jakoś idzie, ale gdy trzeba coś czynić, nie ma nikogo! Przechytrzy taki mieszczuch swoje życie, sto razy będzie macał, zastanawiał się a targował, zanim kupi towar, aż wreszcie okazja mija, i tyle ją widział! Ot, tak zawsze bywa z mieszczuchem.” Wyciągam przeto rękę:

– Jeżeli nikt nie chce, tedy ja obejmuję komendę! Powiedzieli chórem:

– Zgoda!

– Ale musi mnie każdy słuchać bez gadania. Inaczej diabli nas wezmą. Do rana tedy jestem wyłącznym panem sytuacji. Jutro będziecie mnie sądzić, zgoda?

– Zgoda! – powtórzyli.

Zeszliśmy ze wzgórza. Szedłem na przedzie, po lewej miałem Gagnota, po prawej Bardeta, herolda miejskiego z bębniem. U samego początku przedmieścia natknęliśmy się na rozbawiony tłum, który naiwnie, bez wszelkiej złośliwości dążył ku miejscu, gdzie rabowano. Szli jakby na uroczysty obchód. Wiele kobiet niosło koszyki, niby na targ...

Ludzie zatrzymywali się i patrzyli na nasz oddział, rozstępowano się z wielką uprzejmością. Nikt nie wiedział, co to znaczy, i wielu przyłączyło się maszerując w takt w ostatnim szeregu. Jeden z takich wolontariuszów niósł papierowy lampion ze świeczką płonąca w środku: był to fryzjer Perruche. Zbliżył lampion do mego nosa i poznając mnie zawołał:

– To ty, Breugnon, chłopcze kochany! Wróciłeś, to doskonale, właśnie jest sposobność popicia razem!

– Jest na wszystko czas właściwy, mój Perruche! Popijemy jutro!

– Postarzałeś się, widzę, Colasie! Pragnienie nie uznaje przepisanej pory. Zresztą do jutra wino będzie już wypite. Ot, właśnie otwierają beczki! Spieszmy się! Czyżbyś stracił gust do wina?

– Do kradzionego wina nigdy gustu nie miałem!

– Kradzione? Przeciwnie, uratowane! Gdy dom płonie, należy przecież ratować dobre i smaczne rzeczy!

Odsunąłem go na bok.

– Złodzieju! – warknąłem.

– Złodzieju! – powtórzyli Gangnot, Bardet, Saulsoy i inni. I przeszliśmy mimo niego. Stał chwilę jak skamieniały, potem usłyszałem jego klątwy i pogróżki i obejrzawszy się spostrzegłem, że biegnie potrząsając pięścią. Gdy nas dogonił, zamilkł nagle i maszerował w szeregu.

Doszedłszy do brzegu Yonne'y stanęliśmy u przyczółka mostu, ścisk panował taki, że nie sposób było przejść. Kazałem bębnić. Pierwsze szeregi tłumu rozstały się bezwiednie. Wbiliśmy się klinem i utknęli w cizbie. Spostrzegłem dwu flisaków znanych mi dobrze: Joachima z Kalabrii zwanego „Królem” i Gadina zwanego „Gueurlu”.

– Cóż, majsterku Breugnon? – spytał mnie Joachim. – Cóż tu robisz? A taki poważny, ho, ho, uzbrojony... phi! Czyż to wybierasz się na wojnę?

– Zgadłeś, Kalabryjczyku. Właśnie jestem komendantem Clamecy i będę go bronił przed wrogami.

– Wrogami? Czyś oszalał? Któż jest tym wrogiem?

– Podpalacze!

– I cóż cię to obchodzi? Wszakże twoja chałupa już spalona! Co prawda, przyznajemy, bardzo nam żal, zaszła omyłka, nie należało palić twego domu! Ale Poullard, ten piernik, ten drab utuczony naszym potem, ten rabuś, który pyszni się wełną zdartą z naszej skóry, a obdarłszy nas udaje

moralnego i pogardza biedakami... o, musi on dzisiaj beknąć. Kto go okradnie, ten pójdzie prosto do nieba po śmierci. Nie wtrącaj się więc do nas. Co ci do tego? Nie musisz przecie sam grabić. Ale przeszkadzać innym? Wszak nic nie mamy do stracenia, a zdobycz ciśnie się do rąk.

Chciałem z nim pogadać przed użyciem przemocy.

– Kalabryjczyku, a gdzie honor?

– Gwiżdżę na honor! – zapiał Gueurlu. – Mam gdzieś honor. Alboż honor to dobre wino czy smaczne żarcie? Kto wie, co z nami będzie jutro. Co z nas zostanie po śmierci? Nic. Kto o nas pomyśli? Nikt. Honor to dobre dla bogaczy, którym stawiają nagrobki z napisami. Cóż zostanie z honoru nędzara we wspólnym grobie? Wrzucą nas tam jak odpadki z ryb. Kto by baczył, które z nich lepiej czy gorzej pachną.

Nie odpowiadając Gueurlu odezwałem się do Joachima:

– Może każdy z nas niewiele znaczy, królu Kalabrii, ale wszyscy razem więzi – to już nie żarty. Gdy minie sława wielkich rodów, gdy przeminą ich nazwiska, wówczas pozostanie jeszcze pamięć dzielnych flisaków z Clamecy; w historii tego miasta przetrwają jako najlepsi jego synowie o twardych dłoniach i głowach tęgich jak pięści. Jakże straszną byłoby rzeczą, by właśnie tych budowniczych nazwać miano kiedyś podpalaczami i złodziejami!

– Gwiżdżę na to! – wrzasnął Gueurlu. Ale Król krzyknął spluwając:

– Gwizdaj sobie, ścierwo! Breugnon mówi prawdę! Nie ścierpię myśli tak ohydnej. Na świętego Mikołaja, tego o nas nikt nie powie! Honor nie jest wyłącznym prawem bogaczy. Te siry czy messiry^[53] niewarte żadnego z nas!

[53] Sir, messire – tytuły szlacheckie.

– Ee, nie ma co się krępować! Czy oni sobie robią jakieś skrupuły? Trudno znaleźć większych drabów niż książęta i diuki. Weźmy na przykład Kondeusza^[54] lub grubasa d’Epernon^[55], poplecznika Włoszki, dalej księcia Soissons^[56], a wreszcie choćby naszego Neversa. Czyż nie nadziewiają się do pęknięcia milionami, niby świnie kasztanami? A kiedy zginął nasz Henryk, to przecież wszyscy, jak byli, rzucili się kupą i rozkradli skarb państwa. Oto macie honor magnatów! Tfu! Więc dlaczegoż my mamy być gorsi?

[54] Kondeusz (1588-1646) – Henryk II z bocznej linii Bourbonów, intryguje przeciw dworowi; w walce z protestantami odznaczył się okrucieństwem.

[55] Epernon Jan Ludwik (1554-1642) – zwolennik powierzenia rządów Marii Medycejskiej w okresie małoletniości Ludwika XIV.

[56] Soissons Karol de Bourbon (1588-1612) – kolejno zwolennik Ligi, Henryka III i Henryka IV; po śmierci tego króla został gubernatorem Normandii i otrzymał znaczną pensję.

Kalabryjczyk zaklął:

– Czekajcie! Jeszcze przyjdzie na nich kryska! Henryk się zjawi, wyjdzie z grobu i powyrzyna ich jak świnie, albo nie, lepiej my zrobimy z nimi porządek: nadziawszy złotem, niby prosię kluskami, upieczemy ich na wolnym ogniu. Tak ukarzymy kanalie, to wolno. Lecz nie wolno nam pod żadnym warunkiem naśladować ich łajdactw. Powiedziałem już i powtarzam, że flisak ma więcej honoru w pięcie niż taki rozbójnik w całym sercu.

– Tedy, Królu drogi, przyłącz się do nas! – zawołałem.

– Dobrze. I Gueurlu pójdzie z nami!
– Nie, nie, ja nie pójdę! – wrzasnął Gueurlu.
– Widzisz rzekę? – spytał Król. – Pójdziesz tam z nami razem albo sam...
do wody. Marsz, naprzód! Heej... rozstąpić się! – wrzasnął w tłum. – Idzie król Kalabrii, kiełbaśniki zatracone! Z drogi!

Uciekano przed nim, bo walił w prawo i lewo sękatymi drągiem, my zaś sunęliśmy za nim, niby płotki za potężnym szczupakiem. Złoczyńcy byli zupełnie pijani, nie budziło to żadnej wątpliwości. Każda sprawa ma swoje miejsce: argumenty są najpierw na języku, potem w pięściach. Staraliśmy się ich przewracać na ziemię, w ten sposób jednak, by jak najmniej ucierpieli. Pijany człowiek to rzecz święta!

Znaleźliśmy się u drzwi składu. W domu Piotra Poullard roiło się od bandytów, niby od wszy na baranie. Jedni wyciągali kufry i toboły, inni je rozbijali i ubierali się w kradzione suknie, jeszcze inni wreszcie zabawiali się rzucaniem z piętra na dół naczyń porcelanowych i glinianych. Na środek podwórza zatoczono beczułki. Widziałem jednego, który pił przyłożywszy usta wprost do szpuntu, a potem przewrócił się w kałużę czerwonego wina wznosząc w górę wszystkie cztery łapy. W kałużach cennego płynu chlapały się dzieci. Przyświecano sobie pałac na podwórzu meble. Z głębi piwnic dolatywały przygłuszone uderzenia młotów i siekier, ryki i wrzaski, kaszel i śpiew. Cały dom tętnił, jakby mu wlaźł do brzucha rój szerszeni. Tu i ówdzie spod dachu wymykały się jęczyczki płomienia i wstęgi dymu, snując się po belkowaniu ścian.

Dostaliśmy się na podwórze. Nikt nie zwracał na nas uwagi, wszyscy byli zbyt zajęci sobą. Tedy rzekłem Bardetowi:

– Uderz w bęben!

Bardet załomotał co sił w psią skórę i okrzyknął głośno, iż miasto oddało mi w ręce władzę. Zabrałem potem głos i wezwałem hołotę, by się wynosiła precz. Na odgłos bębna zbiegli się niby rój much obsiadający pełny kocioł i zamilkli, gdy jednak bębnienie ustało, zaczęli na nowo wrzeszczeć, kłąć,

śmiać się oraz rzucać w nas kamieniami. Chciałem wyważyć drzwi piwnicy, ale rzucali na nas ze strychu belkami i dachówkami. Weszliśmy mimo to, odparłszy łądactwo, ale nie bez strat. Gangnot stracił dwa palce, a Kalabryczykowi wybito lewe oko. Ja sam, podpierając drzwi, które chciano zatrzaskać, znalazłem się w pułapce, niby lis, bo oto palec mój dostał się między zawiasy. Do licha! Mało co nie zemdlałem jak baba i byłbym oddał wszystko, co miałem w brzuchu, gdy spostrzegłem napoczętą baryłkę z wyśmienitą wódką, tedy zwilżyłem sobie gardło i wymoczyłem mój biedny kciuk. Nabrałem straszliwej odwagi i wziąłem się do roboty. Wściekłość moja rosła. Poniósł mnie zapał wojenny.

Walczyliśmy teraz na stopniach schodów piwnicznych. Należało skończyć co prędzej, bo te diabły strzelały z muszkietów prosto w twarz, i z tak bliska, że Saulsoyowi zapaliła się broda, który to pożar ugasił Gueurlu w swych twardych dłoniach. Szczęściem, strzelającym pijakom dwoiło się w oczach, inaczej żaden z nas nie byłby wyszedł żywy z tego piekła. Musieliśmy wykonać odwrót i wrócić po schodach na górę.

Stojąc u wniścia zobaczyłem, że pożar posuwa się wzdłuż obu skrzydeł obejścia w głąb ku piwnicom. Kazałem przeto wznieść wał z kamieni i szczątków, wysoki na człowieka, na wierzch zaś nakłaść skorup i kłujących przedmiotów, uniemożliwiających przedostanie się na drugą stronę. Potem krzyknąłem:

– Zbóje, lubicie ogień, przeto użyjecie sobie teraz do woli.

Nie zrozumieli niebezpieczeństwa, a gdy się połapali, o co idzie, było już za późno. Pożar ogarnął ściany i gdy zaczęły się sypać płonące krokwie, a z piwnicy zagrzmiały wycia szatańskie, z drzwi piwnicy wylał się potok ludzkich postaci. Na wielu płonęło już ubranie. Zwarta fala uderzyła czołem o mur przez nas wzniesiony, i ci, którzy wyszli pierwsi, utworzyli coś w rodzaju korka, który uniemożliwił ratunek pozostałym. Ryki potępieńcze dobywały się ciągle z podziemi. Straszna to była, zaprawdę, muzyka, Okropnie jest słuchać rozpacznych wołań cierpiącego i zdjętego strachem

śmiertelnym człowieka. Gdybym był zwykłym sobie Colasem Breugnon, byłbym niezawodnie zawołał:

– Ratujmy ich!

Ale dowódcy nie wolno mieć serca i uszu, a tylko oczy i rozum. Widzieć i czynić nieugięcie to, co trzeba, oto jego zadanie. Uratować bandytów znaczyło tyle co zgubić całe miasto, gdyż w razie wydobycia się na wierzch, jako kilkakrotnie liczniejsi i lepiej od nas uzbrojeni, byliby wzięli nad nami górę, a co za tym idzie, myśliwi staliby się zwierzyną. Trudno, trzeba było wydusić trutnie w ulu.

Widziałem, jak płomienie z lewej i prawej strony połączyły się nad piwnicami, strzelając i rzucając w powietrze pióropusze dymu.

Nagle ujrzałem u wnijscia do piwnicy wciśniętego w tłum, stojącego bez ruchu starego znajomego, wołano na niego Gambi. Był to nicpoń zgoła nieszkodliwy, odznaczający się tylko niesłychaną pożądlivością wina. Płakał, to znowu śmiał się, jakby stracił zmysły. Skąd, u licha, wziął się on pomiędzy bandytami? Zasłużył na karę, ale mimo wszystko nie mogłem przecież pozwolić, by się żywcem usmażył. Bawiliśmy się z sobą jako malcy, a potem przystąpiliśmy razem do pierwszej komunii.

Odsuwam tedy gapiów, przesadzam, zaporę i stąpając po głowach (gryźli mnie w nogi), idę poprzez miazgę ciał ludzkich, z której się już kurzyło, ku Gambiemu. Chwytam go za kołnierz, ciągnę... Niepodobna! Ciągnę mocniej... Nie sposób wyrwać go w całości, chyba krajać po kawałku? Szcześnie jednak zawsze sprzyja pijakowi. Gambi wynurzył się o głowę w górę, ci, którzy pchali się z tyłu, podtrzymali go w powietrzu, tak że był jak pestka wyduszona ze śliwki. Kopiając obcasami w prawo i lewo zdołałem wyłuskać go do końca.

A był już czas najwyższy. Płomień dął, niby straszliwa trąba powietrzna, kominem schodów piwnicznych. Słyszałem skwierczenie palących się ciał. Z najwyższym wysiłkiem, krocząc wolno, bo z ciężarem, niebacznym na to, gdzie stawiam nogi, wróciłem za barykadę, wlokąc Gambiego za włosy.

Wyszliśmy jakoś cało z tego piekła, rzuciłem ocalonego na ziemię, ogień zaś dopełnił już dzieła zniszczenia. Mimo śmiertelnego strachu Gambi nie puścił dwu emaliowanych talerzy i obrazka, którą to zdobycz wyniósł lichy wie skąd. Ścisnął je pod pachą. Kiedy wstał i przyszedł do siebie, odrzucił precz swój łup, a potem zanosząc się od płaczu zaczął wymiotować, a w przerwach ryczał:

– Nie chcę kraść... oddaję wszystko, co zrabowałem... Nie chcę kraść...

*

O świcie przybył prokurator Wilhelm Courtignon, eskortowany przez Robineta, który go dostawił na miejsce niemal jak więźnia. Wraz z nim przybyło trzydziestu uzbrojonych żołnierzy oraz oddział chłopów z kosami. W ciągu dnia przysłał nam magistrat większe posiłki, nazajutrz zaś książe de Nevers odkomenderował poważne siły do Clamecy i okolicy. Wojsko stwierdziło straty, „osobistości powołane” spisały całe góry protokołów, oszacowały wartość obiektów zniszczonych, dodały do rachunku kosztu swego urzędowania i podróży, a potem „władza” oddaliła się drogą, którą przybyła.

Morał całej awantury brzmi w ten sposób:

Pomagaj sam sobie, nieboże,

A król ci dopomoże!

XI
KSIĄŻĘCA ŁĄKA

KONIEC WRZEŚNIA

Powrócił spokój, zgliszcza ostygły i zaraza gdzieś przepadła. Ale miasto długo pozostawało pod wrażeniem katastrofy. Mieszczuchy przeżuwały przeróżne rzeczy, które im się przydarzyły. Próbowali stopą ziemi, niepewni, czy się pod ich ciężarem nie zapadnie. Nie mogli uwierzyć, że zwyciężyli. Kryli się po domach, położywszy uszy po sobie i podkuliwszy ogon. Diabli wzięli ambicję, nikt nie śmiał spojrzeć bliźniemu w oczy. Bano się własnego odbicia w lustrze, albowiem wylazło czasu onych dni szydło z worka. Kanalia ludzka ukazała się w całej nagości. A to nie było miłe, o nie! Jedni wstydzili się drugich, nie dowierzano sobie wzajem. Ja sam nie czułem się zadowolony. Zrobiłem wprawdzie co trzeba, ale zawsze, owa masakra, ten odór pieczonego ciała ludzkiego... Ponadto wspomnienie łajdactwa, okrucieństwa u ludzi z najbliższego otoczenia, wszystko to wytrąciło mnie z równowagi. A ludzie czuli, co o nich myślę, i mieli urazę. Krępowaliśmy się wzajem. Rad bym im powiedzieć: kochani współobywatele, przebaczcie mi. Oświadczam, że nie widziałem nic... Upał jesienny ciążył miastu, koniec lata przejął wszystko dziwnym odrętwieniem.

Racquin odstawiony został pod dobrą eskortą do Nevers, a rząd i książę zaczęli spierać się o to, kto go ma sądzić. Korzystając z tego śnił plany wykręcenia się sianem. Co do mnie, kasztelański urząd raczył patrzeć przez palce na to, co uczyniłem. Okazało się, że ocalając miasto popełniłem mnóstwo zbrodni i przekroczeń prawa, za co powinien bym właściwie zostać zesłany na galery. Ale ponieważ nie byłbym się mógł dopuścić tych deliktów, gdyby władza wytrwała na stanowisku, przeto nie nastawano na karanie mnie, a ja również nie upominałem się, oczywiście, o wymiar sprawiedliwości. Człowiek czuje się niewinny, ale diabeł sam jeden wie, co o tym mówi tak zwane prawo. Wystarczy włożyć jeden palec w maszynę ustawodawczą, a całe ramię stracone! I trzeba odciąć rękę, bo inaczej... człeka lichy bierze z kośćmi! Tedy bez niepotrzebnych słów stanął między

mną a tymi panami milczący pakt tego rodzaju, że, ja nic nie zrobiłem, a oni niczego nie widzieli, to zaś, co się stało onej nocy pod moim przewodem, stało się z woli i ramienia władzy. Jednak ani ja, ani obywatele nie mogliśmy o tym zapomnieć, przeto bano się mnie w całym mieście. Pamięć to rzecz kłopotliwa. Prawdę mówiąc, uczuwałem sam przed sobą rodzaj strachu i zdziwienia, iż mogłem być tak okrutny. Pał sześć rolę Attyli czy Cezara! Piorun Jowiszowy wyobrażam sobie w formie fantazji czy uniesienia przy szklance wina, ale wojna, wojna domowa zwłaszcza, to nie moja rzecz! Krótko i węzłowato, wszyscy byliśmy rozstrojeni i niezadowoleni z siebie, czuliśmy wyrzuty sumienia i ucisk w trzewiach.

Zabraliśmy się z zapalem do roboty. Praca, niby gąbka, wypija poczucie wstydu i wyrzuty sumienia, przy pracy dusza okrywa się nową skórą i wzbiera świeżą krwią. A pracy tej nie brakło, albowiem ruiny i zgliszcza zaległy wokół. Ziemia tego roku wspomogła nas dzielnie i wydatnie. Od dawna nie było takiej obfitości owoców i zboża, a szczytem dostatku stało się tegoroczne winobranie.

Zdało się doprawdy, że ta kochana matka nasza chce nam w winie oddać krew, która w nią wsiąkła. Zaprawdę nic nie ginie w świecie. Wszakże woda spadająca z nieba wraca w postaci oparu, czemuż tedy wino nie ulegałoby takiej samej cyrkulacji pomiędzy ziemią a krwią ludzi. Toż to ten sam sok. Wyobraźmy sobie, że jestem szczepem winnym, albo że byłem nim ongiś lub kiedyś będę. O, jakżebym pragnął zostać w ten sposób nieśmiertelny, odnawiać się z każdą wiosną, czuć, że rosnę, puszczam liście, wydaję krągłe, pełne jagody pękające w słońcu z obfitości soku, a potem (to najlepsze!) zostać zjedzonym... Jak się tedy powiedziało, soku winogradowego było tego roku co niemiara, aż zabrakło beczek. Musiano użyć wszystkich garnków, balii, koryt i nie można było dać rady z wyciskaniem. Zdarzyła się rzecz niesłychana dotąd, mianowicie stary winiarz z Andries, ojciec Coullemard, obwieścił, iż sprzeda beczkę winogron za trzydzieści su pod warunkiem, że nabywca sam je sobie zabierze z winnicy.

Wyobrazić sobie łatwo nasze wzruszenie. Wszakże, jako ludzie oszczędni i stateczni, nie mogliśmy ścierpieć, by się dar boży zmarnował. Musieliśmy się poświęcić i pić, pić, pić bohatersko, by sprostać tej pracy Herkulesa. Nieraz też biedny Herkules musiał dotykać ziemi wyręczając w tym słynnego Anteusza^[57]. Dobłą stroną tej ciężkiej pracy było, że myśli nasze przybrały inny kierunek, że czoła się rozchmurzyły a policzki nabrały kolorów.

[57] Anteusz – w starożytnych podaniach greckich olbrzym, którego siły odradzały się, gdy dotknął się ziemi.

Ale mimo wszystko zostało coś na dnie pucharu; jakieś męty ciemne i niesamowite sprawiały, że ludzie trzymali się z osobna, unikali się wzajem i patrzyli na siebie spode łba. Każdy przyszedł po trochu do siebie, odzyskał (bardzo chwiejną zresztą) równowagę umysłu, ale nikt nie chciał zbliżyć się do sąsiada, pito w pojedynkę, zamykano się u siebie, a jak wiadomo, jest to bardzo niezdrowa rzecz. I byłby ten przykry stan trwał Bóg wie jak długo, gdyby nie przypadek. Przypadek to chytra sztuka. Dzięki niemu właśnie natrafiliśmy na coś, co łączy ludzi, mianowicie na wspólnego wroga. Miłość także zbliża, ale uczynić z całej gminy jednego męża może tylko wróg wspólny, wrogiem zaś owym stał się nasz władca.

Tej jesieni strzeliło do głowy księciu Karolowi, by zalać nam sadła za skórę. Tego było już nadto! Nawet podagrycy, kulawcy i beznodzy poczuli swędzenie w piętach. Poszło o korzystanie z łąk podmiejskich, będących rzekomo jego własnością, a zwłaszcza pastwisk zwanych z dawna Pré-le-Comte. Łąki owe czy pastwiska, położone tuż za bramami miasta, przez

które snuje się kapryśny wężyk Beuvronu, to od lat trzystu przedmiot sporu. Książę ciągnie potężnymi swymi zębiskami w jedną stronę, a my naszymi zębami w drugą. Mniejsze i nie tak potężne mamy zęby, ale nie przywykliśmy puszczać zdobyczy z paszczy.

Ani po jednej, ani po drugiej stronie nie ma żadnego zacierzewienia, uśmiechamy się wzajem, mówimy do siebie: „Drodzy przyjaciele...”, „Jaśnie Oświecony Książę...”, ale przeciwnicy czynią wszystko, co w ich mocy, by zalać sobie wzajem sadła za skórę, i ani im w głowie ustępować choćby piędzi ziemi. Prawdę powiedziawszy, nie przyznano nam nigdy słuszności. Wszystkie trybunały, aż do najwyższego, zadekretowały jednogłośnie po wiele razy, iż nasza łąka nigdy naszą nie była. Wiadomo jednak, że tak zwana sprawiedliwość jest to sztuka robienia – za dobre pieniądze – czarnym tego, co jest białe. Toteż wyroki sądów mało nas obchodziły. Sądzić to rzecz sędziów; posiadać to rzecz nasza. Czy czarna krowa, czy biała, rzecz główna – komu mleko dawała. Nam dawała mleko, przeto uważaliśmy ją za swoją. Mamy łąkę w rękach i nie odstępimy nikomu: dawała nam zbyt wiele korzyści. Po pierwsze, był to jedyny w Clamecy kawał gruntu nie należący wyłącznie do żadnego z obywateli. Będąc tytułarnie własnością księcia, była własnością wszystkich i każdy mógł ją niszczyć do woli. Robiono też tam wszystko, czego nikt nie chciał robić u siebie. Pracowano tam, czyszczono, trzepano materace i dywany, wyrzucano śmieci, grano w gry towarzyskie, spacerowano, pasiono kozy, tańczono przy muzyce, ćwiczono się w strzelaniu z kuszy i samopału oraz w bębnieniu, nocą zaś wśród traw rozkwieconych różnobarwnymi papierami, przy szmerze Beuvronu, który się niczemu nie dziwił (widział bowiem niemało), uprawiano miłość.

Póki żył nasz kochany książę Ludwik, wszystko szło po staremu, bo udawał, że niczego nie widzi. Człowiek ten wiedział, że chcąc mocno trzymać wodze rządu, trzeba na niejedno pozwolić poddanym. Cóż mu to szkodziło, że mieliśmy złudzenie swobody, gdy on był w rzeczywistości

panem? Ale synalek jest pyszałkiem i ile razy któryś z kogutków na jego podwórku zapieje, zaraz pokazuje pazury władzy (w rzeczywistości jej zresztą nie posiada). Nie rozumie, że Francuz musi kpić ze swego władcy. Jeśli się nie śmieje, na pewno zamyśla podnieść bunt. Nikt Francuzem nie owładnie, jeśli sprawę bierze serio, kocha on bowiem tylko tych, z których się może śmiać, będąc tego zdania, iż śmiech równa ludzi.

Otóż gąsior ów zaprzeczył nam pewnego pięknego poranku prawa tańczenia, deptania i kochania się na Pré-le-Comte. Zaiste, właściwy obrał czas zakazu! Powinien był nas raczej wobec strat poniesionych zwolnić od podatków! Ale trafiła kosa na kamień. Postanowiliśmy pokazać pyszałkowi, że mieszkańcy Clamecy nie są zrobieni z drzewa fletowego, by na nich miało grać byle książątko, ale z suchej, twardej dębiny, w którą z trudem wbić siekiere, a wydobyć jej już zgoła nie można.

Odbierać nam łąkę? A to co? Wszakże posiadamy ją (prawem kaduka co prawda, ale kradzież uświęcona trzechsetletnim posiadaniem jest nienaruszalna), posiadamy ją, uczyniliśmy sobie z niej podarek, a przy tym zdobyliśmy cal po calu w wytrwałej, upartej walce zaborczej. Wszakże to jedyna rzecz, która nas nic nie kosztowała, przeto zabór jej sprawił nam tyle uciechy! Czyż warto by coś brać w ogóle, gdyby się miało oddawać? Cóż warte by było życie? Zaprawdę, gdybyśmy ustąpili, przodkowie nasi wstaliby z grobów ku obronie zagrożonej łąki.

„To kwestia honoru miasta!” Tak zawołaliśmy jednogłośnie i stanęliśmy jak jeden mąż do rozprawy.

Wieczorem onego dnia, kiedy tambur miejski obębnił i ogłosił fatalny dekret (uczynił to w sposób tak ponury, jakby głosił wyrok śmierci na kogoś), wszyscy znaczniejsi obywatele, urzędnicy, przewodniczący stowarzyszeń i starsi bractw zgromadzili się na rynku. Znalazłem się tam i ja, jako przedstawiciel bractwa św. Joachimy, babki św. Anny (jak każdemu wiadomo). Różne posłyszałem zdania co do sposobów wprowadzenia w czyn akcji obronnej, wszyscy jednak godzili się, że trzeba koniecznie zaraz

działać.

Gangnot, przedstawiciel św. Eliasza, i Kalabryczyk, przedstawiciel św. Mikołaja, oświadczyli się za użyciem metody silnej pięści. Proponowali obaj, aby niezwłocznie podpalić bramy zamku, by rozwalić mur, porozbijać głowy straży książęcej oraz zniszczyć wszystko na łące, aż do gołej ziemi.

Przeciwnie, piekarz Florymond, przedstawiciel łagodnego z natury św. Honoriusza, oraz ogrodnik Maclou, wyznawca św. Fiakra, objawiali uczucia zgoła jagnięce, pojednawcze, i wskazywali, że właściwą jest jedynie droga pisemnych układów, przedstawień i suplik, popartych zresztą znacznymi dawkami wytworów pieca piekarskiego i produktami ogrodu owocowego, złożonymi na ręce księżnej.

Owe wnioski nie przeszły, gdyż na szczęście ja z moją Joachimą oraz Jan Robin, przedstawiciel bractwa św. Kryspina, i Edmund Poifou, z bractwa św. Wincentego, nie dopuściliśmy ani do gwałtu, ani do upadającego włożenia księciu bez mydła tam, gdzie nie potrzeba. *In medio virtus!*^[58] Każdy rozumny Burgund znajdzie sposób zakpienia z kogoś, kto mu jest nie na rękę, i napluje mu spokojnie w brodę nie wrywając zaraz włosów garściami. To jest nawet oszczędniejsze, bo nie tyle kosztuje, a zemsta jest tym miłsza, gdy ubawi zarazem.

[58] *In medio virtus!* (łac.) – cnota leży pośrodku.

Czyż mamy opowiedzieć farsę przez siebie wymyśloną, zanim się rozegrała? Nie, nie. Wystarczy, jeśli zanotuję, że wielka nasza tajemnica przez dwa tygodnie dochowana została ściśle, mimo iż wiedział o niej każdy obywatel miasta. Idea przewodnia była moja, ale każdy dorzucił coś od siebie celem upiększenia: ten wstążkę, ów klamrę, tak że wspólne nasze dziecko przedstawiało się ślicznie, nie brakło mu bowiem ojców. Mer i ławnicy dowiadywali się co dzień dyskretnie, co słyhać z projektem, a

notariusz Delavau, otulony płaszczem, co noc przychodził na posiedzenie i wskazywał nam sposoby gwałcenia prawa pod pozorem najwyższej uległości dla jego postanowień.

Pokazywał nam też wypracowane starannie sentencje łacińskie, gloryfikujące księcia i dające wyraz naszemu posłuszeństwu, tak skonstruowane, że można je było interpretować wprost przeciwnie.

*

Nareszcie nadszedł wielki dzień. Zgromadziliśmy się ogoleni, przybrani odświętnie, ustawiając się rzędami pod godłami brackimi. Oczekiwaliśmy mera i rady miejskiej. Z wieży Św. Marcina wybiła dziesiąta, a jednocześnie zagrały wszystkie dzwony. Na dany znak rozwarły się na ścieżaj podwoje ratusza i podwoje katedry i na obu tarasach, niby marionetki, ukazała się z prawej biała komża kanonika, a z lewej zielono-żółty korowód radnych. Zamieniono ponad naszymi głowami uroczyste ukłony, potem z prawej, poprzedzony pąsowo ubraną służbą kościelną (nosy były też pąsowe), poczał kroczyć po schodach kanonik, a z lewej rada poprzedzona strażą miejską i sługusami przybranymi w łańcuchy, emblematy i godła. My, ugrupowani wokoło placu Św. Marcina, staliśmy szeroko zatoczonym kręgiem, pośród którego znalazły się władze i dostojnicy. Nie brakło nikogo, nikt się nie spóźnił. Palestra, urzędnicy prokuratorii i notariusz pod sztandarem św. Iwona, doradcy prawnego Boga Ojca, aptekarze zaś, kuglarze i lekarze, wykwinтни znawcy uryny i klistyrodawcy^[59] *sub invocatione*^[60] św. Kosmy, który odświeża pono wnętrzości mieszkańców raję, tworzyli wokół kanonika coś w rodzaju świętej gwardii. Spośród mieszkańców brakło tylko jednego, mianowicie samego prokuratora – przedstawiciela księcia ożenionego z córką ławnika; prokurator zwąchwasy pismo nosem, jak przystało na pocziwego mieszkańca Clamecy, sprzyjał nam szczerze, jednak w poczuciu własnego interesu wolał się ulotnić w przeddzień uroczystości.

[59] Klistyrodawca– felczer.

[60] *Sub invocatione* (łac.) – pod wezwaniem.

Przez czas jakiś czekano na placu, który zdawał się beczką pełną musującego moszczu. Rozbrzmiewały radosne pomruki, śmiechy, strojono skrzypce, naszczekiwały psy... Czekano widocznie na coś ważnego. Cierpliwości, oto niebawem wszystko się wyjaśni. Już idzie, niosą! Jeszcze zanim ujrzano niespodziankę, zapowiedziały ją okrzyki, a i głowy wszystkich, niby chorągiewki pod uderzeniem wiatru, zwróciły się w jedną stronę.

Z ulicy du Marché poczęła się wysuwać, niesiona na ramionach ośmiu tęgich młodzieńców, wysoko ponad tłumem płynąca, jakaś dziwna budowla z drzewa. Miała kształt piramidy, coś niby trzy coraz mniejsze stoły, postawione jeden na drugim. Nogi wszystkich stołów owinięte były wstęgami, galonami, obandażowane jaskrawą materią jedwabną, na szczycie zaś widniała pod baldachimem, bogato przystrojonym w pęki wstęg, jakaś zawoalowana figura. Nikt się nie dziwił, wszyscy bowiem znali tajemnicę. Każdy zdjął grzecznie czapkę przed figurą, ale śmiali się wszyscy ukradkiem.

Cała machina ustawiona została pośrodku placu pomiędzy murem i kanonikiem, a korporacje z muzyką na czele zaczęły defilować wokoło. Pierwszy, jak przystoi, kroczył święty Mikołaj. Kalabryczyk ubrany w infułę, ze słońcem wymalowanym na plecach, trzymał w żyłastych, czarnych rękach godło patrona rzek: okręt z figurą świętego błogosławiącego dwoje dzieci. Towarzyszyło mu czterech starych marynarzy niosących żółte, grube jak pałki, twarde jak drzewo świece, których w razie potrzeby można było użyć do innego celu. Kalabryczyk kroczył uroczyście, wznosząc w niebo swe jedyne oko i wystawiając naprzód brzuch.

Za nim postępowali metalowcy, synowie świętego Eliasza, nożownicy, ślusarze, kowale pod wodzą Gangnota, który w okaleczonej czasie walki ręce niósł wysoki krzyż; na jego drzewcu widniały emblematy cechu: kowadło i młotek. My, stolarze i bednarze, znane moczymordy, kroczyliśmy swobodnym pochodem za chorągwią ze świętym Józefem i teściową jego, świętą Anną. Trzódka świętego Honoriusza tłuściutka i umączona, niosła jak rzymskie trofea, okrągłe, pięknie przystrojone bochny chleba wbite na ostrza drągów. Za tymi czyścioszkami swobodnie podskakując tłoczyli się wokół świętego Krepina czarni smolarze i łaciarze. Wreszcie, jak wspaniałe bukiet na cześć świętego Fiakra, ogrodnicy i ogrodniczki dźwigający na ramionach snopy goździków i lewkonii, róże przy kapeluszach, łopatach i grabiach. Ich chorągiew z czerwonego jedwabiu łopotała na jesiennym wietrze, widniał na niej wizerunek świętego Fiakra, podkasanego, z gołymi łydkami i stopą wspartą na rydlu.

Gdy korowód przesunął się koło dziwacznej figury, drewniana budowla drgnęła i ruszyła.

A przed nią, niby przed arką przymierza, kroczyły białe ubrane dziewczęta piszcząc jakieś pieśni. Mer i trzej ławnicy postępowali obok, dzierżąc w rękach chwasty wstążek spływających z baldachimu. Radnych otaczała świta dzieci Iwona i Kosmy, za nimi kroczył szwajcar katedralny, wyglądający niby nadęty hardo kogut. Za nimi kanonik w asyście księży (jeden z nich chudy jak Wielki Piątek, drugi – tłusty i przyplaszczony jak źle wyrosnięty placek) – intonował co dziesięć kroków fragment litanii niskim basem; nie wysiłał się jednak zbyt, pozwalając wyśpiewać się innym i, z rękami złożonymi na brzuchu, idąc podrzemywał.

Dalej płynęła fala tłumu, zbita, gęsta jak powidła, a ruchliwa jak rój os. Wyszliśmy z miasta i udali się wprost na łąkę. Wiatr rozwiewał liście platanów. Całe ich chmury pędziły drogą w słońcu, a rzeka unosiła je jak żółty płaszcz swym powolnym nurtem.

Wstępu na łąkę broniła świeżo ustawiona bariera, trzech policjanci oraz

kapitan, który niedawno objął służbę w zamku. Kapitan był przybyszem świeżym, przeto wziął wszystko zbyt poważnie i w pierwszej chwili chciał wzbronić procesji wstępu (biegał i przewracał oczyma). Toż samo, ale tylko na pozór, czynili wtajemniczeni policjanci. Z tłumu, jak to było zawczasu ułożone, podniosły się okrzyki i pogroźki, nie bez trudu jednak przyszło nam zachować powagę. Kto wie, czy długo utrzymałby się ów żartobliwy ton rozmów, Kalabryjczycy bowiem poczęli się już zbyt przyjmować swą rolę.

W sam czas wysunął się mer i zawołał:

– Odkryć głowy!

W tej chwili spadła zasłona okrywająca figurę, a heroldowie miejczy wrzaśli:

– Z drogi! Idzie ksiązę!

Hałas ucichł natychmiast. Wszyscy święci: Józef, Anna, Honoriusz i Fiakier, uszeregowani w szpaler, sprezentowali broń, a kapitan, osłupiały, z odkrytą głową, przestał wraz z policjantami bronić nam wstępu. Korowód wtoczył się prowadząc z sobą księcia *in effigie*^[61]. Tak przynajmniej głosił *urbi et orbi*^[62] notariusz, ale prawdę mówiąc, figura wcale nie wyobrażała księcia. Nie mając ani czasu, ani ochoty rzeźbić go, wzięliśmy z jakiegoś strychu starą figurę (nigdy nie dowiedziano się, kogo przedstawiała ani kto ją wykonał), na której podstawie widniał zatarty napis: „Baltazar”. Ale cóż to szkodzi? Wszakże wiadomo, wiara zbawia. Czyż bardziej są prawdziwe portrety Eliasza, świętego Mikołaja lub Jezusa? Jeśli tylko wierzysz, zobaczysz wszystko, co chcesz widzieć. Potrzebujesz Boga? Wystarczy na mieszkanie dla niego i dla mojej wiary prosty kawałek drzewa. Tego dnia potrzebny nam był ksiązę. I znalazł się. Ksiązę tedy przeszedł środkiem szpaleru, a chorągwie skłoniły się przed nim. Przybrany był w liście laurowe, na czoło nasunięty miał kapelusz, szabla wisiała na brzuchu. Wkraczał w ten sposób na swoją łąkę, a my z nim jako jego świta, z muzyką, śpiewem, wianem sztandarów. Któż mógł coś zarzucić, upatrywać choćby

cień nieposłuszeństwa? Chcąc nie chcąc i kapitan musiał się zgodzić. Miał do wyboru: albo zaaresztować księcia, albo przyłączyć się do orszaku. Oczywiście, uczynił, co musiał uczynić.

[61] *In effigie* (łac.) – w podobiznie.

[62] *Urbi et orbi* (łac.) – miastu i światu.

Wszystko szło jak najlepiej, gdy nagle nawa omal nie zatонуła w samym porcie skutkiem sporu reprezentantów świętego Mikołaja i świętego Eliasza oraz świętego Józefa i jego teściowej, wszczętego o to, kto ma wejść pierwszy na łąkę. Nie patrząc na względy wieku i uprzejmości, dnia tego byliśmy wszyscy w nastrojach wojowniczych i swędziały nas pięści. Jako wielbiciel wszystkich świętych, pośpieszyłem na pomoc.

– Bracia! Nie ma tutaj u nas pierwszych i ostatnich! Pierwszy jest sam książę, reszta to ludzie równi sobie, a jeśli już chcecie, bym wam wskazał kogoś godniejszego od innych... oto macie go, macie przedstawiciela boga Bachusa!

W tej chwili chwyciłem za kołnierz stojącego tuż obok mego zacnego Gambiego i wpakowałem go na wózek z beczką pełną winnego moszczu, do której mój przyjaciel wlał bez namysłu. Potem chwytam za lejce i wjeżdżamy pierwsi na książęcą łąkę. Mój Bachus zanurzony po pas w soku przebiera nogami i śmieje się. Teraz już zgodnie, ręka w rękę, kroczyli za nami, tańcząc, wszyscy święci i święte. Jakże miękka była trawka na łące! Rozpoczęły się wokoło księcia zabawy, tańce, jedzono, pito, biwakowano do późnego wieczora, a nazajutrz łąka wyglądała jak chlew, jak śmietnik. Ani śladu trawy, wszystko wdeptały w mięką ziemię podeszwy czcicieli księcia, a zapał, z jakim czciło go całe miasto, zniweczył doszczętnie jego własność. Sądzę, że był zadowolony, a my także.

Wprawdzie prokurator, wróciwszy nazajutrz, zaprotestował i rozpoczął śledztwo, ale go nie dokończył. Nikomu zresztą nie zależało na tym, by rzecz wyjaśnić.

*

W ten sposób pokazaliśmy światu, iż możemy być dobrymi poddanymi księcia i czynić, co się nam podoba, nie licząc się z jego wolą; ta udana farsa wprowadziła wszystkich w doskonały humor. Ci i owi zbliżali się do siebie, mrugali oczyma i mówili:

– Jeszcze trochę nam zostało fantazji, prawda? Nie damy się! Wszystko będzie dobrze! I wspomnienie przebytych klęsk uleciało z dusz mieszkańców Clamecy.

XII

CUDZY DOM

PAŹDZIERNIK

Trzeba się było ostatecznie zdecydować, gdzie zamieszkać. Zwlekałem z tym, ile tylko mogłem. Człowiek cofa się mając wykonać skok. Tymczasem wałęsałem się od jednego znajomego do drugiego; tu przespąłem jedną noc, tam znów dwie. Dopóki na wszystkich ciążyła zmora strachu i wspomnienie przejść okropnych, każdy się czuł dobrze u drugiego. Ale wiecznie to trwać nie mogło. Niebezpieczeństwo oddalało się, a każdy włąził w swoją skorupę. Cóż, kiedy nie miałem skorupy! Nie mogłem zamieszkać w gospodzie; córka i synowie nie dopuściliby do tego. Chłopcy, oczywiście, nie mieli dla mnie serca, ale jako mieszczuchy w Clamecy znane i zajmujące pewne stanowiska, nie mogli dopuścić, by ich wytykano palcem. Niespieszne jednak im było. Mam za długi język, a to bigoty straszne. Namysłali się, który ma się poświęcić, i byli zaambarasowani tak samo jak ja. Martynka kocha mnie naprawdę i od pierwszego dnia upominała się, bym u niej mieszkał. „Ba, ale cóż powie pan zięć – myślałem ze strachem. – Ten już z pewnością nie pragnie mnie za lokatora.” Przyglądali mi się tedy wszyscy badawczo, ja zaś unikałem ich, jak mogłem. Zdawało mi się, jakby moje stare ciało wydane było na licytację. Tymczasem ulokowałem się w szałasie w winnicy na wzgórzu Beaumont. Tu spędziłem w lipcu noc z zarazą, a ci zaślepięcy, którzy spalili mój dom, zgoła nie tknięty chorobą, pozostawili zapowietrzoną budę. Ale nie bałem się już owej damy i czułem się wcale wygodnie w tej chałupie z klepiskiem zamiast podłogi, na którym, leżały jeszcze dotąd resztki mej przedwczesnej stypy. Wiedziałem zresztą dobrze, że zimować niepodobna w kolebie o nieszczelnych drzwiach, wybitych szybach w oknie, dziurawym dachu, przez który leje się woda deszczowa. Ale jakoś deszcz nie padał, a jutro... ej, kto by tam myślał o jutrze! Gdy nie mogę wydobyć się z matni, mam zwyczaj odkładać to na drugi dzień.

„I na cóż to się zda?” – powiedziała by ktoś. Trzeba i tak przełknąć pigułkę!

A oto co bym odparł: „Czekajże, nie wiadomo wcale, czy za tydzień świat

będzie istniał jeszcze. Okropnie by mi było, gdyby akuratnie po przełknięciu pigułki ozwały się trąby Pana Zastępów. Po cóż tak się śpieszyłem? Przyjacielu, nie odkładaj nic na godzinę szczęścia, bo szczęście pije się na gorąco. Natomiast niedola ma czas. Nie zaszkodzi niedoli, gdy trochę ochłonie, będzie miała lepszy smak!”

„Głowić się nie ma co” – powiedziałem sobie i czekałem, a raczej nie czekałem na nic, tylko sobie odpoczywałem, dla większego bezpieczeństwa zamknąwszy i zabarykadowawszy drzwi. Rozmyślałem, ale bez zbytej goryczy. Skopałem swój ogród, poobcinałem suche gałęzie, okryłem winorośle, okopałem karczochy, przewiązałem rany w korze starych drzew, słowem, przygotowałem swój ogród na sen zimowy pod śniegową kołderką.

Napracowawszy się sięgałem czasem po rudą lub złotą gruszczkę zapomnianą na drzewie i rozkoszowałem się przepyszny wonnym sokiem spływającym mi do gardła. Nie chodziłem do miasta, chyba gdy trzeba było odnowić zapasy amunicji (to jest picia, jedzenia i nowinek), a czyniłem to, starannie unikając swej progenitury. Chciałem wpoić w nich przekonanie, że udałem się w podróż. Nie wiem, czy, wierzyli, ale jako synowie pełni szacunku, nie twierdzili, że tak nie jest. Graliśmy z sobą tedy w ciuciubabkę! Ale nie braliśmy w rachubę Martynki. Kobieta zawsze oszukuje w grze. Martynka nie dała się zwieść; znała mnie dobrze i przeniknęła wkrótce mój podstęp. A jeśli szło o obowiązki rodzinne wobec ojca, dzieci, sióstr, braci itp., nie było z nią żartów.

Pewnego dnia, wychodząc z szałasu, spostrzegłem ją z dala. Więc wszedłem do środka i zamknąłem drzwi. Siedziałem z zapartym oddechem. A właśnie chciało mi się kaszleć, gdy jak na złość Martynka zapukała.

– Otwórz, ojcie. Wiem, że tam jesteś!

Bębniła pięścią, kolanami, sabotem. Mało nie rozwaliała drzwi. Pomyślałem sobie: „A to zuch baba! Jeśli się włamie, przepadłem.” I miałem już ochotę otworzyć, by ją wycalować, ale pokpiłem całą sprawę. Ja zaś, kiedy już gram, stawiam na wygraną. Uparłem się. Martynka wołała ciągle,

wreszcie dała spokój. Posłyszałem, że odchodzi, wyszedłem tedy i zacząłem się śmiać. Śmiałem się, kaszlałem, łzy mi zalewały oczy. Nagle posłyszałem za sobą głos:

– Nie wstyd ci, ojcze?

Omam nie upadłem na ziemię. Obejrzałem się i zobaczyłem, że stoi pod murem i patrzy mi surowo w oczy.

– Mam cię, stary błazenu! – powiedziała. Ogłupiały całkiem, odparłem:

– Ano, wpadłem w sidła.

Nagle wybuchnęliśmy oboje śmiechem. Zawstydzony, otworzyłem drzwi, a ona weszła niby zwycięski Cezar; stanęła przede mną i biorąc mnie za brodę rzekła:

– A teraz proś o przebaczenie! Powiedziałem:

– *Mea culpa!*

(Przy tej okazji, zupełnie jak na spowiedzi, pocieszałem się, że zacznę na nowo.) Wzięła mnie za brodę i potrząsnęła dosyć mocno w prawo, w lewo, do góry i na dół.

– To wstyd – powiedziała. – Taki siwy jegomość, a trzymają go się psie figle.

Jeszcze potrząsnęła parę razy brodą moją, niby dzwonkiem, potem pocałowała mnie serdecznie i powiedziała:

– Czemuż to, zły człowieku, nie zjawileś się, choć wiedziałeś, że czekam?

– Wytłumaczę ci to dokładnie, dziecko – powiedziałem.

– Wytłumaczysz w domu! No, chodźmy!

– Ależ nie jestem gotów! Muszę się przecież spakować!

– Spakować? – spytała. – Więc pakujmy!

Zarzuciła mi na plecy kaftan, włożyła na głowę stary, zniszczony kapelus, otrzepała mi kolana z pyłu i zawołała:

– Już wszystko spakowane, marsz!

– Zaczekaj chwilkę! – poprosiłem i usiadłem na progu.

– Jak to! – krzyknęła oburzona. – Opierasz się, ojcze, nie chcesz iść do

mnie?

– Nie opieram się! Nie, naturalnie, widzę, że będę musiał iść do ciebie, bo innej rady nie ma!

– A to ładnie! Nie kochasz mnie, widzę!

– Kocham cię bardzo, droga Martynko, ale wolałbym kochać cię u siebie niż iść do cudzego domu!

– Cudzy? Przecież mój...

– Hm... w połowie! – zauważyłem.

– O, nie! – zawołała stanowczo. – Bądź, ojczy, spokojny. Ja godzę się na to, czego on chce, ale on się musi godzić z tym, co jest moją wolą. Zobaczysz, będzie uszczęśliwiony! Dałabym mu, gdyby nie był uszczęśliwiony! Ho, ho!

– Wierzę ci! – odparłem. – Ale dotąd miewałem tylko lokatorów, na przykład żołnierzy z załogi księcia de Nevers, więc nie jestem przyzwyczajony być lokatorem.

– Przywykniesz, ojczy! – powiedziała. – Nie mówmy dłużej daremnie. Dalej w drogę!

– Dobrze, ale jeden warunek.

– Już stawiasz warunki?

– Że zamieszkam tam, gdzie zechcę.

– Widzę, że będziesz tyranem! No, ale zgoda!

– Przyrzekasz?

– Przyrzekam!

– I jeszcze jedno...

– Ani słowa! W drogę!

Wzięła mnie za ramię i nagle... A to szelma baba: uszczypała mnie do krwi. Trudno, musiałem iść.

Gdyśmy przyszli do domu, pokazała mi przeznaczony dla mnie pokój za sklepem, miły, ciepły i w pobliżu jej pokoju położony. Poczciwa kobietka traktowała mnie jak dziecko przy piersi. Łóżko było gotowe, czyste, wonne,

ponętne, a na stoliku nocnym stał w szklance bukiet z wrzosów. Byłem rozczulony, ale powiedziałem sobie: „Doprowadzę ją do pasji”, i rzekłem stanowczym głosem:

– To mi nie odpowiada!

Urażona, pokazała mi inne pokoje na parterze, ale nie chciałem żadnego, natomiast obrałem sobie maleńką stancyjkę na poddaszu. Zaczęła się złościć, lecz powiedziałem jej:

– Jak chcesz, moja droga. Tak czy nie? Albo tu zamieszkam, albo wrócę do szafasu! Musiała ustąpić, ale co dnia i co godzinę wracała ciągle do swego.

– Nie możesz tu mieszkać, ojcze! Lepiej ci będzie na dole. Powiedz, co ci się tam nie podoba? U licha, gadajże raz, uparciuchu, czemu się opierasz?

Odparłem przekornie:

– Bo tak mi się podoba!

– Wścieknę się ze złości! – wrzasnęła oburzona. – Ho, ho, wiem ja dobrze, zrozumiאלcz, o co idzie! Nie chcesz niczego zawdzięczać dzieciom, mnie nawet! Dalibóg, spiorę cię na kwaśne jabłko!

– Ano dobrze, spróbujmy się, ale przestrzegam, że ci posiniaczę pośladki!

– Jesteś człek bez serca!

– Kochane dziecko...

– Tak, tak, przymilaj się teraz, służ na łapkach, obrzydliwy jesteś!

– Kochana córuś, słodka Martynko, drogi babiszonku, śliczna bestyjko...

– Zalecasz się do mnie, widzę, ty mioudusty pochlebco, kpiarzu, kłamco!

Skończże raz drwiny, nie śmiej mi się w nos, nie rób małpich min!

– Martynko! Popatrz mi w oczy. Ty także żartujesz, prawda?

– Ani mi się śni!

– Ej...

– Nie, nie i raz jeszcze – nie!

– Ale przecież widzę wyraźnie!

Nacisnąłem palcem jej policzek wzdęty od śmiechu, aż musiała wypuścić

powietrze.

– Dość głupstw! – zawołała. – Mam do ciebie, ojcze, wielką urazę, a nie mogę się nawet zdobyć na gniew. Robisz takie miny, że mimo woli śmiać się muszę. Rób, co chcesz, nienawidzę, cię! Stary kpiarz zrujnowany udaje Artabana^[63] i robi miny pyszałka wobec swych dzieci. Nie masz do tego prawa!

[63] Artaban – postać śmiałka z popularnej opowieści francuskiej z XVII wieku.

– Mam prawo i to jedyna rzecz, jaką posiadam.

Zasypała mnie docinkami, a ja jej wetknąłem również parę ostrych szpileczek. Języki nasze były wprawne, obracały się wartko, a słowa błyskały i cięły niby noże. Na, szczęście, w chwilach największego zacierzewienia to ja, to ona musieliśmy palnąć coś komicznego i nie sposób się nam było powstrzymać od wybuchu śmiechu. Potem zaczęliśmy na nowo.

Kiedy dostatecznie wytrzepała na wszystkie strony język (od długiej chwili nie słuchałem jej już), powiedziałem:

– Teraz pora zamykać bramę. Jutro będzie ciąg dalszy.

– Dobranoc! Więc odmawiasz? Milczałem.

– Pyszałku! Pyszałku! – zawołała.

– Posłuchaj no, moja droga! – rzekłem. – Jestem pyszałek, Artaban, paw, zgodzę się na wszystko, co chcesz. Ale powiedz mi szczerze, Martynko, jakbyś postąpiła znalazłszy się w moim położeniu?

Zadumała się, a potem odparła:

– To samo bym uczyniła, ojcze, co ty!

– A widzisz. Tedy basta i pocałuj mnie na dobranoc! Pocałowała mnie serdecznie, potem zaś odeszła, mrużąc:

– Czyste utrapienie, kiedy niebo obdarzy człowieka dwoma takimi

ananasami!

– Racja! – dodałem. – Powiedz tedy kazanie twemu drugiemu ananasowi, nie mnie.

– Usłyszysz, co trzeba, ale to nie skwituje nas obojga!

I nie kwitowaliśmy się. Zaczęła na nowo następnego ranka. Nie wiem, co o tym sądziły niebiosy, ja jednak utrzymałem się na posterunku.

*

Przez kilka pierwszych dni było mi jak w raju. Wszyscy mnie psuli, nadskakowali, sam Florymond starał się odgadywać moje myśli i zasypywał dowodami miłości synowskiej. Martynka śledziła każdy jego krok, gdy zbliżał się do mnie, a Glodzia ćwierkała jak ptaszynka. Miałem najlepszy fotel, podawano mnie pierwszemu półmisek, słuchano z nabożeństwem, gdy otwierałem usta. Było mi tak dobrze, ach, tak wyśmienicie, że nie mogłem wytrzymać. Diabli mnie brali, nie mogłem dosiedzieć na miejscu, włączyłem się dwadzieścia razy na godzinę po schodach na strych i złąziłem znowu na dół. Czułem, że to drażni wszystkich. Martynka podskakiwała ze zdenerwowania, ile razy usłyszała trzask schodów uginających się pod moimi stopami. Gdyby to było lato, uciekłbym w pole, teraz wracałem na strych. Jesień nastąpiła ciemna, lodowata, gęsta mgła przysnuła pola, a deszcz lał po całych dniach i nocach jak z cebra. Byłem przykuty do miejsca, a w dodatku do cudzych kątów. Boże wielki!

Martynka nie zdawała sobie dostatecznie sprawy, że poglądy estetyczne Florymonda były straszne, a cały dom zapchany był rzeczami, które doprowadzały mnie wprost do rozpacz. Dałbym nie wiem co, by móc je zmienić w kształcie albo przynajmniej przestawić na inne miejsce. Ale właściciel czuwał i robił zawsze awanturę, ile razy dotknąłem choćby palcem jego skarbów. Zwłaszcza w jadalni znajdowała się rzecz wprost ohydna, mianowicie duży dzban z podstawą metalową i ozdobami przedstawiającymi dwa całujące się gołębki oraz panienkę uśmiechającą się z cielecą czułością do młodzieńca. Mdlilo mnie, ile razy na to spojrzałem,

więc poprosiłem Florymonda, by tę potworność usunął ze stołu bodaj na czas posiłków. Jedzenie bowiem rosło mi w ustach i dusiło w gardle. Ale w poczuciu praw swoich odmówił stanowczo, był dumny z onego dzbana i uważał go za ostatni wyraz sztuki, moje zaś kaprysy potraktował humorystycznie.

Cóż było robić? Czy śmiać się z samego siebie, czy płakać nad sobą? Po całych nocach przewracałem się z boku na bok, niby kotlet na patelni, i słuchałem szumu deszczu po dachu. Nie śmiałem nawet chodzić po mojej stancyjce, gdyż stapanie wstrząsało całym stropem i budziło śpiących.

Gdym tak raz pewnego siedział na łóżku z bosymi nogami zwieszonymi na dół i dumał, postanowiłem dokonać rzeczy wielkiej: „Colasie Breugnon – powiedziałem sobie – nie wiem, kiedy i w jaki sposób, ale musisz wziąć się do odbudowania chałupy!” Od tej chwili poweselałem i zacząłem potajemnie akcję, nie wspominając, oczywiście, dzieciom o tym, co zamierzam. Ale skądże wziąć pieniędzy?

Gdybym był Orfeuszem, mógłbym poruszyć śpiewem kamienie i kazać im utworzyć ściany. Ale nigdy nie miałem pięknego głosu. Tedy udałem się bez wahania do przyjaciela Paillarda, chociaż pocziwiec nie uczynił mi propozycji pożyczki. Ale skoro mnie nie sprawia przykrości poprosić przyjaciela o przysługę, on winien mi ją oddać również bez przykrości. Korzystając z powrotu pogody udałem się do Dornecy. Właściwie tylko deszcz ustał, pogody nie było, po niebie pełzły nisko ciężkie chmury, a żółte liście orzechów zaścielały drogę.

Za pierwszym słowem Paillard drgnął, skrzywił się i przerywając mi zaczął narzekać na zastój w interesach, na brak gotówki i na złych klientów, tak że mu powiedziałem:

– Drogi Paillard, może chcesz ode mnie drobnej pożyczki na codzienne wydatki?

Byłem dotknięty do żywego, on tak samo, a może bardziej jeszcze. Rozmawialiśmy lodowatymi głosami o różnych rzeczach potocznych. Wstyd

mu było. Wiem, że nie jest złym człowiekiem, że mnie serdecznie kocha i w tej chwili dałby mi wszystko, czego bym zażądał. Takie już wszystkie te mieszcuchy. Nawet najhojniejszy z nich zawsze powie: nie, gdy tylko ktoś uczyni aluzję do jego kieszeni. Paillard dałby wszystko, gdybym mu teraz pisnął słowo, ale nie uczyniłem tego. Mam swoją dumę i kiedy proszę o coś przyjaciela, spodziewam się, że sprawię mu tym przyjemność. Jeśli się waha, wszystko na nic. Pogadawszy jeszcze z przymusem o tym i o owym, wstałem z krzesła. Odprowadził mnie do samych drzwi. W chwili gdym je otwierał, nie mogłem dłużej wytrzymać, otoczyłem ramieniem jego szyję i pocałowałem go bez słowa.

Oddał mi pocałunek i rzekł bojaźliwie:

- Dam ci, ile chcesz... ile chcesz...
- Nie mówmy o tym! – odparłem stanowczo.
- Colasie! – powiedział błagalnie. – Zjedzmy bodaj obiad razem!
- Ano... dobrze! – zdecydowałem. – To inna sprawa. Możemy zjeść obiad, mój drogi! Jedliśmy obficie i gadali, ale pozostałem nieugięty. Mimo że sam na tym ucierpiałem najwięcej, chciałem ukarać Paillarda.

Powróciwszy do Clamecy zacząłem roztrząsać problem. Szło o to, by odbudować dom bez materiału budowlanego, pieniędzy i robotników. Ale trudności nie odwiodły mnie od postanowienia. Przed wszystkim zbadałem dokładnie całe miejsce pożaru i poskładałem porządnie wszystko, co jeszcze się mogło przydać, więc przepalone belki, osmalone kafle i cegły, stare żelaziwo, potem zaś obliczyłem, jak zużytkować cztery chwiejące się ściany, czarne niby dusza potępieńca.

Następnie udałem się do kamieniołomu w Chevroches i zacząłem kopać, grzebać, dobywać po kawałku ową kość ziemi, ów kamień ciepły w tonie, jakby czerwony od krwi, która niegdyś w nim pulsowała, zanim ścięła się w bryłę twardą. Nie przeczę, że idąc przez las dopomogłem kilku starym dębom do ukończenia kariery życiowej i spoczynku wiekuistego. Stało się to tak jakoś mimochodem. Może popełniłem coś, czego nie wolno, ale cóż

warte byłoby życie, gdyby się miało robić tylko to, co wolno? Drzewo jest własnością miasta, ja także, prawda? Tedy skorzystałem z mych praw po cichu, spokojnie, i basta! Nie nadużywać – to rzecz główna! Zresztą tak czynił każdy...

Ale objąć w posiadanie to jeszcze nic, konieczne było przewieźć budulec, i tu mi dopomogli sąsiedzi. Jeden dał mi wóz, drugi woły, trzeci pożyczył narzędzi, a nawet sam popracował koło obróbki, bo wszakże pomoc taka nic nie kosztuje. Możesz u nas żądać od sąsiada wszystkiego, co ma, nawet żony, tylko nie pieniędzy. Rozumiem to dobrze, pieniądze to możliwość posiadania, czego dusza zapagnie, to symbol marzeń, to rzecz nieobliczalna, a przeto bezcenna. Reszta niewiele warta, albowiem ma się ją już, posiada, a przeto człowiek dla niej zobojeźniał.

Mróz ścisnął właśnie owego dnia, kiedy wraz z kochanym mym Robinetem mogliśmy rozpocząć zaciąganie pierwszych belek. Wszyscy jednozgodnie oświadczyli, że jestem szaleńcem. Dzieci moje robiły mi co dnia sceny, a człowiek najbardziej pobłażliwy radził mi, bym przynajmniej zaczekał do wiosny. Ale nie słuchałem nikogo. Lubię doprowadzać do wściekłości bliźnich mych i wielmożów. Wiedziałem co prawda, że nie zdołam sam, i w dodatku w zimie zbudować domu, ale nie o dom szło na razie, tylko o budę, o przytulisko, o norę króliczą.

Lubię bardzo ludzi, ale pod warunkiem, by ich nie widzieć na oczy, gdy nie jestem usposobiony. Lubię gadać, mleć językiem, ale obejść się nie mogę bez rozmawiania z sobą samym. Jestem dla siebie najlepszym przyjacielem i poszedłbym na koniec świata, by się z nim spotkać. Lekceważąc sobie zdanie ogółu, nie zważając na zaklęcia dzieci – uparłem się budować dalej.

Niestety, nie było mi pisane, że wygram sprawę. Pewnego dnia pod koniec października mroźnik ścisnął kawalerski i belki pokryły się lodem. Wstępując na rusztowanie, pośliznąłem się i nagle... bums! Znalazłem się na ziemi.

– Zabił się! – wrzasnął Robinet.

Przybiegł do mnie, chciał mnie podnieść. Ale powiedziałem z przekorą:

– Zeskoczyłem umyślnie!

Chciałem wstać... Aj... aj! Okropnie mnie boli noga w kostce!... Upadłem z powrotem na ziemię. Przyniesiono nosze, złożono mnie, sąsiedzi utworzyli orszak, odprowadzili mnie do domu, a Martynka załamała rękę. Wyglądało to jak złożenie do grobu, przedstawiane na świętych obrazach, a Maryje nie szczędziły krzyków i lamentów. Umarły zmartwychwstałby od tych hałasów. Ale ja uczyniłem, co mogłem najlepszego: udawałem trupa i w ten sposób umknąłem powodzi wymówek i zarzutów. Leżałem z odrzuconą w tył głową, z brodą wymierzoną w górę, spokojny i nieruchomy, jednak mimo tych pozorów w sercu moim wrzało z wściekłości.

XIII

SAM NA SAM Z PLUTARCHEM

KONIEC PAŹDZIERNIKA

Zostawiłem nogę w paści losu... Oj, źle! Boże drogi, czemuż uwziąłeś się okrutnie na moją nogę? Czyż nie starczyłoby ci żebra lub nawet ręki? Dlaczegoś mi przetrącił filar? Byłbym, oczywiście, jęczał, ale stał, jak się patrzy, a oto teraz walę się! Niechże cię... (chwałą narody ziemi!). Wszystko, co ze mną uczyniłeś, Panie Boże, wygląda tak, jakbyś mnie chciał doprowadzić do ostatniej wściekłości.

Wie on dobrze, że ponad wszelkie dobrodziejstwa ziemi, pracę, hulankę i przyjaźń, cenię sobie wolność, i właśnie dlatego przywiązał mnie za nogę do belki na strychu. Leżę sobie, jak bałwan, na grzbiecie i patrzę na pajęczynę zwisającą z góry. Masz, braciszku, wolność!

Ale nie dam ci się, bratku, tak łatwo. Trzymaj mnie z całej siły, przywiąż, przytrocz, nadziej jak kurę na rożen. Myślisz, że masz mnie w ręce? Zdaje ci się, bo głowa wolna i fantazja buja swobodnie. Spróbuj ją złapać. Trzeba by mieć dobre nogi, ona bowiem wyszła cało z opresji. Spróbujmyż się więc, przyjacielu.

W pierwszych dniach nie byłem zbyt przyjemny, prawda! Mając nienaruszony język kłąłem co wlezie, wiedząc zresztą dobrze, że sam jeden tylko jestem winien. Mało, zem wiedział; kto tylko się zbliżał do mego łóżka, gdakał bez ustanku:

– Wszyscy ci mówili: daj spokój! Po cóż łąziłeś po belkach jak kot? To wstyd staruchowi! Musisz ciągle dreptać. Aha, dreptaj sobie teraz!

Ładna pociecha. Gdy człowiek cierpi, udowodniać mu, że jest durniem – tego chyba za wiele. Wszyscy mi to ciągle powtarzali: Martynka, zięć, przyjaciele, obcy, słowem – całe miasto. A ja musiałem słuchać, bezsilny, złapany w paść, wściekły i znudzony. Nawet ta sroka Glodzia przylazła raz do mnie i wrzasnęła:

– Robisz zbytki, dziadku, dobrze ci się stało! Cisnąłem w nią szlafmycę i huknąłem:

– Wynoś mi się stąd, smarkulo!

Zostałem sam i spostrzegłem, że palnąłem kapitalne głupstwo. Wprawdzie Martynka ostatnim wysiłkiem usiłowała przekonać mnie, iż koniecznie trzeba przenieść me łóżko na dół, do pokoiku za sklepem, ale (mimo ogromnej chętki) uparłem się i wrzasnąłem:

– Nie! nie, do kroćset diabłów! Nie chcę się pokazywać ludziom, gdy jestem połamany. – Byłbym się zresztą chętnie zgodził, gdyby nie ustawiczne domagania się Martynki. Nie mogłem dopuścić, by otrąbiła uroczyście swoje zwycięstwo. Wyrzuciłem ją przeto za drzwi.

I stało się, co się stać musiało: zostawiono mnie w pokoju na strychu... Nie płacz, Colasie, sameś sobie piwa nawarzył.

Ale nie wyjawilem prawdziwej przyczyny mego uporu. Kiedy człowiek nie jest u siebie, boi się, by w niczym nie krępować swych gospodarzy, chce im jak najmniej zawdzięczać. Rachunek jednak zawiódł. Największa mądrość to być kochanym, największe głupstwo – pozwolić, by ludzie o człowieku zapomnieli. No i stało się... Zapomnieli, i to niewypowiedzianie szybko. Nikt mnie odtąd nie odwiedził. Nawet Glodzia nie zjawiła się już.

Słyszałem, jak się śmiała, jak biegła, i uśmiechałem się do niej z głębi duszy, ale wzdychałem jednocześnie. Czyniłem wyrzuty niewdzięcznicy, a przyznawałem, że na jej miejscu uczyniłbym to samo. Baw się zdrowo, maleństwo, ja nie mam wyjścia i muszę gnić, niczym Hiob na śmietniku.

Pewnego dnia (a właśnie byłem bardzo smutny) przybył Paillard. Przyjąłem go niezbyt uprzejmie. Usiadł przy łóżku, trzymając na łonie książkę zawiniętą starannie w papier. Usiłował nawiązać rozmowę, ale nie kleiło się jakoś. Ukręcałem kark każdemu tematowi, przecinałem wątek twardym słowem wypowiedzanym z wściekłością w głosie.

Nie wiedział, co mówić, pokaszliwał, wreszcie zaczął dla kontenansu bębnić marsza po brzegu łóżka. Poprosiłem go, by przestał. Skulił się zaraz, zmartwiało i nie śmiało się ruszyć. Śmiałem się w duchu i myślałem:

„Aha, masz teraz wyrzuty sumienia. Gdybyś był pożyczył pieniędzy, nie

byłbym zmuszony łązić po belkach. Złamałem nogę, dobrze ci tak! Ciesz się mną! Bo właśnie twoje sknerstwo doprowadziło mnie do nieszczęścia!”

Nie śmiał ust otworzyć, a ja również milczałem, chociaż świerzbili mnie język. Na koniec wybuchnąłem:

– Gadajże, u licha! Myślałby kto, że siedzisz u łóżka konającego! Któż przyłazi po to, by milczeć? Gadaj albo wynoś mi się. Nie wytrzeszczaj gał, nie skub tej przeklętej książki... Cóż to jest?

Biedaczysko wstał i powiedział:

– Drogi Colasie, widzę, że jesteś poirytowany. Przeto odchodzę. Przyniosłem ci książkę... to Plutarcha^[64]. Żywoty sławnych mężów przełożone na francuski przez biskupa Auxerre, messira Jakuba Amyot. Myślałem... (nie był jeszcze zdecydowany), myślałem, że może... (ach, ileż go to kosztowało!), sądziłem, że cię to zajmie, że znajdziesz pewną rozrywkę... pociechę pewną w czytaniu...

[64] Plutarch (46-120) – pisarz grecki; jego dzieło *Żywoty sławnych mężów* było bardzo popularne w XVII wieku. Występujące w dalszym ciągu tego rozdziału słynne postacie świata starożytnego, jak Cezar, Antoniusz, Pompejusz, Polikrates i in., są opisane w *Żywotach*.

Znałem jego niechęć do pożyczania książek, wiedziałem, że zazdrosny jest o nie, że dałby raczej wór dukatów niż najmniejszy tomik. Wiedziałem, że na widok dotknięcia swego skarbu przez innego człowieka drżał niby kochanek, gdy jakiś włóczykię obejmuje w pół jego umiłowaną!

– Drogi przyjacielu! – powiedziałem. – Jesteś lepszy ode mnie. Jestem kanalia. Chodź, pocałujmy się!

Ucałowałem go, wziąłem książkę, a kiedym już ją trzymał, Paillard uczynił gest, jakby chciał mi ją odebrać.

– Ale proszę cię, nie zniszcz.

– Bądź spokojny! – odparłem. – Włożę ją pod głowę niby poduszeczkę...

Poszedł smutny, niepewny, zatroskany o los swego skarbu.

*

Zostałem tedy sam na sam z Plutarchem z Cheronei, malutkim, grubiotkim tomikiem, o tysiącu przeszło stronach drobnego, zbitego druku. Pełny był słów, jak worek ziaren pszenicy.

Pomyślałem sobie:

„Jest co jeść przez trzy lata bez przestanku dla trzech żarłoków.”

Z początku zabawiałem się oglądaniem nagłówek rozdziałów, ozdobionych owalnymi medalionami wyobrażającymi głowy słynnych mężów, ucięte, niby świńskie główki, zamarynowane i przybrane bobkowymi wieńcami. Brakło jeno chrzanu i pietruszki w nozdrzach.

Myślałem:

„I cóż mnie obchodzą, u diaska, ci wszyscy Grecy i Rzymianie? Pomarli dawno, a ja żyję! Cóż mi mogą nowego i ciekawego powiedzieć? Wiem wszystko, wiem doskonale, że człowiek to zwierzę złe, choć zabawne, że wino starzejąc się staje się coraz lepsze, kobieta zaś coraz gorsza, że na całym świecie wielki i mocny pożera słabszego i małego, mały zaś i słaby kpi z wielmoży. Mierzą mnie te długie wywody, lubię krasomówstwo, ale pod warunkiem, bym sam gadał.”

Zacząłem przeglądać książkę z miną łaskawą, wodząc spojrzeniem po wierszach, niby po smudze rzeki. I nagle... nagle wzięło mnie, powiadam wam, moi państwo... co za połów! Pławik wędkę zanurzał się raz po raz. Wyciągałem karpie, liny, szczupaki, ryby złote, srebrne, amarantowe, tęczowe, wysadzone klejnotami, miotające wokoło siebie blaski. A wszystkie żyły, rzucały się, trzepotały ogonami, skakały po brzegu! Cóż za cymbał śmiał twierdzić, że pomarły? Dawać go tu!

Od tej chwili świat mógł się chwiać pod moimi stopami, ziemia rozpadać się w kawałki. Nie zwracając na nic uwagi zapuszczałem wędkę i śledziłem pławik, który dawał ciągle nura w fale. „Co za stwora wyłoni się teraz z wody” – myślałem za każdym razem z najwyższym zaciekawieniem. I oto...

jest! Nowa, nieznana dotąd rybka wypłynęła z toni, z białym brzuszkiem, nakrapianymi bokami, grzbietem zielonym i niebieskim, mieniącym się w słońcu. Dni (czy tygodnie, nie wiem dobrze) spędzone na tym rybołówstwie zaliczam do największych skarbów mego życia. Niech żyje moja złamana noga!

Dziękowałem Bogu, że mi nie zabrał oczu, gdyż za ich pomocą mogłem czerpać cudne wizje zawarte w tej księdze. Oczy to cudotwórcy! Przemieniają jednostajne, czarne paski liter, podobne stadku owiec biegnących gościńcem pomiędzy dwoma rowami, w nieśmiertelne zjawy przemienionych dawno kształtów. Powstają z martwych armie, miasta rozpadłe w proch, piękni, dostojni mówcy, wojownicy zajadli, bohaterowie i kobiety, które ich za nos wodziły, wieją wichry po pustyniach, kłębią się chmury na graniach, łyska w słońcu roztocz morza, żarzy się niebo Wschodu, bieleją lodowce na szczytach...

Widzę Cezara. Blady, zawiędły spoczywa w lektyce niesionej przez sługi, a za nim świta dostojników. Oglądam Antoniusza idącego przez pola z wojskiem, z zapasami, naczyniem i dziewczętami, patrzę jak rozbija obóz na skraju lasu, ucztuje, pożera całego dzika, pije, oddaje co pochłonął i pakuje na nowo! Dalej kroczy Pompeusz rozważny, Polikrates w wielkim kapeluszu i w wyszywanym złotem płaszczu, na którym widnieją symboliczne figury ziemi i nieba. Jawi mi się przed oczyma wielki Artakserkses, jak byk w stajni panujący nad czterystoma kobietami swego haremu, dalej piękny Aleksander przebrany za Bachusa, wracający z Indyj na wspaniałym wozie zaprzężonym w osiem koni, pokrytym dywanami i świeżym kwieciem, a pochodowi towarzyszą tony skrzypek, piszczałek, oboi i innych instrumentów. Pije i biesiaduje ze swymi marszałkami, przybranymi w kapelusze z kwiatami, oraz żołnierzami, co płyną za nim falą, wznosząc puchary, oraz kobietami płasającymi w podskokach.

Czyż to nie cuda?

Królowa Kleopatra, Lamia-fletnistka, Statira tak piękna, że od patrzenia na

nią bolały oczy... Ba, przysięgam na brodę Antonina lub Artakserksesa, osiąść je mogę, gdy jeno zechcę. Wkraczam do Ekbatany, uczuję z Tais, spędzam noc z Roksaną, unoszę w tłumoku na piersiach Kleopatę, płonę wraz z Antiochem trawionym namiętnością dla teściowej swej, Stratoniki (ładna sprawa!), tępię Galów, przybywam, patrzę i zwyciężam, a wszystko to dzieje się (co rzecz najlepsza) bez straty choćby jednej kropli krwi.

Jakżem bogaty! Każda opowieść to karawana przywożąca mi z Indyj czy Dalekiego Wschodu drogocenne metale, ogromne beczki starego wina, dziwaczne zwierzęta i branki wojenne. Śliczne, szelmy! Co za piersi, biodra, uda, zady! A wszystko to moje. Mocarstwa powstawały, kwitły i zamierały dla mojej wyłącznej rozrywki.

Cóż to za karnawał? Wydaje mi się, że jestem każdą po kolei maską. Włożę w ich skórę, dopasowuję sobie ich członki, wchłaniam namiętności i tańczę. Jednocześnie jestem wodzirejem, a także kapelmistrzem, wreszcie jestem też samym czcigodnym Plutarchem. To ja, ja, u diaska, sam napisałem te wszystkie cudęńka. (Miałem natchnienie, nieprawdaż?) O, jakże to miło delektować się muzyką słowa, okrągłością zdania, jak słodko dać się unosić w przestrzeń wśród uśmiechu, czuć się wyzwolonym z więzów ciała, wolnym od wszelakiego zła, od starości! Ach, wszakże duch to Bóg! Niech będzie pochwalony Duch Święty!

Czasem przerywam opowiadanie w połowie i komponuję ciąg dalszy, a potem porównuję dzieło mej wyobraźni z tym, które ukształtowało życie lub też sztuka. Jeśli sztuka – odgaduję często tajemnicę. Oo, bo ze mnie stary lis znający się na wszystkich sposobach i sposobikach, przeto śmieję się do siebie, rad, że ją umiał przeniknąć. Gdy jednak sprawa dotyczy życia, myślę się niemal zawsze. Życie drwi z naszych forteli, a wyobraźnia jego przekracza o wiele naszą. To zajadła kumoszka! Pod jednym jeno względem nie wysiła się na wielkie urozmaicenie historyjki, a mianowicie jej końca. Wojny, miłostki, facecje – wszystko to kończy się nurkiem w dziurę znaną dobrze. Pod tym względem życie powtarza się do niemożliwości. Czyni jak

kapryśne dziecko, co psuje zabawki, gdy ich ma dosyć. Wściekam się i wrzeszczę:

„Ohydny brutalu, zostaw w spokoju moje bawidełka!” Wydzieram mu je z rąk... Niestety, za późno to uczynił... już zepsute. Doznaję słodkiego upojenia kołysząc w ramionach, jak to czyni Glodzia, szczątki mych laleczek. Owa śmierć nadchodząca punktualnie, jak godzina po obiegu wskazówki dokoła tarczy zegara, nabiera uroku powtarzającego się refrenu. Niechże tedy tętnią dzwony, niech biją godziny: ding, ding, don!

– Jestem Cyrus, ten, który podbił Azję, władca Persów, i proszę cię, drogi przyjacielu, nie zazdrość mi tej odrobiny ziemi nakrywającej ciało moje.

Odczytuję epitafium na grobowcu Aleksandra i wydaje mi się, że drży w nim strach jakiś dziwny i przemawia głosem Aleksandra. O Cyrusie, Aleksandrze, o ileż bliżsi mi jesteście przez to, żeście pomarli!...

Widzę ich czy marzę o nich? Szczypię się i mówię sobie: „Cóż to, Colasie, czyś zasnął?” Biorę z małego stoliczka u wezglowia łóżka dwa medale (wykopałem je z ziemi w winnicy mojej zeszłego roku). Jeden przedstawia kudłatego, ubranego jak Herkules Komodusa, drugi wyobraża Kryspinę Augustę o podwójnym podbródku i spiczastym, sroczym nosie. Powiadam sobie tedy: „Nie śnię, mam oczy otwarte i Rzymu dotykam palcami.”

Cóż to za rozkosz zatapiać się w koniunktury, w rozpamiętywania moralne, dysputować samemu z sobą, przywracać do życia problemy światowej wagi, rozstrzygnięte już przez życie, namyślać się nad Rubikonem: przejść czy zostać na brzegu... a może by przejść... ej, nie! Co za miła rzecz walczyć z Brutusem czy Cezarem, godzić się na jego zapatrywanie, potem nabierać przeciwnego poglądu, a wszystko czynić z taką finezją i tak bałamutnie, że człowiek nie wie w końcu, po czyjej stoi stronie. To najzabawniejsze właśnie, że człowiek się zapala, zatapia w dyskusję, dowodzi, wysila się, replikuje, ripostuje, zadaje ciosy, kładzie przeciwnika na obie łopatki... a w końcu spostrzega, że został zapędzony w kozi róg. Ha, pobity został człek przez samego siebie. To wina Plutarcha. Ile

razy swym pozłocistym językiem powie z życzliwą, dobroduszną miną: „Mój drogi”, człowiekowi wydaje się, że ma słuszość zupełną, a że owa racja zmienia się w każdym opowiadaniu, to już do sprawy nie należy. Krótko i węzłowato, spośród bohaterów jego najbardziej i najwyłączniejsz podoba mi się ostatni, o którym czytałem. A dzieje się to tym pewniej, że wszyscy oni są powolni tej samej heroinie, zaprężeni do jej wozu. Czymże wobec tego jest triumf Pompejusza? Ona to kieruje historią. Heroina owa to fortuna, która pędzi na toczącym się ciągle i nigdy nie zatrzymującym się kole, przechodząc na sposób księżycy lunacje, jak rzecz u Sofoklesa określa rogal-Menelaus. Jest to sprawa bardzo pomyślna dla tych zwłaszcza, którzy się znajdują w pierwszej kwadrze.

Czasem powiadam sobie: „Breugnon, przyjacielu mój, jakże, u stu tysięcy starych diabłów, może cię to bawić? Cóż cię, powiedz szczerze, obchodzi cała ta rzymska sławna historia, a tym bardziej szaleństwa onych wielkich oczajduszów? Masz dość szaleństw własnych, skrojonych na twoją miarę. Czy już nie masz nic do roboty lepszego jak brać na plecy błędy, występki i nędzę ludzi, którzy pomarli tysiąc osiemset lat temu? Przyznaj, drogi chłopcze (tak gada Breugnon, rozsądny, osiadły mieszczuch z Clamecy), że twój Cezar, Antoniusz i ta szelma Kleo, twoi książęta perscy, mordujący synów swych i gwałcący córki własne, to po prostu bujda! Pomarli, a w ciągu życia nie zrobili nic naprawdę rozsądnego. Zostaw ich popioły w spokoju. Jakże człowiek wiekowy i rozsądny może lubować się w tych wszystkich zdrożnościach? Pomyśl tylko o Aleksandrze! Czyż cię nie oburza, że zmarnował skarb całego narodu po to jeno, by pogrześć młodego faworyta swego, Hefestiona? Darujmy im zresztą mordy i wojny. Nasienie ludzkie diabła warte! Ale zmarnować tyle pieniędzy? Widać zaraz, że zbóje te nie pracowały nigdy na życie. A tobie się to podoba. Oczy ci wyłażą ze łba i uczuwasz dumę, jakby dukaty owe z twojej uleciały kabzy. Słuchaj, gdyby nawet tak było, byłbyś osłem dardanelskim, a jesteś dubeltowym, radując się szaleństwami, które popełnili za ciebie inni.”

Odpowiadam: „Drogi Breugnon, mowa twa złotem jest i masz zawsze rację. Niemniej jednak faktem jest, że dałbym sobie wlepić porcję kijów za tych draniów i że uważam owe cienie, uwolnione z ciał przed dwoma tysiącami lat, za twory żywsze od nas samych. Znam tych ludzi i kocham ich. Zgadzam się chętnie, by mnie Cezar zabił, byle się zgodził płakać nade mną podobnie jak nad zwłokami Klitusa. Ścisła mnie w gardle, gdy widzę Cezara w senacie pod ciosami sztyletów, podobnego zwierzęciu osaczonemu przez myśliwych i psy gończe. Patrzę z otwartymi ustami na łódź pozłocistą, co wiezie Kleopatę otoczoną nereidami uwieszonymi pośród lin i małymi nagimi pazikami, podobnymi do amorków. Rozwierają mi się nozdrza, chwytając wonny powiew od barki płynącej. Płacę jak cielę na widok śmierci Antoniusza, okrytego krwią, konającego, spętanego liną i ciągnionego z całej mocy przez kochankę, co wychyla się przez okienko wieży (ach, jakież ciężki, boję się, by go nie puściła), gdy widzę, jak biedny człowiek wyciąga do niej rękę.”

Wzrusza mnie i przywiązuje do nich, jak do familiantów, to właśnie, że są ludźmi, moimi krewniakami!

Ach, jakże serdecznie współczuję z wydziedziczonymi, którzy nie znają rozkoszy czytania! Zdarzają się ludzie drwiący z przeszłości i bardzo dumni z tego, że ich jeno terażniejszość obchodzi. To krótkowidze niesięgający wzrokiem poza koniec swego nosa. Oczywiście, dobra jest chwila bieżąca. Ale, u licha, wszystko jest dobre, przeto biorę, co się da i gdzie się da, i nie myślę dąsać się na żadną zastawioną ucztę. Nie mówilibyście tak, drodzy przyjaciele, gdybyście wiedzieli, co to jest przeszłość. A może macie kiepskie żołądki? Moim zdaniem, trzeba pchać, ile się zmieści. Wy, zdaje się, nie jesteście pojemni, a kochanki wasze są również chude. Dobrze, a mało to – *summa summarum*^[65] – mało. Wolę dużo i dobrze. Trzymać się chwili bieżącej to uchodziło, moi mili, za czasów Adama, który z braku odzieży chadzał nago, a nie widząc nic, poprzestawać musiał na pośladkach swej samicy. Ale nam przypadło żyć w długi czas po nim i zamieszkać w

domu dostatnim, do którego ojcowie i arcyprzodkowie nasi naznosili wszelakiego dobra. Toteż bylibyśmy szaleńcami pałac nasze spichrze dlatego jeno, że pola rodzą świeże zboże. Poczciwy stary Adam był dzieckiem. Jestem również starym Adamem, albowiem jestem człowiekiem, ale urosłem znacznie od tego czasu. Jesteśmy te same drzewa, ale korony nasze sięgają wyżej. Każdy cios obrabujący gałąź odczuwam we własnym pniu. Mam współudział w radościach i troskach wszechświata, cierpię z cierpiącymi, śmieję się ze szczęśliwymi. Lepiej niżli w życiu przez książki czuję braterstwo łączące ludzkość całą, wszystkich noszących łachmany i korony, albowiem z jednych i drugich nie pozostanie nic prócz popiołu i płomienia, który, sycony samą treścią dusz naszych, jedną a wieloraką, wzlata ku niebu, głosząc niezliczonymi krwawymi językami chwałę Wszechmocnego.

[65] *summa summarum* (łac.) – wszystko razem; wzięwszy wszystko pod rozwagę.

Długo tak marzyłem samotny na strychu. Jesienny wichur ustał, ściemniło się jeszcze bardziej, śnieg zaczął muskać szyby końcami swych skrzydeł. Cienie rozesłały kobierce od ściany do ściany. Coraz mniej widzę. Pochyliam się nad kartkami, chwytam opowieść, co czmycha przede mną, kędyś ku mrokom dążąc. Dotykam nosem papieru, niby pies idący tropem. Daremnie. Nadchodzi noc. Zwierzyna pierzchła, przepadła.

Zatrzymuję się pośród boru i nasłuchuję, a serce mi bije mocno. Pogłosy giną, topią się w dali. Zamykam oczy, by widzieć lepiej, i marzę nieruchomy, wyciągnięty na łóżku. Nie sypiam, wolę przetrwać swe myśli, delectować się obrazami, dumam... Spoglądam nieraz przez pół nocy w niebo pocięte prostokątami szyb. Wyciągam ramiona, dotykam wklęsłej hebanowej kopuły nieba i myślę o tym, gdzie jest teraz gwiazda Cezara. Może to jego krwią rosi się niebo?

Świta, ja ciągle marzę...

Jawi się dzień niedzielny, dzwony grają, a ja upajam się tą muzyką wypełniającą dom od piwnic do mego strychu.

I znowu wraca wizja. Niby opar wzbija się z kart książki. (Kart pokrytych moimi dopiskami. O, biedny Paillard!) Słyszę tętniące wozy, łomot nóg zbrojnych kohort, brzmia fanfary, huczą rogi, rżą konie! Drżą szyby, dzwoni mi w uszach, bije młotem serce i już mam zawołać: *Ave, Caesar Imperator!*

[66]

[66] *Ave, Caesar Imperator!*

Nagle wchodzi mój zięć Florymond, woła mnie, pyta, jak spałem, potem zbliża się do okna, ziewa głośno i oświadcza:

– Diabeł dziś hula po polach, zadymka straszna! Psa kulawego nie było od rana na gościńcu!

XIV
KRÓL SIĘ BAWI

ŚW. MARCINA (11 LISTOPADA)

Ciepło się zrobiło na świecie. Powietrze muskało człowieka tak rozkosznie, jakbyś przeniknął po pulchnym liczku dziewczęcym.

Po prostu świat ocierał się o ciebie jak rozpieszczona kotka. Płynął od okna nektar prześwietlony słońcem. Rozwarły się powieki chmur i niebios a poglądały szarobłękitną źrenicą, na dachu złocił się wesoły promień słońca.

Dziwnie się czułem. Trochę jak zwierzątko, trochę jak marzyciel, a nade wszystko jak zwyczajny smarkacz. (Postanowiłem sobie nie starzeć się. Na złość, cofam się wstecz w latach, tak że niebawem trzeba będzie postarać się o pieluszki.) Serce wezbrało tęsknym oczekiwaniem, gapiło się na świat, rzecz można, jak Imć Pan Roger na boską Alcynę^[67]. Patrzyłem na wszystko z jakimś wewnętrznym rozczuleniem. Niezdolny byłbym dzisiaj zrobić krzywdy musze.

[67] Roger i Alcyna – postacie z poematu *Orland szalony* włoskiego poety Ariosta (1474-1533).

Myślałem, że jestem sam. Nagle spostrzegłem, że w kącie siedzi Martynka. Nie zauważyłem jej dotąd wcale. Nie rzekła ani słowa, co stało w sprzeczności z jej usposobieniem, siadła tylko, zajęła się jakąś robótką ręczną i nie patrzyła wcale na mnie. Uczułem potrzebę podzielenia się z nią szczęśliwością, która mnie ogarnęła, spytałem tedy na chybił trafił, by rozpocząć rozmowę:

– Z jakiegoż to powodu dzwoniono dzisiaj rano u Św. Marcina?
Wzruszyła ramionami i odparła:

– Dziś właśnie mamy św. Marcina.

Spadłem z wyżyn uniesienia na ziemię. W marzeniach swych zapomniałem całkiem o wielkim patronie rodzinnego miasta.

– Jak to? – zawołałem zdumiony.

Wśród tłumu mych przyjaciół-bohaterów z Plutarcha ujrzałem w tej chwili starego a równego im zaprawdę męża tnącego mieczem swój płaszcz, by się nim podzielić z biedakiem.

– Marcinku, przyjacielu drogi! – zawołałem. – Jakże mogłem zapomnieć o tobie!

– Dziwisz się? – zauważyła Martynka. – No to dobrze! Czas najwyższy, byś, ojczy, odzyskał zmysły! Zapominasz o Panu Bogu, o rodzinie, szatanie i wszystkich świętych, Marcinie i Martynce. Nie istnieje dla ciebie nic prócz tej przekłętej książki.

Roześmiałem się. Zauważyłem już od dawna złe spojrzenie rzucone w moją stronę, gdy przychodziła rano i widziała, że śpię ze swoim umiłowanym Plutarchem. Kobieta nie jest zdolna pokochać książki miłością bezinteresowną. Widzi w niej rywalkę lub kochankę. Czytając, kobieta czy dziewczyna oddaje się bohaterowi oszukując mężczyznę. Dlatego widząc, że mężczyzna czyta, sądzi, że ją zdradza.

– To wina św. Marcina! – odparłem. – Nie pokazuje się. Zabrał do nieba swoją połowę płaszcza i poszedł. Córkę moja, zapamiętaj, że nie należy dać zapominać o sobie. Kto znika, o tym świat zapomina.

– Nie potrzebuję tej nauczki. Gdziekolwiek jestem, wszyscy o mnie wiedzą dobrze!

– Racja! Wszędzie cię widać, a jeszcze bardziej słyhać. Dziwię się, że nie zwymyślałaś mnie dzisiaj. Czuję brak besztaniny! Ano, zaczynaj!

Odwróciła głowę.

– Na nic się nie przyda! – odburknęła.

Żał mi się jej zrobiło, więc powiedziałem:

– Chodźże, pocałuj mnie! Zapomniałem o Marcinie. Dziś twoje imieniny, mam dla ciebie podarek. Chodź, weź go sobie.

Zmarszczyła brwi.

– Kiepskie żarciki! – rzekła cierpko.

– Nie żartuję! – odparłem. – Chodź, a przekonasz się!
– Nie mam ochoty!
– Wyrodna córko! – zawołałem. – Nie masz ochoty pocałować chorego ojca? Wstała i podeszła z wahaniem.

– Cóż to znowu za psi figiel, he? – spytała. Wyciągnąłem ramiona.
– Pocałuj mnie!
– A podarek?
– Masz go w ramionach, to ja sam!
– Ładny prezent! Nie ma co mówić...
– Ładny czy nieładny, ale damę wszystko, co mam, bez zastrzeżeń, zdając się na łaskę i niełaskę. Zrób ze mną, co ci się podoba!

– Więc godzisz się zamieszkać na dole?
– Jestem twym niewolnikiem...
– I przyrzekasz słuchać mnie, godzisz się, byśmy ci okazywali przywiązanie, zezwalasz, bym tobą kierowała, pielęgnowała cię, burczała?

– Wyrzekam się własnej woli...
– To doskonale! Teraz poznasz mą zemstę! Drogi ojczaszku, kochany staruszku, jakże jesteś dobry, jakże cię kocham! Nie masz pojęcia, ile się przez ciebie nacierpiałam!

Ucałowała mnie serdecznie, wyściskała w objęciach, wygłaskała jak małego pędraka i zaraz zabrała się do roboty. Nie chciała czekać ani godziny. Zawinięto mnie, Florymond wraz z piekarczykami w białych myckach znieśli mnie wąskimi schodami na dół, wprost do wielkiego łóżka, a Martynka i Glodzia usiadły bliźniutko i powtarzały po sto razy w kółko:

– Mamy cię, włóczęgo! Wpadłeś nareszcie w sidła! Bardzo mi było słodko!

Od czasu niewoli odrzuciłem precz pychę, poddałem się pokornie Martynce, ale zdaje mi się – nic wiem, czy to prawda – że od tej pory właśnie ja zacząłem rządzić wszystkim w całym domu.

Martynka siaduje teraz często przy mnie i rozmawiamy sobie. Wspominamy także posiedzenia i pogawędkę z dawnych czasów. Ale wtedy ona była przywiązana do łóżka, albowiem zwichnęła sobie nogę wyskakując pewnej nocy oknem, by biec do kochanka. Mimo że była już ukarana przez Opatrzność, nie pożałowałem od siebie nauczki i sprąłem ją na kwaśne jabłko. Śmieje się teraz z przygody i powiada, że trzeba było jeszcze mocniej bić. Wówczas jednak miałem z nią krzyż pański. Nie pomagały wały, znikąca jak kamfora, ledwo się obróciłem plecami. Trafiła kosa na kamień, córka przechytryła zawsze ojca. Ale ostatecznie nic się złego nie stało. Martynka miała dosyć zdrowego sensu, by nie stracić przynajmniej głowy, i właśnie kochanek wpadł, nie ona, gdyż został potem jej mężem.

Śmieje się dziś ze swych szaleństw i powiada, że nie co dzień jest świętego Mikołaja. Życie jest życiem i trzeba się doń zastosować. Rozmawiamy o jej mężu. Ponieważ jest kobietą rozsądną, chwali go jako uczciwego małżonka i nie spodziewa się po nim zbyt wiele. Nie jest co prawda zabawny, ale nie daje również powodu do skarg. Wszak małżeństwa nie kojarzą się dla zabawy.

– Każdy to wie, ale nie wszyscy wyciągają praktyczne wnioski! – mawiała. – Trzeba mieć rozsądek. Szukać miłości u męża to takie samo głupstwo jak chcieć czerpać wodę przetakiem. Nie jestem głupia, przeto nie pożądam rzeczy, które są niemożliwe do osiągnięcia. Zadowolam się tym, co posiadam, nie żałuję niczego. Mimo to widzę teraz, jak daleko od tego, co się osiągnąć da, do tego, co by się chciało, i od marzeń młodości – do tego co się osiąga w starości lub w czasie, gdy się ona zbliża. Ale człowiek czuje się zadowolony z tego, że ma w ogóle coś. Nie wiem doprawdy, czy jest to bardziej bolesne, czy śmieszne? Ileż nadziei, rozpacz, namiętności i tęsknot, ileż precudnych marzeń, ileż pięknego płomienia zużywa się na to, by wreszcie zagrzać przy tym wszystkim saganek i ugotować trochę pożywienia. Dobrze jest to jadło, ani słowa, starczy dla nas i niewarciśmy niczego więcej... Ale gdybym to była wiedziała dawniej... Zresztą na

wszelki wypadek pozostaje nam w odwodzie wesołość, będąca tak doskonałą przyprawą, że można strawić nawet kamienie. Bogactwo to niezmierne i nie zabraknie nigdy zapasów ani mnie, ani tobie, bo nawykliśmy oboje śmiać się z głupstw własnych, gdy się przekonamy, żeśmy je popełnili.

Nie bronimy sobie również śmiać się z bliźnich naszych. Czasem milczymy, marzymy, dumamy, ja siedzę z nosem wsadzonym w książkę, ona w robotę, ale nie przeszkadza to językom, które po cichu pracują dalej w sposób podobny do podziemnych strumieni, co wybłyskują nagle na światło. Martynka wybucha po długim milczeniu śmiechem, a języki zaczynają taniec na nowo.

Tak sobie rozmawiamy, a ja czasem próbuję włączyć mego kochanego Plutarcha do towarzystwa. Razu pewnego koniecznie zapragnąłem dać poznać Martynce wielkie piękno tych opowieści bohaterskich. Ale nie odniosłem sukcesu. Jabłko lub ryba obchodzą ją znacznie więcej od owych Greków i Rzymian. Starła się przez grzeczność słuchać z uwagą, lecz po dwu zdaniach uczułem, że myśl jej była daleko w polu albo wędrowała po całym domu od piwnic do strychu.

W miejscu najciekawszym, kiedy starałem się jak najlepiej przygotować efekt końcowy, kiedy zniżyłem głos do szeptu, by zagrzmieć potężnie finałem, uprzedzała mnie niespodzianie, wołając to Glodzię, to Florymonda, tak że słychać było na końcu podwórza.

Czułem urazę i dałem spokój. Nie można żądać od kobiety, by podzielała nasze marzenia. Kobieta to połowica mężczyzny. Tak, ale która połowa? Górna czy może dolna? To tylko pewne, że nie można się z nią porozumiewać mózgiem. Każda z połówek ma własną szkatułkę z szaleństwami. Z babą można się porozumieć jeno sercem.

Bardzo mi to łatwo przychodzi. Zresztą choć jestem stary brodacz-siwiec i kaleka, lubię kobiety i dokazałem tego, że codziennie otacza mnie przyboczna gwardia młodych, ponętnych kumoszek z całego miasta.

Obsiadają moje łóżko jak turkawki i gruchają. Przybiega każda pod pozorem, że ma jakiś interes albo ważną nowinę, wreszcie, niby to chcąc pożyczyć naczynia. Każdy pretekst jest dobry, byle o nim zapomnieć po przekroczeniu progu.

Gdy raz się zbiegną, siadają niby na jarmarku wokół cielecia nakrytego pierzyną, to jest mnie. Bywa wesoła Wilhelminka, Huquette o pięknym nosku, Jacquotte, która wie wszystko, Marqueron, Alizon, Gilette i Macette. Oblegają mnie te ślicznotki i gdaczą niby kurki, ćwierkają niby wróbelki, gęgają niby gąski. Gadamy, śmiejemy się, a że chociaż kaleka i staruch, mam pełen worek anegdotek, łaskotliwych przypowieści i kalamburów, dotyczących rzeczy, których pono tykać nie wolno, przeto lubią mnie.

Śmiech słychać aż na ulicy, a Florymond czuje zazdrość i pyta o tajemnicę powodzenia.

– Tajemnica moja? Cha, cha! Całą tajemnicą jest młodość moja! Tak, drogi staruszku!

– Ej nie! – odparł. – Nie! Stary kobieciarz ma zawsze szczęście do bab. Latają za nim jak opętane.

– I słusznie! – zawołałem. – Czyż wysłużonemu żołnierzowi nie należy się uznanie? Wszyscy tłoczą się dokoła niego mówiąc: „On wraca z poła chwały!” Podobnie kobiety mówią sobie: „Colas odbył tyle kampanii w krainie miłości. Zna on kobiety i orientuje się, jak z nimi walczyć. Zresztą któż wie, może zacznie jeszcze wojować na nowo?”

– Stary rozpustniku! – zawołała Martynka. – Czyż śmiesz twierdzić, że ci teraz miłość w głowie?

– Czemuż by nie? Właśnie nad tym rozmyślałem, czyby się nie ożenić powtórnie? A co, wściekłybyś się ze złości?

– Żeń się, mój chłopcze, żeń się, niech ci się szczęści! – powiedziała. – To prawda, młodość musi się wyszumieć.

ŚW. MIKOŁAJA (6 GRUDNIA)

Na św. Mikołaja^[68] wstałem z łóżka i przytoczono mnie do okna w wielkim fotelu. Pod nogami miałem ogrzewaczkę, przed sobą pulpit drewniany z dziurą na świecę. Około dziesiątej przed południem przedefilowała przed domem naszym konfraternia marynarzy i robotników rzecznych z muzyką na czele, z godłem cechu wysoko wzniesionym w górę. Obchodzili miasto przed udaniem się do kościoła. Ujrawszy mnie przystanęli i wydali okrzyk powitalny. Podniosłem się i oddałem hołd patronowi, potem otwarłszy okno uściskałem prawicę każdego z nich, a wreszcie wlałem w każde gardło kropelkę napoju. Zaiste, była to kropelka w otchłani morza.

[68] Mikołaj – po francusku Nicolas, zdrobniale: Colas.

Około południa zjawili się moi syneczkowie i złożyli mi powinszowanie. Chociaż są w rodzinie nieporozumienia, raz do roku trzeba się dogadać, a imieniny ojca to u nas rzecz święta, to oś, dokoła której obraca się instytucja rodziny. Trzymam się tego i nie popuszczę do śmierci.

Tego dnia onego cała rodzina zebrała się razem. Nie bardzo uradowane mieli miny chłopcy moi. Zdaje mi się, że mimo wszystko ja jestem jedynym pomiędzy nimi łącznikiem.

W czasach naszych rozluźnia się wszystko, co stanowiło łącznik pomiędzy ludźmi, a więc dom, rodzina i religia, każdemu wydaje się, że on sam jeno ma rację, i każdy żyje z osobna. Nie chcę odgrywać niewdzięcznej roli starca, który oburza się na wszystko, dąsa i sadzi, iż świat się wraz z nim skończy. Jakoś sobie poradzi bez niego, a wiem, że młodzi znają lepiej od starych własne potrzeby. Świat zmienia się wokoło nas, a kto się wraz z nim nie zmienia, dla tego miejsca nie ma. Nie jestem tego co inni starcy zdania.

Siedzę w swoim fotelu, zostanę w nim, i basta. A jeśli trzeba zmienić zapatrywanie, by ocalić fotel... zgoda, zdobędę się i na to i tak zrobię, że nie przestając być tym, czym byłem, zmienię się nie do poznania. Na razie z fotela mego przyglądam się zmianom na świecie i słucham sporów młodych ludzi. Podziwiam ich, przytakuję, a w cichości czekam sposobnego momentu, by ich tam zawieść, gdzie mi się podoba.

Czterej synowie moi siedzieli tedy przy stole. Po prawicy tkwił Jan Franciszek, bigot katolik, po lewicy Antoni, hugonot z Lyonu. Nie patrzyli na siebie wcale, szyje ich oprawione były w sztywne kołnierze, plecy obciążone sukniem, a kuperki z dystynkcją zadarte. Jan Franciszek był rumiany, świeży, miał uśmiech na twarzy, a oczy surowe. Mówił ciągle o swych interesach, zasobach pieniężnych, powodzeniach, wychwalając sukno i Pana Boga, który popierał jego handel.

Antoni, wygolony, z długą bródką, strzyżoną niemiecką czy angielską modą blade, zimny, sztywny, ponury, mówił jakby do siebie o swych obrotach księgarskich, podróżach do Genewy i także wychwalał Boga, ale dawał do poznania, że to całkiem inna osobistość. Mówili na przemian, ale nie zwracali uwagi na słowa poprzednika, podejmując ciągle swoją własną piosenkę.

Na koniec obaj przeszli na kwestie religijne. Franciszek słał potęgę prawdziwej wiary. Antoni rozповідаł o postępach wiary prawdziwej w świecie. Przy tym ciągle udawali, że się nic widzą, i nic zwracali wzajemnie uwagi na swe słowa. Tylko w intonacji głosów przebijała głęboka pogarda, jaką każdy czuł dla Boga swego przeciwnika.

Trzeci synalek, Michał, sierzant pułku sacernońskiego (niezły to chłopak), chodził po izbie jak wilk po klatce, gwizdał, bębnił po szybach, nucił urywki piosenek, patrzył na obu gadających braci, mieszał się do rozmowy, wtrącał dowcipy, śmiał się im w nos albo wreszcie przerywał im brutalnie i oznajmiał, że są dwa barany, a bez względu na to, który z nich naznaczony jest krzyżem czerwonym, a który białym, obaj utuczyci się, jak należy, tedy

mięso mają smaczne, co się przy okazji pokaże... Jadało się już rozmaite baranki.

Na koniec czwarty, Anisse, siedział z gębą szeroko otwartą. Nie wiem, czym nie zapomniał powiedzieć, że to nie on wynalazł proch. Lubił jeno ziewać i nudzić się po całych dniach. Dyskusja go niepokoiła. Uważał politykę i religię za wymysł szatana, który dręczy umysł ludzi zamiłowanych w drzemce. Był zdania, że świat to materac, w którym każdy ma swój wyleżany dołek. Leżał w swoim dołku i nie lubił, by trzepano materac. Mimo to trzepanie odbywało się, acz wbrew jego woli. Wówczas, oburzony, potrafiłby wysłać bez wahania na szafot każdego, co ośmielił się zakłócić jego spokój. Tymczasem słuchał swych braci z ogłupiałą miną, a kiedy tylko ton mowy się podniósł, kurczył się i wciskał głowę w ramiona.

Ja słuchałem i zabawiałem się doskonale śledzeniem, co ze mnie przeszło w mych synów. Nie ma bowiem wątpliwości, że są to moi rodzeni synowie. Ale daleko padły jabłka od jabłoni. Jakim cudem udało mi się spłodzić takich gagatków? Co ma ze mnie ów kaznodzieja albo ów obłudnik, albo ten rozwścieczony baran? (Awanturnik już najmniej mnie dziwi.) O zdradziecka naturo! Więc to mój płód własny? A jednak rozpoznaję w nich siebie: tu gest jakiś, tam sposób mówienia, nawet myśli moje. Odnajduję w nich własne cechy, choć dobrze ukryte. Pozory mnie zdumiewają, ale wewnątrz kryje się ten sam człowiek. Ten sam, choć zwielokrotniony. Każdy z nas nosi w sobie dwudziestu różnych ludzi: jeden lubi się śmiać, drugi płakać, trzeci obojętnie jak pień znosi zarówno pogodę, jak i słotę; znajdziesz tam wilka, psa i jagnię, a obok nicponia zacności człowieka. Ale jeden przewodzi tej całej bandzie i decyduje o wszystkim zmuszając do milczenia innych. Nawiewają więc co tchu, skoro tylko dojrzą uchyloną furtkę. Tak nawiali i moi synowie. Biedaczyska! Mea culpa! Pozornie dalecy, są przecież ode mnie o krok. Toż to moje potomstwo. Kiedy plotą głupstwa, mam ochotę prosić ich o przebaczenie, iż stworzyłem ich tak głupimi. Na szczęście, są z siebie zadowoleni i mają o własnych osobach jak najlepsze wyobrażenie! Niechże

tam, mnie to nie przeszkadza; ale nie mogę znieść, by wydziwiali nad podobnymi im bliźnimi. Tak poznawałem ziarno, chwytalem gesty, zwroty, nawet ślady myśli.

Rozmowa się zaostrzała. Podrywali się na krzesłach, grozili sobie oczyma, rękami, coraz więcej przypominając koguty gotujące się do walki! Michał wmieszał się do rozmowy, a nawet wielbiciel materaca, zdenerwowany i troszkę już pijany, pokrzykiwał to i owo, choć całkiem bez związku.

Patrzyłem pobłaźliwie czas jakiś, potem zawołałem:

– Cicho, sza! Cieszę się, żeście takie zuchy, to moja krew, a głos matki! Ale dość tego, hola! Teraz ja gadam!

Nie słuchali jednak. Padło jakieś słowo. Jan Franciszek pochwycił krzesło, Michał dobył szpady. Antoni noża, a Anisse zaczął beczeć głosem cielęcia: – Gwałtu, gwałtu! Gore! Wody!

– Byłem pewny, że lada moment rzucą się na siebie, chwyciłem przeto pierwszy lepszy ciężki przedmiot (dziwnym trafem był to właśnie słynny dzban Florymonda, który doprowadzał mnie zawsze do wściekłości) i strzaskalem go o stół. Jednocześnie nadbiegła Martynka z garnkiem kipiącej wody i zagroziła, że im wyleje ukrop na głowy.

Wrzeszczeli jeszcze jak gęsi, ale podali tył i rozstąpili się. Wówczas powiedziałem:

– Umilknijcie! Jestem tu panem i taką jest moja wola. Czyście oszaleli? Czyż po to zebraliśmy się, by toczyć spory o credo nicejskie^[69]? Lubię dyskuszę, ale może byśmy obrali bardziej zajmujący temat, bo ten już mi bokiem wyłazi. Czemuż nie roztrząsacie zalet wina burgundzkiego i salcesonu, słowem, czemu nie mówicie o rzeczach konkretnych, które można jeść i pić. Zjemy i popijemy, by osądzić, kto z was ma rację. Wprost nie wypada przy stole rozprawiać o Bogu, Duchu Świętym, gdy się w dodatku nie ma wcale rozumu. Nie mówię źle o tych, co wierzą. Ja wierzę, wierzymy, wierzycie itd., wierzymy sobie, w co chcemy. Ale mówić należy o czym innym. Czyż mało rzeczy na świecie? Każdy z was pewny jest raj.

Doskonale, cieszy mnie to niewymownie. Czeka was tam, w górze, miejsce zarezerwowane dla każdego z wybranych. Reszta, oczywiście, zostanie pod bramą. Pozwólcież Bogu, by lokował swych gości wedle własnej woli. To jego prawo, a wy nie odważajcie się go pilnować. Każdy ma królestwo swoje: Bóg niebo, my ziemię. Nasza rzecz uczynić ją wygodniejszą do zamieszkania. Dostyc będziemy mieli z tym roboty, ale muszą się wziąć wszyscy, bo brak każdego stanie się dotkliwy. Wszyscy czterej potrzebniście krajowi. Zarówno potrzebna jest twoja wiara, Franciszku, w stosunku do tego, co było, jak twoja, Antoni, w stosunku do tego, co stać by się powinno, a także twoje awanturnicze usposobienie, Michale, jak i twa nieruchomość, drogi Anisse. Stanowicie cztery filary! gdy się ugną, cały budynek runąć może i wszystko przemieni się w bezpożyteczną ruinę. Wszakże to nie jest celem waszym? Cóż byście powiedzieli o czterech marynarzach, którzy by czasu burzy na pełnym morzu dyskutowali zamiast manewrować, jak należy? Przypominam sobie, że opowiadano mi swego czasu rozmowę króla Henryka z księciem niwernejskim. Obaj narzekali na manię zacieklego niszczenia się wzajem, która ogarnęła Francuzów. Król rzekł: „Do kroćset starych chodaków! Mam ochotę dla uspokojenia pozaszywać w worki parami zaciętrzewionych mnichów i głosicieli nowej ewangelii i powrzucać do Loary, jak się to robić zwykło z pomiotem kocim!” Na to rzekł śmiejąc się Niwernejczyk: „Ja poprzestałem na wysłaniu ich całymi ładunkami okrętowymi na jedną z owych wysp, gdzie, jak powiadają radni bearneńscy, osadzają kłótlivych i nie mogących się zgodzić małżonków. W miesiąc po deportacji, gdy okręt wraca po nich, zastaje pono stadła gruchające miłośnie niby pary turkawek!” Wam by się przydała taka właśnie kuracja. Boczycie się na siebie, smarkacze? Obracacie się do siebie tyłem? Ejże, spojrzycie jeno po sobie. Wydaje wam się, że każdy z innego ulepiony ciała, że każdy lepszy od brata? Tymczasem wszyscyście z jednej mąki, *eiusdem farinae*, wszyscyście Breugny zatracone i Burgundy setne! Popatrzcie tylko na swoje nosy bezczelne, krzywe, sterczące na gębie, na usta rozcięte od ucha

do ucha po to, by łać było w co trunek, na te oczy otoczone krzaczasto, co usiłują patrzeć koso, a śmieją się wbrew woli. Naznaczeniście i nie ma na to rady. Czyż nie widzicie, że szkodząc sobie niszcycie się wzajem? Czyż nie lepiej by było podać sobie dłonie? Macie różne poglądy! Doskonale, wyśmienicie. Niedobrze jest, gdy wszyscy uprawiają jedno pole. Im więcej pola i myśli posiadzie rodzina, tym będzie silniejsza i szczęśliwsza. Zawrzyjcie zgodę, pomnażajcie wszystko i ogarniajcie, ile się jeno da ogarnąć, pola i myśli. Każdy niech działa, jak może (hej, pocałować mi się zaraz!), z tym celem, by wielki nos Breugnonów rzucał jak najszerszy cień po świecie i wdychał w nozdrza piękny aromat świata.

[69] Credo nicejskie– wyznanie wiary katolickiej, sformułowane na pierwszym powszechnym soborze w Nicei w roku 325.

Zamilkli, spuścili głowy i widać było, że mają ochotę roześmiać się. Pierwszy huknął śmiechem Michałek, podał rękę Franciszkowi i powiedział:

– Jechał sęk, pocałujmy się! Uściskali się.

– Martynko! Nasze zdrowie! – zawołałem. Wypiliśmy.

W tej chwili spostrzegłem, że tłukąc dzban skaleczyłem sobie dłoń. Kilka kropel krwi spadło na obrus. Antoni, zawsze uroczysty, wziął mnie za rękę, otarł krew brzegiem szklanki i powiedział z emfazą:

– Dla przypieczętowania zgody wypijmy wszyscy cztery razem tę szklankę wina.

– Antosiu, nie psuj wina! – zawołałem. – Robisz obrzydliwości. Nie pij tego świństwa...

Popiliśmy tego raz, drugi i trzeci i nie było swarów na temat wina. Gdy odeszli, Martynka obwiązała mi dłoń mówiąc:

– Stary grzeszniku! Tym razem postawiłeś na swoim!

– O czym mówisz? – spytałem. – Może o tym, że ich przywiódł do zgody?

– Nie, myślę o czymś innym.

– No, cóż takiego?

Wskazała szczątki dzbana na stole.

– Nie udawaj... wiesz dobrze, o czym mówię... Przyznaj się... Powiedz mi do ucha... Zapewniam cię, że on się nigdy nie dowie...

Broniłem się, przeczyłem, udawałem głupiego, ale śmiech mnie rozpiekał. A ona powtarzała:

– Grzeszniku, zbrodniarzu, rozbójniku! Powiedziałem wreszcie:

– Był tak szkaradny. Nie mogłem wytrzymać. Jeden z nas musiał zniknąć!

– Ten, który został, także nie jest bardzo piękny!

– Zapewne – odpowiedziałem – zapewne, ale widzisz, tego drugiego nie widzę, nie muszę nań ciągle patrzeć.

*

Wigilia Bożego Narodzenia Rok posuwa się cichutko, nieznacznie. Drzwi otwierają się i zamykają. Niby fałdy jakiejś miękkiej materii, dni ścielą się w głęboki kufer nocy. Kurczą się, a potem zaczną wychodzić, wydłużać się tak, że na Nowy Rok przybędzie na zajęczy skok. Przez szczelinę widzę już ten rok nowy.

Siedzę sam pod okapem wielkiego komina i patrzę jak z głębi studni w gwieździste wigilijne niebo, mrugające tysiącem oczu i drżące tysiącem serduszek; słyszę dzwonięcie dzwonów, które niesie się po czystej przestrzeni, wzywając na pasterkę. Jak pięknie, że Dzieciątko urodziło się właśnie o nocnej i ciemnej godzinie, kiedy świat, zdawałoby się, bliski jest końca, i wyśpiewuje cienkim głosem: „Radość wszelkiego stworzenia.” Wówczas nadzieja rozpościera nad grudniową nocą swoje miękkie skrzydło i osłania świat od zimowego chłodu.

Jestem sam w domu, dzieci poszły do kościoła, i siedzę sobie z psem Cytrynką i kotem Pantoponem. Marzymy, patrzymy w ogień płonący na kominku. Przeżuwam wspomnienia wieczoru. Przed godziną miałem koło siebie córkę i wnuczkę. Opowiadałem Glodzi, wytrzeszczającej oczęta, bajki

o wieszczkach, kacuzi, którą diabeł kusi, Jasiu-dyrdasiu, o chłopczyku z kogutkiem, który dorobił się wielkiego majątku prorokując pogodę oraczom... Bawiliśmy się doskonale. Starzy i młodzi słuchali opowiadania, a każdy dorzucał coś od siebie. Milkliśmy potem, słuchali, jak woda kipi w garnku, patrzyli, jak mróz maluje cudne wzory na szybach, lub znów nastawiali ucha na świergot świerszcza w ścianie. O, jakże cudna jest noc zimowa, jakże przytulnie i ciepło pośród swoich, jak przyjemnie błędzić myślą w dali, wiedząc, że się wróci do domu...

Siedzę i robię bilans za rok ubiegły. Stwierdzam, że w ciągu sześciu miesięcy straciłem wszystko: żonę, dom, pieniądze i wreszcie nogę. Ale najdziwniejsze jest to, iż mimo strat posiadam wszystko, co dawniej posiadałem. Jestem lżejszy niż zwykle. Nigdy nie czułem się tak świeży i wolny. Nigdy fantazja moja nie była tak swobodna. Nie uwierzyłbym przed rokiem, że zniosę wszystkie nieszczęścia tak łatwo. Czyż nie przysięgałem sobie niedawno jeszcze, iż do samej śmierci będę panem na własnych śmieciach, że zachowam niezależność, prawo dbania o utrzymanie własne i prawo do własnych wybryków. Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi... Wszystko poszło inaczej niż chciałem, i właśnie dobrze się stało! Człowiek to pocziwe bydlątko, zastosuje się do wszystkiego, nawyknie do szczęścia i cierpienia, do obfitości i głodu. Daj mu cztery nogi albo zabierz mu dwie, uczyni go głuchym, ślepym, niemową, zawsze sobie jakoś poradzi, będzie mówił, słyszał i widział.

Jest niby wosk w ręku ducha, który zeń lepi formę potrzebną w danej chwili. O, jakże miło czuć tę podatność w sobie, jakże przyjemnie wiedzieć, że się może być rybą w wodzie, ptakiem w powietrzu, salamandrą w ogniu, a na ziemi człowiekiem, który walczy z wszystkimi przeciwnościami. Im mniej się posiada, tym się jest bogatszym, bo duch włada wówczas swobodnie gliną i tworzy to, czego mu potrzeba. Drzewo gęste lepiej rośnie wzwyż, gdy mu się przerzedzi gałęzie.

Cicho, bije północ...

W żłobie leży, któż pobieży...

Śpiewam kolędę, jedną, drugą, potem nachodzi mnie senność... Im mniej się posiada, tym się jest bogat...

TRZECH KRÓLI

Jestem sobie figlarz nie lada. Im mniej posiadam, tym jestem bogatszy. Zauważyłem to już w noc wigilijną, a teraz wiem na pewno, że tak jest. A czemu? Oto stałem się pasożytem, umiem żyć szczęściem innych ludzi. Mam bogactwa bez żadnych kosztów. Drwię sobie z owych ojców, którzy, wyzbywszy się wszystkiego dla dzieci, są pomiataną zawadą w domu. Ci ojcowie to ludzie zgoła niezręczni i ograniczeni. Nigdy nie kochała mnie moja rodzina bardziej, nigdy nie troszczyła się o mnie tak jak wówczas, kiedy zubożałem zupełnie. Aha! A wiecie dlaczego? Oto dlatego, iż nie byłem tak głupi i nie dałem sobie wydrzeć wszystkiego do ostatka. Straciłem mienie, to prawda, ale zachowałem skarb wesołości, ów skarb ogromny, gromadzony mozolnie, grosz do grosza, czasu mych dalekich wędrówek i spacerów wzdłuż i wszerz życia, poprzez rozłogi pogody, radości i sceptycyzmu, poprzez roztocze pełnej głębi mądrości szaleńca i szалу mędrca uwielbiającego byt cały. Nagromadziłem zapasy nieprzebrane, których zużyć nie sposób. Niechże czerpią wszyscy do woli, starczy na lata całe. Biorę to i owo od mych dzieci, a daję garściami skarby swoje i obie strony są z siebie zadowolone.

Kto chce widzieć króla bez królestwa, „Jana bez Ziemi”^[70], szczęśliwego człeka, niech spojrzy na mnie teraz oto, gdy siedzę na tronie przewodnicząc bankietowi. Dziś mamy Trzech Króli. Po południu zjawił się w naszej ulicy orszak trzech magów. Jechali na wspaniałym wozie ciągnionym przez sześciu pastuszków i sześć pasterek biało ubranych. Wszyscy śpiewali, a psy z całej okolicy wtórowały im szczekaniem.

[70] Jan bez Ziemi (1167-1216) – król angielski, za zabójstwo popełnione w młodości dla zdobycia korony został pozbawiony lenn francuskich.

Jest teraz wieczór, siedzę przy stole, a wokół mnie wszystkie moje dzieci i wnuki. Razem ze mną trzydzieści sztuk, a wszyscy krzyczą:

– Król się bawi!

Król to ja. Mam na głowie koronę: formę blaszaną do pasztetu. Moją królową jest Martynka. Podobnie jak się to czyta w Piśmie świętym, poślubiłem własną córkę. Ile razy podnoszę do ust szklanę, wszyscy klaskają w ręce, a ja śmieję się i łykam. Trochę może krzywo trzymam szklanę, ale to nic, bo nie uroniłem dotąd ani jednej kropelki.

Królowa pije także, a równocześnie poi swe rumianiutkie bobo, które chciwie chwyta różową sutkę jej piersi, puszcza ją, wrzeszczy, ssie ponownie, gada coś i kręci zadeczką. Pies pod stołem warczy i naszczekuje, a kot, najeżony, z wygiętym grzbietem, ucieka unosząc w zębach smaczną kość.

Myślę głośno (nie lubię myśleć po cichu): „Życie to dobra rzecz, o tak! Drodzy przyjaciele, cała jego wada to to, że trwa za krótko. Człowiek nie wychodzi na swoje. Powie ktoś: «Nie narzekaj! Bądź kontent z tej porcji, którą przed tobą postawiono!» Zgoda, nie przeczę. Ale proszę o drugą porcję, byle wielką! No, i któż wie? Jeśli nie będę krzyczał zbyt głośno i zachowam się przyzwoicie, może dostanę drugi kawałek ciasta. Ha, ha... jakże jednak smutno! Gdzież się podziało tylu dzielnych ludzi, gdzież nasz Henryczek kochany, gdzie księżę Ludwik...”

Wszedłszy raz na ścieżkę wspomnień gadam, gadam, gadam, co krok schylając się po jakiś liść spadły z drzewa życia. Opowiadam nieskończone historie, a oni słuchają poczciwie. Czasem nawet, kiedy braknie mi słowa albo się pomylę, podszeptują. Naonczas budzę się jakby ze snu i podchwytuję złośliwe uśmieszki.

– Tak, tak, ojczaszku! – powiada ten lub ów. – Dobrze to było, kiedy się miało lat dwadzieścia. Piękniejsze były kobietki i krągłejsze i bielsze miały szyjki, a mężczyźni mieli serca w piersiach, a i resztę, gdzie trzeba. Było widzieć naszego kochanego Henryczka i drogiego Ludwiczka...

– Hola! – wołam. – Kpicie sobie, widzę, z waszego króla, moi drodzy wasale! Nie twierdzą wcale, że świat nie miał swego „ale”, wówczas gdy liczyłem sobie lat dwadzieścia. Nie powiadam też, że dziś nie ma u nas komu siać, sadzić, okopywać i zbierać! Wiem, że przybywa ludzi, że drzewo, z którego dziś fabrykują Burgundów, jest twarde, proste i zdrowe. Mówię jeno, że przyszły czasy inne i inni ludzie. Twierdzą śmiało, że nie ma już Henryków i Ludwików, a kochałem ich szczerze. Ale, Colasie, nie rozczulaj się. Bacz, byś nie nudził kompanii. Nie wolno przeżuwać wiecznie jednego siana, stary byku. Dziś inne wino, powiadasz? To prawda, ale wino to jest dobre! Przeto pijmy. Zdrowie króla-opoja, zdrowie twoje, ludu mój pijacki! Powiem wam jeszcze jedno słowo. Dobra to rzecz król, ale nie masz lepszego nade mnie króla. Bądźmy wolni! Dzierżmy silnie prawa nasze, a królów pošlijmy na zieloną trawkę. Starczy nam za wszystkich wielmożów ziemia nasza, najpotężniejsza pani. Cóż po królach ziemskich i niebieskich? Każdemu przystoi miejsce pod słońcem, każdy ma prawo do własnego cienia. Kawałeczek ziemi do pracy i zdrowe ręce – oto wszystko, czego nam trzeba. Gdyby przybył do mnie król w odwiedzin, rzekłbym mu: „Siadaj! Witam cię i piję zdrowie twoje, drogi kuzynie. Król jest królowi równy, zwłaszcza w święto Trzech Króli, a ponadto wiedz, iż każdy Francuz jest królem na własnych śmieciach!”